Czas na związki partnerskie ▪ Polak u fryzjera ▪ Kto kręci Szmydtem
Buddyzm zmieni chrześcijaństwo ▪ Eliza Kącka: ja, matka

Kraków 22 – 28 maja 2024 nr 21 (3907) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Stasiuk: Patrzę na Wschód

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

SOS WIOSKI DZIECIĘCE
40 lat SOS
4567 dzieci otoczonych wsparciem
40 lat pomocy w Polsce
594 dzieci usamodzielnionych z pieczy SOS
Czas to Miłość
Nie możesz go zatrzymać, ale możesz go komuś podarować
Niezmiennie od 40 lat, chcemy, by każde dziecko dorastało w rodzinie, otoczone miłością, szacunkiem i poczuciem bezpieczeństwa.
www.wioskisos.org
REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Inni i ich inność*

To rozmowa niezwykła nawet jak na „Tygodnik", w którym niezwykłe teksty się zdarzają. Zbiegają się w niej dwie rzeczy: absolutna szczerość i doskonały warsztat literacki. Często spotykamy jeden element bez drugiego. Chylimy głowę przed szczerością i męczymy się nad lekturą. Albo podziwiamy talent pisarski i czujemy, że relacja o odczuciach jest lekko (lub mocno) naciągana. A tu panuje harmonia.

Katarzyna Kubisiowska potrafi szanować rozmówcę. W rozmowie z Elizą Kącką, którą publikujemy w tym numerze, jej głos jest prawie niesłyszalny, choć nadaje rozmowie kierunek. A Eliza Kącka opowiada tyle, ile trzeba. Mówi o swojej córce Rudej, a jednocześnie mówi o sobie. Ani słowa za dużo, ale też ani słowa za mało. Już w pierwszych zdaniach pada ogromnie ważna konstatacja: w autobiograficznej książce Kąckiej pt. „Wczoraj byłaś zła na zielono" (jeszcze nie czytałem, ale przeczytam na pewno) ani razu nie pada słowo „autyzm". To świadoma decyzja: „diagnoza jest redukcją. Człowieka się definiuje, zamyka w jakimś pojęciu. Osobowość, indywidualne cechy przestają mieć znaczenie...". W tym jest niezwykłość tej rozmowy: indywidualne cechy, osobny człowiek.

Pytanie: „Jak sobie radzisz w roli matki?". Odpowiedź: „W roli: trudno". I kilka dalszych zdań, takich, że natychmiast rozumiemy albo zdaje się nam, że rozumiemy. Eliza Kącka nie krzyczy „aport", rzucając zadania jak kije, ale też nie przeprowadza się w głowę swojego dziecka (wie, że nie jest to możliwe). Czuwa, obserwuje, osłania. A lektura tej rozmowy uczy i tego, że każda historia jest inna: sytuacja Rudej jest odmienna niż innych autystycznych dzieci, bo każde jest oczywiście inne i rodzice każdego są inni. Rozmowa ta może więc dać każdemu okazję do własnych refleksji. Każdemu, kto ma dziecko, nie tylko zresztą autystyczne.

Myślę więc też o innych dzieciach: chorujących, z niepełnosprawnościami, poszkodowanych w fatalnym zbiegu okoliczności, w wypadku, na wojnie. Jakiej mądrości trzeba, by móc powiedzieć im, jak mają żyć, zawsze potrzebując pomocy, zawsze będąc zdanymi – bardziej lub mniej – na innych? Bo jest taki próg, nie dla wszystkich z nich jednakowy, poza który samemu nie da się wyjść. Wiem, niektórym się udało, wbrew wszystkim i wszystkiemu, dokonać rzeczy niemożliwych. Inni młodzi ludzie o tym marzą albo – i tak być może – rozważają, co mogą osiągnąć w warunkach, w których żyją. Mamy szczęście żyć w jednym z tych nie tak znów licznych miejsc na Ziemi, gdzie tych możliwości jest coraz więcej. Ale i tak zawsze pozostaną wśród nas ci, których pułap jest poniżej wszystkich. Co z nimi?

Niezwykła rozmowa z Elizą Kącką zmusza do pomyślenia choćby, co robimy z tym, co zostało nam dane. Ale też o tym, czy jesteśmy sobą, czy tylko naśladujemy innych oraz czy będąc sobą, nie tracimy czegoś, co można by było zaczerpnąć od innych. I jeszcze do pomyślenia, jaki jest nasz stosunek do innych, naprawdę innych. Czy umiemy się oderwać od schematów i być sobą, jednocześnie pozwalając innym na ich inność. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego".

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika".

zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20
Panie na lewo, panowie na prawo
JAKUB DYMEK
Płeć jako oś politycznego podziału wyprzedza klasę czy religijność i staje się obok edukacji najważniejszym czynnikiem wskazującym, na kogo zagłosujemy.

30 Tak z ciekawości
ROZMOWA Z ELIZĄ KĄCKĄ, PISARKĄ I KRYTYCZKĄ:
Najbardziej wymagająca jest ekspozycja. Boi się człowiek obciążyć innych. Przepraszasz wzrokiem za recital wrzasków. Ile razy słyszałam: „Co za matka", „Pani nad dzieckiem nie panuje", „Rozpuściła bachora".

34
Buddyjska przyszłość chrześcijaństwa
PIOTR SIKORA
Dziś buddyzm jest podobnym wyzwaniem dla chrześcijaństwa, jak u jego zarania była filozofia grecka. Nie unikniemy gruntownego przemyślenia własnej wiary.

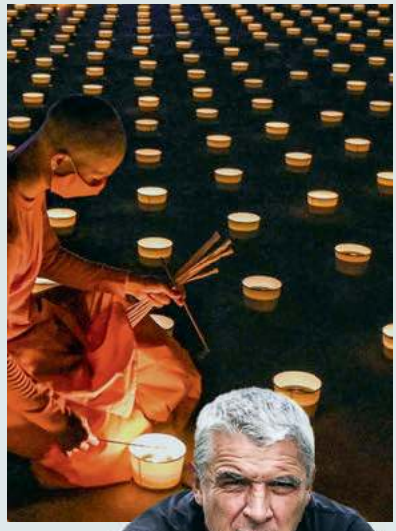

44 Jan Serce z KGB
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ
Aby zrozumieć logikę agresywnych działań Białorusi wobec Polski, warto prześledzić karierę Iwana Stanisławowicza Tertela: szefa bezpieki, który wywodzi się z polskiej rodziny.

BOHATER Z OKŁADKI

64 Mam inaczej
ROZMOWA Z ANDRZEJEM STASIUKIEM, PISARZEM:
Do niczego nie czuję sentymentów. Jak tylko je poczuję, piszę o tym książkę i mi przechodzi.

78 Sztuka deptania trawnika
ALEKSANDER HUDZIK
Paul Klee mówił, że dobry rysunek jest jak zabranie kreski na spacer. Richard Long potraktował to całkiem dosłownie.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // NIKOLAI PETROV / TASS / FORUM // EAMONN MCCABE / POPPERFOTO / GETTY IMAGES // ADAM GOLEC / FORUM // LILLIAN SUWANRUMPHA / AFP / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Kto jest większym pachołkiem
PIOTR ŚMIŁOWICZ

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Panie na lewo, panowie na prawo
JAKUB DYMEK

23 Prawdziwa natura PiS
PAWEŁ MUSIAŁEK: *PiS ześlizguje się z pozycji eurorealistycznych na eurosceptyczne*

26 Fryzura na Balcerowicza
MAREK RABIJ: *Liczba salonów fryzjerskich w Polsce to fenomen na skalę Europy*

■ ■ ROZMOWA

30 Tak z ciekawości
ROZMOWA Z ELIZĄ KĄCKĄ

■ ■ WIARA

34 Buddyjska przyszłość chrześcijaństwa
PIOTR SIKORA

38 Amazonia, czyli Kościół bez księży
DOMA MATEJKO: *W Puszczy Amazońskiej to świeccy, a przede wszystkim kobiety, są odpowiedzialni za życie Kościoła*

41 Matki, córki, liderki
KAROL WILCZYŃSKI *o muzułmankach w Polsce*

■ ■ ŚWIAT

44 Jan Serce z KGB
ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

47 Może się uda na setną rocznicę
ANNA KWIATKOWSKA, KAMIL FRYMARK *o pomniku polskich ofiar II wojny światowej, który ma powstać w Berlinie*

TEMAT TYGODNIKA

12 Państwo niepartnerskie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polscy politycy jak ognia boją się prawa, którego przestały się obawiać nawet ich konserwatywne elektoraty. A sami zainteresowani tracą już wiarę, że we własnym kraju przestaną być niewidzialni.

JOANNA MRÓWKA / FORUM

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **54** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANDRZEJ STASIUK
FOT. GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca:
ANNA GOC

48 Matki Hiszpanki
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Najstarsze matki mieszkają w Hiszpanii*

51 Nie ma bezpiecznych zastrzyków
MAŁGORZATA SIDZ: *Nad sensem liberalnego podejścia do narkotyków debatuje dziś cała Kanada*

■ ■ HISTORIA

56 Mówi do was Robespierre
SZYMON ŁUCYK: *230 lat po śmierci Maksymiliana Robespierre'a trwa spór o to, kim był – krwawym tyranem czy obrońcą ludu*

■ ■ NAUKA

60 O śmiechu na poważnie
DIANA SAŁACKA: *Co wiemy o pochodzeniu i funkcji poczucia humoru?*

■ ■ KULTURA

64 Mam inaczej
ROZMOWA Z ANDRZEJEM STASIUKIEM

68 Scena centralna
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Wraca Teatr Telewizji*

71 Kolorowe zeszyty
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI *o serii komiksowej „Wydział 7"*

74 Życie jak w kinie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Paoli Cortellesi „Jutro będzie nasze"*

75 Rabczański przekładaniec
LEKTOR *o książce Beaty Chomątowskiej „Miasto dzieci świata"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Sztuka deptania trawnika
ALEKSANDER HUDZIK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Kto obroni dom

W razie ataku Rosji na Polskę większość z nas wolałaby zostawić swój dom, niż go bronić – pisze **MAREK KĘSKRAWIEC** po sondażu CBOS | **powszech.net/obrona**

Kto ocali życie

To konflikt wartości. Chronić najpierw rodzinę czy granicę? Spełnić obowiązek wobec dzieci czy ojczyzny? – odpowiada **PATRYK STANIK** | **powszech.net/ocalenie**

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 55

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KTO JEST WIĘKSZYM PACHOŁKIEM

Zamach na słowackiego premiera zdarzył się w samym środku kolejnej kampanii wyborczej w Polsce, stając się ponurym komentarzem do wojny między PiS a PO o to, kto lepiej służy rosyjskim interesom.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

NIEMAL RÓWNOCZEŚNIE Z ZAMACHEM na Roberta Ficę Platforma wypuściła słynny już spot, w którym w bardzo ostrej formie oskarżyła PiS o prorosyjskość, cytując m.in. słowa kontrowersyjnego generała Piotra Pytla: „Rosja już tu jest. Jej największym sukcesem w Polsce jest PiS".

BYŁ TO KOLEJNY AKT forsowanej przez PO narracji, do której paliwa dostarczyła ucieczka na Białoruś związanego z ugrupowaniem Zbigniewa Ziobry sędziego Tomasza Szmydta, awansowanego za poprzednich rządów na szefa wydziału prawnego w Krajowej Radzie Sądownictwa. Wcześniej było też bardzo ostre przemówienie premiera Donalda Tuska w Sejmie, oskarżającego PiS o rosyjskie powiązania i cytującego pod adresem partii Jarosława Kaczyńskiego słynne zdanie Leszka Moczulskiego: „płatni zdrajcy, pachołki Rosji".

PiS w swoim spocie wyborczym nie był wiele lepszy, przypominając m.in. słowa prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki, cieszącego się ze zmiany władzy w Polsce. Politycy prawicy – niestety, przy udziale prezydenta Andrzeja Dudy – nie wahali się kolejny raz oskarżyć Donalda Tuska o romansowanie z Rosją, przypominając do znudzenia jego spotkanie z Władimirem Putinem na molo w Sopocie w 2009 r. oraz współpracę polskich służb wojskowych z FSB.

OBIE STRONY nie bawią się w niuanse, mogące w jakikolwiek sposób podważyć toporny przekaz. PiS i prezydent udają, że nie wiedzą, iż kontakty z Putinem miały miejsce w zupełnie innej sytuacji

POWYŻEJ:
Poseł PiS Dariusz Matecki i poseł KO Jakub Rutnicki prezentują w sejmie „dowody" współpracy Donalda Tuska i Lecha Kaczyńskiego z Kremlem. Warszawa, listopad 2023 r.

politycznej – gdy można było jeszcze mieć nadzieję, że oswajanie Rosji poprzez budowanie jej różnorakich powiązań gospodarczych z UE stwarza szanse na jej demokratyzację. I że nieco wcześniej o zbliżenie z Moskwą starał się także prezydent Lech Kaczyński, który jednak po napaści Rosji na Gruzję stracił wszelkie złudzenia.

PO z kolei nie chce pamiętać, że PiS, choć utrzymywał ścisłe kontakty z Viktorem Orbánem i innymi proputinowskimi siłami w Europie, zawsze cechował się jednocześnie radykalną antyrosyjską retoryką i taką samą realną polityką – jej elementem było choćby cykliczne oskarżanie Rosji o zamach smoleński. Jeżeli formacji tej można coś zarzucić, to przede wszystkim forsowanie zbyt nacjonalistycznej agendy, skazującej Polskę na izolację i tym samym wystawiającej nas na rosyjskie zagrożenie.

TEZY CIĘTE SIEKIERĄ mogły się pojawić z okazji wyborów do europarlamentu, bo we współczesnej polityce liczy się głównie przekaz wykluczający niuanse i kreowany zupełnie świadomie; z uwzględnieniem konsekwencji. Jego celem nie jest jakiekolwiek zbliżenie się do prawdy, tylko maksymalna eskalacja emocji przeciwko politycznemu wrogowi. Działacze partyjni, słabi w kreowaniu własnych programów, sądzą, że tylko takie emocje mogą napędzić do urn wyborców i przechylić szalę zwycięstwa.

Zamach na Słowacji pokazuje, jak to się może skończyć. I nasuwa bezsilne pytanie, czy tylko skrajna tragedia może sprowokować refleksję na temat żenującego poziomu debaty politycznej. Fakt, nie wszyscy uważają, że napędzanie społecznej polaryzacji ma sens. Są w Polsce siły, które mogą skorzystać na zmęczeniu wyborców wojną polsko-polską. Wystarczy posłuchać, co o wzajemnych oskarżeniach sądzą marszałek Sejmu Szymon Hołownia, a także inni politycy Trzeciej Drogi oraz lewicy, ostro krytykujący PO za spot i nieprzyjmujący argumentacji, że to tylko reakcja na latami prowadzoną propagandę, m.in. czyniącą z Donalda Tuska sługę Niemiec.

KTOŚ MUSI PRZERWAĆ tę absurdalną spiralę hejtu i wydaje się, że powinniśmy bardziej patrzeć w stronę PO. Wydaje się bowiem, że formacja ta ma świadomych wyborców i nie musi odwoływać się do populistycznych chwytów i topornej propagandy, by ich zmobilizować. Skoro jednak nawet ona posuwa się do podobnych metod, trudno być optymistą w sprawie przyszłości. W końcu mamy już doświadczenia, które nic nie zmieniły, jak zabójstwo działacza PiS Marka Rosiaka w 2010 r. czy publiczny mord na prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu w 2019 r. Przykład Ficy też nie stanie się zapewne przełomem.

Czy w takim razie nie ma żadnych szans na zmianę? Jakąś nadzieję może dawać przeniesienie sporów na grunt co prawda równie emocjonalny, ale przynajmniej będący odzwierciedleniem jakiegoś realnego konfliktu ideowego. Być może dobrze się więc stało, że całkowicie sztuczne obrzucanie się oskarżeniami o prorosyjskość zostało w minionym tygodniu nieco przykryte sporem o ustawę antyaborcyjną (jego emanacją było burzliwe wysłuchanie publiczne w Sejmie), jak również konfliktem o krzyże w przestrzeni publicznej. Tę dyskusję sprowokował prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, wydając zarządzenie o zakazie wieszania krzyży w instytucjach podległych urzędowi miasta Warszawy.

JEŚLI DEMOKRACJA w Polsce sprowadzi się jednak do tego, że głównym paliwem dla polskich partii będą emocjonalne i zarazem całkowicie fikcyjne oskarżenia, po jakimś czasie zmęczona opinia publiczna może dojść do wniosku, że ma już tego dość. Nie wiadomo tylko, czy powierzy wtedy władzę umiarkowanym politykom, czy też jakiemuś „zbawcy państwa i narodu", obiecującemu spokojny ustrój. Obietnice w końcu niewiele kosztują.

Tyle że to byłby raczej spokój cmentarny i wstyd dla systemu politycznego, który budowaliśmy z mozołem od 35 lat. ©

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Rozedrgany kraj

PATRYCJA BUKALSKA

SŁOWACJA JEST W SZOKU PO PRÓBIE ZASTRZELENIA premiera Roberta Ficy. Część polityków wzywa do współdziałania i łagodzenia języka, inni podbijają emocje.

Przypomnijmy: do ataku doszło 15 maja w miejscowości Handlová. Napastnik oddał aż pięć strzałów do premiera witającego się z ludźmi. Stan Ficy był krytyczny i choć po dwóch operacjach lekarzom udało się go ustabilizować, nadal jest poważny.

Tymczasem na Słowacji padają pytania. Najpierw te o błędy ochrony premiera (lista jest długa) i motywacje napastnika. 71-letni Juraj C., poeta i kiedyś pracownik firmy ochroniarskiej, zeznał, że „nie zgadza się z polityką rządu". Jednocześnie okazuje się, że przed kilku laty miał związki z prorosyjską organizacją paramilitarną. Wyjaśnienie okoliczności zamachu to teraz najważniejsze zadanie dla państwa. Zaraz po ataku zaczęły się bowiem szerzyć teorie spiskowe, w tym dezinformacje – jak można sądzić, koordynowane przez sieć rosyjską.

Drugim zadaniem jest uspokojenie sceny politycznej, tak by zamach nie pogłębił polaryzacji Słowaków. Ustępująca prezydent Zuzana Čaputová i prezydent elekt Peter Pellegrini (w przeszłości współpracownik Ficy; nowy urząd obejmie w połowie czerwca) wystąpili na wspólnej konferencji prasowej, apelując o spokój i wstrzymanie kampanii przed wyborami do europarlamentu, a także zapraszając liderów wszystkich partii na rozmowy. „Jesteśmy jednym państwem, jednym narodem" – mówiła Čaputová, która sama otrzymywała w przeszłości groźby śmierci.

Teraz wzywa do przerwania błędnego koła nienawiści i obwiniania się. Część polityków partii rządzących nadal podbija jednak nastroje, obarczając opozycję i media odpowiedzialnością za zamach. Są obawy, że może on posłużyć jako pretekst do przyspieszenia kontrowersyjnych zmian, m.in. w mediach publicznych, oraz uciszenia opozycji. ©℗

Demonstracja zwolenników Roberta Ficy przed szpitalem w Bańskiej Bystrzycy. Słowacja, 18 maja 2024 r.

FERENC ISZA / AFP / EAST NEWS

Co znaczy krzyż

ARTUR SPORNIAK

Warszawa wprowadza zakaz eksponowania symboli religijnych wewnątrz urzędów. Rozporządzenie w tej sprawie podpisał prezydent Rafał Trzaskowski. Oznacza to, że ze ścian i biurek samorządowych instytucji znikną krzyże. Ponadto wszystkie wydarzenia organizowane przez warszawski samorząd będą musiały mieć charakter świecki. Zatem nie będą już możliwe modlitwy czy poświęcenia.

Magistrat wyjaśnia, że nie chodzi o dyskryminację kogokolwiek – przeciwnie, nowe wytyczne mają na celu przeciwdziałanie dyskryminacji ze względu na wiek, płeć, pochodzenie narodowe, wyznanie, światopogląd, orientację seksualną, tożsamość płciową i stopień sprawności.

Decyzja wywołała gorące reakcje – zwłaszcza z prawej strony. Politycy PiS oskarżają Trzaskowskiego, że „udając walkę o równość, idzie na ideologiczną wojnę w imię lewicowego fanatyzmu". Apelują: „Nie pozwólmy, aby lewacka tęcza zastąpiła krzyż!". Druga strona także krytykuje prezydenta Warszawy, zarzucając mu, że znowu nierozważnie podsunął paliwo wyborcze PiS-owi.

Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej stwierdza, że władze publiczne zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, ale jednocześnie zapewniają swobodę wyrażania ich w życiu publicznym (art. 25). Z tego artykułu wynika, że krzyże mogą, ale nie muszą wisieć w urzędach – jest wiele innych, bardziej właściwych miejsc publicznego praktykowania religii.

Symbole nadużywane mogą tracić swoją religijną wymowę i ostatecznie oznaczać coś zupełnie innego niż pierwotnie. Tak stało się z krzyżem w Polsce w ostatnich latach.

Symbolem tym walczy się w politycznych potyczkach (i właśnie mamy tego nową odsłonę). Już dawno przestał on być u nas symbolem ostatecznego poświęcenia się za innych – zwłaszcza za najbardziej bezbronnych – a stał się pałką do bicia inaczej myślących.

Chciałbym, by na ścianach każdego urzędu w Polsce wisiał znak symbolizujący ewangeliczną wrażliwość – troskę o prześladowanych, pogardzanych, spychanych na margines. Niestety my, katolicy, krzyż albo obrzydziliśmy innym, albo pozwoliliśmy na to. Teraz nie zatrzymujmy się na obronie samego symbolu, brońmy przede wszystkim jego źródłowego sensu. ©℗

Plany ajatollahów

WOJCIECH JAGIELSKI

Co dla Iranu, znajdującego się w skomplikowanej sytuacji wewnętrznej i geopolitycznej, oznacza śmierć prezydenta Ebrahima Raisiego w katastrofie śmigłowca?

Przyczyną tragedii była najprawdopodobniej gęsta mgła. Zła pogoda i niedostępność terenu utrudniały akcję ratunkową, która trwała całą noc. Razem z prezydentem zginął minister dyplomacji Hosajn Amir-Abdollahian. Wracali znad granicy z Azerbejdżanem, gdzie wraz z tamtejszym prezydentem Ilhamem Alijewem uczestniczyli w uroczystości otwarcia zapory na rzece Araks. Do katastrofy doszło, gdy składająca się z trzech śmigłowców powietrzna karawana prezydencka zmierzała przez góry do Tabrizu.

Raisi został wybrany na prezydenta w 2021 r., a objęcie przez niego urzędu uznano za faktyczne przygotowanie sukcesji na stanowisku Najwyższego Przywódcy, zajmowanym od 1989 r. przez 85-letniego ajatollaha Alego Chameneiego, następcę ajatollaha Ruhollaha Chomejniego, przywódcy rewolucji, która w roku 1979 obaliła szacha i monarchię, ustanawiając teokratyczną republikę kleru.

Jako prezydent, a następnie Najwyższy Przywódca, 63-letni Raisi, uchodzący za lidera „jastrzębi" wśród rządzącego w Iranie kleru, miał przez długie lata wytyczać kierunki irańskiej polityki zarówno wewnętrznej, jak też zagranicznej. Za próbę porządków, jakie pod jego rządami miały panować w Iranie, może posłużyć brutalne (ponad pół tysiąca zabitych, kilkadziesiąt tysięcy aresztowanych) stłumienie jesienią 2022 r. buntu młodzieży przeciwko obowiązkowi noszenia hidżabów.

W polityce zagranicznej pod rządami Raisiego Iran, wierny przykazaniu wrogości wobec Ameryki i Zachodu, współpracował gospodarczo z Chinami, sprzyjał Rosji w wojnie w Ukrainie i dostarczał jej bojowe drony, a na Bliskim Wschodzie robił wszystko, by wyprzeć stamtąd Amerykanów i osłabić Izrael (dzięki pośrednictwu Chin pogodził się z Arabią Saudyjską, udaremniając amerykańskie wysiłki tworzenia antyirańskiego przymierza państw arabskich i Izraela), ale jednocześnie uniknąć eskalacji wojny w Strefie Gazy w konflikt regionalny, w którym nie miałby szans na wygraną.

Śmierć Raisiego zmusza ajatollahów do rozpoczęcia procesu sukcesji od nowa. Intronizację Raisiego (na razie zastąpi go wiceprezydent Mohammad Mochber) przygotowywano od lat, eliminując z wszelkich wyborów jego politycznych rywali i przeciwników, i awansując „jastrzębie" na najważniejsze stanowiska w republice kleru. Ich dominacja zapowiada, że to spośród nich wywodzić się będzie przyszły prezydent i Najwyższy Przywódca. ©℗

Akcja ratunkowa na miejscu katastrofy prezydenckiego śmigłowca. Północno-zachodni Iran, 20 maja 2024 r.

AZIN HAGHIGHI / AP / EAST NEWS

NA PUNKTY

PREMIER I RAKIETA
Najlepsza polska tenisistka Iga Świątek pokonała Białorusinkę Arynę Sabalenkę w finale rzymskiego turnieju WTA 1000, a upojony jej sukcesem Donald Tusk napisał na portalu X: „Iga. Tenisowa Tarcza Wschód", nawiązując do propagandowej nazwy „Narodowego Planu Obrony i Odstraszania", który ma zwiększyć bezpieczeństwo wschodniej granicy, a przy okazji skłonić wahających się wyborców do poparcia PO w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

MINISTROWIE I WYBORCY
A wyborcy mają powody, żeby się wahać: 52,1 proc. badanych przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej" negatywnie ocenia decyzję czterech członków rządu Tuska o kandydowaniu na europosła; zamianę foteli (i diet) popiera 34,3 proc., pozostali nie mają zdania.

PREZENTERKA I SCENARIUSZ
Okazuje się, że była prezenterka TVP Magdalena Ogórek także nie miała zdania: przepraszając posła PO Andrzeja Halickiego za zniesławiający go materiał wyemitowany w 2019 r., oświadczyła, że nie znała jego treści i tylko odczytywała przygotowany tekst. ©℗

Młodszy brat, starszy brat

ANNA ŁABUSZEWSKA

Z pierwszą wizytą po prezydenckich pseudowyborach Putin udał się do Chin. Chciał tym pokazać światu, że nie jest izolowany i ma przyjaciół wśród najważniejszych przywódców. Krytycy określili cele wizyty ostrzej: wasal Putin udał się do Pekinu po zatwierdzenie swojej władzy, tak jak niegdyś ruscy książęta jeździli do chana Złotej Ordy po jarłyk.

Xi Jinping przyjął gościa z rozmachem, kordialnie poklepał po ramieniu. Starannie reżyserowane relacje ze spotkań miały pokazać, że obu łączy przyjaźń.

SERGEI BOBYLYOV / AFP / EAST NEWS

Podczas wizyty nie zapadły decyzje świadczące o przełomie czy zmianie kursu. Rosja potwierdziła, że widzi w ChRL głównego partnera politycznego i gospodarczego, a Chiny z dystansem odniosły się do propozycji rozszerzenia współpracy. Wydaje się, że Pekinowi wystarcza obecny poziom kooperacji – w 2023 r. wartość wymiany handlowej była rekordowa: 240 mld dolarów (gdy handel chińsko-amerykański to 575 mld). Za to Moskwa chciałaby więcej: Putin nie porzucił nadziei, że strony znajdą formułę dla sfinansowania budowy gazociągu Siła Syberii 2 i Rosja zwiększy eksport gazu do Chin. Pekin jednak nie spieszy się z decyzją. Z chęcią korzysta za to z możliwości zakupu tańszych surowców energetycznych od objętej sankcjami Rosji. Za największe osiągnięcie wizyty obserwatorzy uznali decyzję Chin o zdjęciu zakazu eksportu z Rosji topinamburu i chrząstek wołowych.

Wiadomo, że Rosja posila się u chińskich dostawców towarami podwójnego przeznaczenia – służącymi i do celów cywilnych, i wojskowych. Tego rodzaju kontrakty być może nie zobaczą światła dziennego. Albo powstaną nowe kanały dostaw, jak w przypadku łożysk kulkowych – eksport chińskich łożysk do Kirgistanu wzrósł w 2023 r. o 1800 proc. i można sądzić, że materiały te, niezbędne w produkcji sprzętu wojskowego, trafiły przez Kirgistan do Rosji.

Temat wojny w Ukrainie, przez Chiny zwanej konsekwentnie „kryzysem ukraińskim", omawiano zapewne jedynie podczas zamkniętych rozmów Putina i Xi; w oficjalnym komunikacie potraktowano go lakonicznie.

Zwracało uwagę przymilne zachowanie Putina wobec Xi. W tym duecie Rosja już od dawna nie jest starszym bratem, a staje się młodszym partnerem, coraz bardziej uzależnionym od Chin. ©

Czy NATO obroni ukraińskie niebo?

WOJCIECH PIĘCIAK

Położenie Ukrainy jest krytyczne. Brakuje ludzi i sprzętu (zachodnie dostawy są wciąż za małe), Rosja systematycznie dewastuje z powietrza kraj, w tym system energetyczny. Jest on znów celem nalotów, w efekcie co chwila brakuje prądu (awaryjnie wysyła go m.in. Polska). Rosjanie przejęli inicjatywę strategiczną: mają przewagę na polu walki, krok po kroku zdobywają Donbas, otworzyli nowy front pod Charkowem i mogą uderzyć na sąsiednie Sumy. Rozbudowują swój potencjał (przy wsparciu Chin) i mają dość ludzi gotowych za pieniądze iść na front, a społeczeństwo milczy lub popiera Putina (daje się przekonać, iż to wojna obronna). Kreml czuje się na tyle silny, że śle sygnały, iż może rozmawiać – na warunkach, które oznaczają koniec wolnej Ukrainy.

W tej sytuacji po stronie Zachodu potrzebny jest nie tylko wymiernie zwiększony wysiłek (szybciej i więcej broni). Potrzeba też nowych idei: nowego wejścia do tej rozgrywki z Moskwą, której stawką jest, jak wiadomo, nie tylko przyszłość Ukrainy.

Wokół jednej z takich idei trwa właśnie debata w Niemczech: coraz więcej polityków i z opozycji, i z rządzącej koalicji opowiada się za tym, by armie NATO podjęły się obrony ukraińskiego nieba, choćby częściowo. Plan zakłada, że zachodnie systemy rozlokowane wzdłuż granicy mogą strącać cele bezzałogowe – rakiety czy drony – w pasie 70-100 km (tyle sięgają np. systemy Patriot). Stworzy to strefę w miarę bezpieczną na zachodniej Ukrainie, odciąży ukraińskich przeciwlotników i będzie mocnym sygnałem dla Rosji.

To pomysł wymierny, technicznie możliwy. Aby został zrealizowany, trzeba decyzji politycznej – przynajmniej głównych krajów NATO. ©℗

Watykan ostrożnie o objawieniach

KOŚCIÓŁ ▪ Watykańska Dykasteria Nauki Wiary opublikowała „Normy postępowania w rozeznawaniu domniemanych zjawisk nadprzyrodzonych". Jest to dokument ważny i potrzebny. Poszukiwanie nadzwyczajnych wydarzeń jest bowiem silnie rozpowszechnione wśród ludzi wierzących, a wiążą się z nim różne negatywne zjawiska.

Watykański dokument zainspirowany jest w dużej mierze myślą jednego z największych mistyków chrześcijaństwa – Jana od Krzyża. Podobnie jak ten XVI-wieczny doktor Kościoła, z jednej strony przypomina o powszechnej dostępności mistycznego, doświadczalnego kontaktu z Bogiem, a z drugiej wskazuje, że dokonuje się on raczej w zwykłych okolicznościach codziennego życia niż za sprawą nadzwyczajnych objawień i cudów.

W tym kontekście Watykan przypomina, że Kościół z zasady nie stwierdza nadprzyrodzonego charakteru żadnych zjawisk. Co najwyżej ocenia, czy „pośród" danych wydarzeń można zaobserwować owoce działania Ducha Świętego, czyli pogłębienie dojrzałości wiary osób, które w tych wydarzeniach w jakiś sposób uczestniczą. Jeśli zaś przeważają negatywne skutki takiego zaangażowania, władze kościelne mogą wydać osąd negatywny – że w danym wydarzeniu nie ma nic nadprzyrodzonego.

Tę raczej sceptyczną postawę instytucji kościelnej wobec domniemanych zjawisk nadprzyrodzonych widać wyraźnie w „skali ocen", jaką wprowadza watykański dokument. Ocena najbardziej pozytywna (z pięciu możliwych) – „Nihil obstat" – oznacza, że z powodu widocznych dobrych duchowych owoców i praktycznej nieobecności jakichś negatywnych skutków władza kościelna nie widzi przeszkód, by wokół danego zjawiska organizować działania duszpasterskie. Nie ma jednak mowy o pozytywnym orzeczeniu o nadprzyrodzonym charakterze. Jednoznaczny osąd może mieć jedynie krytyczny charakter – i taki mają dwie najbardziej negatywne oceny: zabraniająca jakiegokolwiek kościelnego zaangażowania lub jednoznacznie odmawiająca danemu zjawisku charakteru nadprzyrodzonego. Istotne jest także, że wśród kryteriów oceny danego zjawiska ważne miejsce zajmuje zbadanie, czy nie wiążą się z nim próby wykorzystania domniemanej nadprzyrodzoności do uzyskania dominacji nad ludźmi.

Watykański dokument próbuje znaleźć środkową drogę pomiędzy uznaniem ludzkiej potrzeby do odnajdywania nadzwyczajnych znaków działania Boga (potrzeby wyraźnie obecnej w pobożności ludowej) a zwróceniem uwagi, że Bóg jest obecny przede wszystkim w każdej, także zwykłej, okoliczności życiowej. ©℗ PIOTR SIKORA

DAMIR SAGOLJ / GETTY IMAGES

Wierni w miejscu objawień Matki Bożej w Medziugorju, sierpień 2020 r.

TRZY PYTANIA

MATERIAŁY PRASOWE SGH

PROF. PIOTR BŁĘDOWSKI
jest ekonomistą SGH, specjalizuje się w polityce społecznej.

Polskie rodziny coraz mniej wydolne opiekuńczo

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Polak 35+ jest rzadziej skłonny zająć się swoimi niepełnosprawnymi rodzicami 60+ niż dekadę temu. Badania ARC Rynek i Opinia na zlecenie emeis Polska pokazują spadek gotowych na to obywateli z 52 do 37 proc.

PIOTR BŁĘDOWSKI: Te wyniki potwierdzają kulturowe i demograficzne trendy. Po pierwsze, słabną funkcje rodziny. Jest ona też dzisiaj mniej wydolna opiekuńczo, bo coraz częściej jest „rozrzucona" po terytorium kraju i świata. Po drugie, za sprawą starzenia się społeczeństwa rośnie liczba osób wymagających opieki, spada zaś pula tych, którzy mogliby taką opiekę sprawować.

Jako alternatywę dla rodziny wybieramy najczęściej (44 proc.) dochodzącą do domu pomoc opiekuńczą i pielęgniarską. Tyle że z nią mamy w Polsce problem.

Mamy problem z opieką formalną – tą bezpłatną. A respondenci mieli też pewnie na myśli prywatne usługi. Opieka w miejscu zamieszkania to przyszłość opieki długoterminowej, zwłaszcza że chcemy stopniowo ograniczać całodobowe instytucje.

Respondenci jakby tego nie zauważyli: w 2014 r. domy opieki dla swoich rodziców było skłonnych wybrać 23 proc. pytanych, teraz – 34 proc.

To niekoniecznie wyraz zaufania do całodobowych placówek [z tych samych badań wynika, że z 25 do 35 proc. wzrósł odsetek obawiających się przemocy w tego rodzaju instytucjach – red.], ale też efekt słabości systemu: poza całodobowymi placówkami nie ma on zbyt wiele do zaoferowania. Brakuje nam przede wszystkim dostępnej w miejscu zamieszkania nieodpłatnej opieki środowiskowej. Nie raz w tygodniu, nie raz dziennie, tylko stosownie do potrzeb. Bez tego nie będziemy gotowi na starzenie się polskiego społeczeństwa. ©℗

Firma, która zleciła badania, prowadzi w Polsce m.in. domy opieki.

Wzmożenie słonecznych burz: róż zórz znów nas wzruszy

KASIA ZAREMBA / PAP

Zorza nad Pustynią Błędowską w miejscowości Klucze, woj. małopolskie. 10 maja 2024 r.

ASTRONOMIA ▪ W nocy z 10 na 11 maja niebo nad Polską jaśniało kolorami za sprawą spektakularnej zorzy polarnej. Niespotykana na naszej szerokości geograficznej widoczność tego zjawiska to przejaw cyklicznej aktywności Słońca.

Za powstawanie zorzy odpowiadają koronalne wyrzuty masy – obłoków plazmy – ze Słońca podczas rozbłysków. Taki obłok (wiatr słoneczny) jest namagnesowany, więc jeżeli znajdzie się w pobliżu Ziemi, zaburza jej pole magnetyczne – dochodzi do zjawiska zwanego geomagnetyczną burzą. Gdy cząstki wiatru słonecznego zderzają się z atmosferą, zawarte w niej pierwiastki ulegają jonizacji, co skutkuje świeceniem. Prawdopodobieństwo wystąpienia zorzy dalej od biegunów jest tym większe, im większy wyrzut słonecznej masy.

A obecnie Słońce jest blisko maksimum aktywności, która zmienia się w 11-letnim cyklu związanym z jego przebiegunowaniem. Obecny cykl rozpoczął się w 2019 r. Naukowcy nie potrafią dokładnie przewidzieć, kiedy dojdzie do wyrzutu cząstek, ale obserwacje plam na powierzchni Słońca pozwalają oceniać etap jego aktywności. Zorze nad Polską w tym roku zawdzięczamy klastrowi plam słonecznych w regionie aktywnym 3664, największym skupisku zaobserwowanym w trwającym właśnie cyklu.

Majowa burza magnetyczna została uznana za największą od 2003 r. Należy do kategorii ekstremalnej – ocena uwzględnia skutki dla infrastruktury i pola magnetycznego Ziemi. Ta burza wywarła wpływ na pracę satelitów, zarówno przez zmianę toru ich ruchu związaną ze zwiększoną gęstością atmosfery, jak i zakłócenia sygnałów. Przełożyło się to na przerwy w działaniu komunikacji radiowej i GPS, a także w zbieraniu danych naukowych. Operatorzy sieci elektrycznych musieli podjąć środki zapobiegawcze, by nie doszło do uszkodzeń – burze geomagnetyczne mogą indukować w obwodach elektrycznych niechciany przepływ prądu.

Podobnych zdarzeń można się spodziewać więcej, bo najsilniejsze burze występują już po okresie najbardziej wzmożonej aktywności Słońca, spodziewanym w tym roku. Ponadto na późniejszych etapach cyklu słonecznego plamy coraz częściej pojawiają się w pobliżu równika Słońca, co zwiększa szansę na to, że koronalny wyrzut masy w ogóle dotrze do Ziemi.

© MARTA LOTKA

Ortografia? Lubię to!

POLSZCZYZNA ▪ „Słyszałem, że lada moment będziemy pisać inaczej” – zagaduje trener Wojtek, gdy pocę się pod dorzuconymi przez niego na sztangę kilogramami. W dniu, w którym Rada Języka Polskiego poinformowała o wchodzących w życie z początkiem 2026 r. nowych zasadach ortograficznych, na temat bezwyjątkowej pisowni łącznej partykuły „nie” z imiesłowami oraz innych zmianach dyskutowano nie tylko w mediach, ale też telewizjach śniadaniowych, na sąsiedzkich grupkach internetowych oraz właśnie na osiedlowych siłowniach. Owszem, to największa zmiana polskiej pisowni od ponad 20 lat. Ale żeby ortografia – kojarząca się ze szkolnymi dyktandami – tak bardzo nas interesowała? A jednak!

Badania jednoznacznie wskazują, że wobec rodzimych zasad pisowni żywimy wiele przyjaznych uczuć. Niemal 70 proc. ankietowanych przez Radę Języka Polskiego deklaruje, że lubi główkować nad zapisem słówek. Język ojczysty jest dla nas na tyle ważny, że w rozmowach o nim dostrzegamy istotne źródło konfliktów. Prawie 40 proc. Polek i Polaków przyznaje, że pokłóciło się kiedyś o kwestie językowe. Częściej do sporów z bliskimi przyznają się młode kobiety, konkretnie: mieszkanki małych miast. Zapewne dlatego, że (co również pokazały ankiety) ich sąsiedzi, bracia, koledzy czy mężowie rzadziej akceptują używanie feminatywów.

WOJTEK JARGIŁO / PAP

Jedna z twórczyń badania, ekspertka Zespołu Retoryki i Komunikacji Publicznej Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN, prof. Ewa Kołodziejek z Uniwersytetu Szczecińskiego przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem”, że językowe przyzwyczajenia dają nam poczucie bezpieczeństwa. Nie lubimy, gdy coś nagle się zmienia. O potrzebie ciągłości i stałości, która odzywa się w nas przy okazji zmian pisowni, mówi też inna ekspertka zespołu, prof. UAM dr hab. Barbara Sobczak, wskazując, że Polki i Polacy czują się specjalistami ds. języka. Szczycimy się tym, że polski jest trudny, a jednocześnie uważamy się za prymusów: większość z nas wystawiłaby sobie z polskiego czwórkę albo piątkę (tylko niecałe 10 proc. – niższą ocenę). Nic dziwnego, że poczuliśmy się w obowiązku decyzję Rady zaopiniować.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TEMAT TYGODNIKA

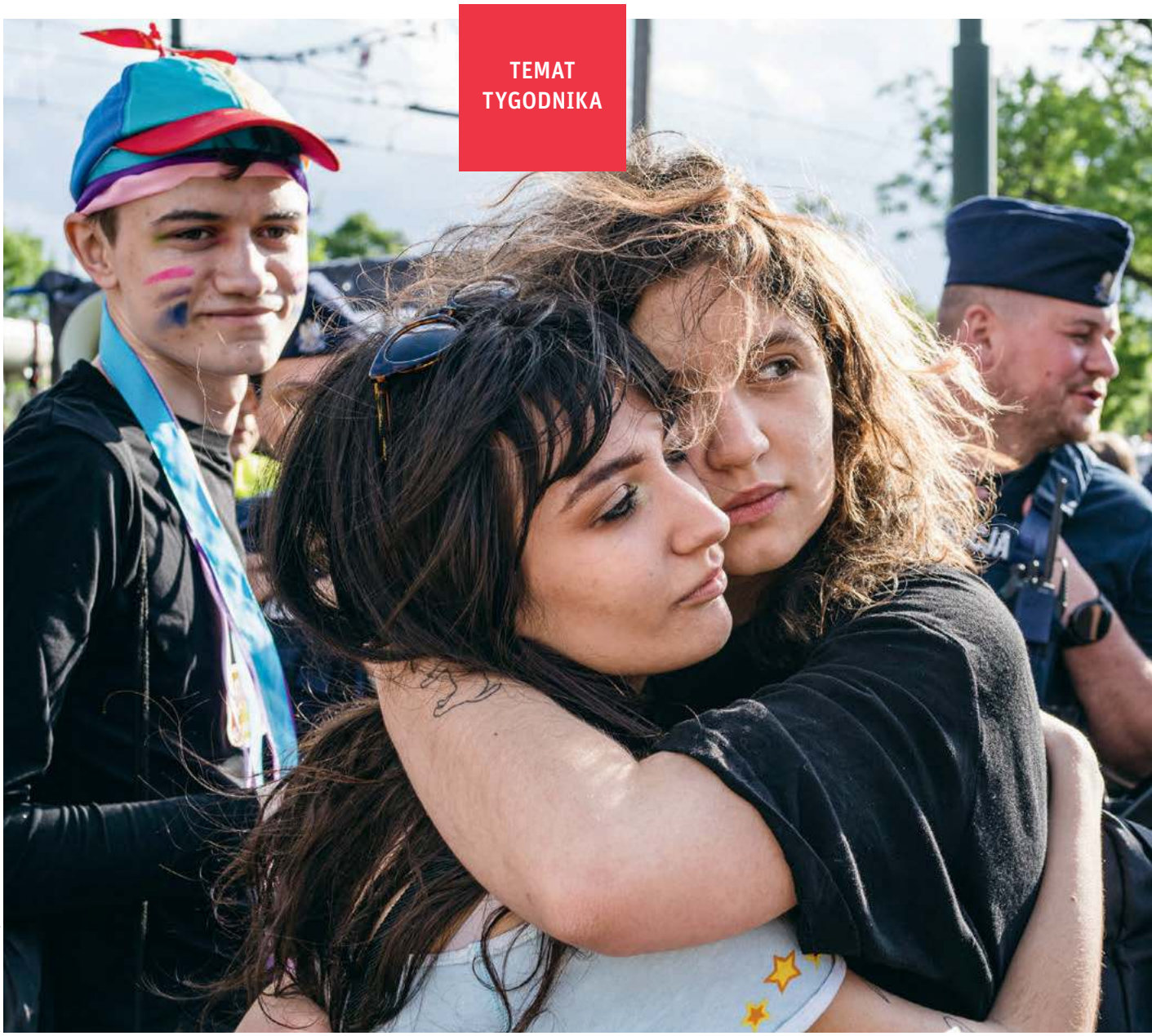

JOANNA MRÓWKA / FORUM

PAŃSTWO NIEPARTNERSKIE

Polscy politycy jak ognia boją się prawa, którego przestały się obawiać nawet ich konserwatywne elektoraty. A sami zainteresowani tracą już wiarę, że we własnym kraju przestaną być niewidzialni.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Krakowski Marsz Równości. 21 maja 2022 r.

Rafał, po czterdziestce, od kilku lat w związku z Wojtkiem, mówi o sobie: obywatel klasy B. – Mogę głosować, korzystać ze świadczeń i zasobów tego państwa. Ale w jednej, bardzo ważnej sferze życia nie istnieję. Związki partnerskie sprawiłyby, że poczułbym się znowu obywatelem klasy A.

Gdy pytam, na ile to w najbliższym czasie realne, słyszę kilkusekundową ciszę. – Jeśli już, to w wersji mocno okrojonej – po chwili mówi Rafał. – Marne szanse – wzdycha Wojtek. – Zawsze będą pilniejsze sprawy. A jeśli nawet coś się tu ruszy, to dopiero po wyborach prezydenckich.

Marta, po pięćdziesiątce, od kilkunastu lat w związku z Izą, uważa, że związki partnerskie w Polsce wyciągane są tylko dla politycznej awantury: – Teraz znowu są na tapecie. I znowu znikną, gdy skończą się wybory europejskie.

– Jestem chłodnym optymistą. Dzisiaj, mimo wszystko, jesteśmy bliżej ich wprowadzenia niż kiedykolwiek w III RP – uważa z kolei Jarosław Jagura, prawnik Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, jednej z pięciu organizacji zrzeszonych w Koalicji na rzecz Związków Partnerskich i Równości Małżeńskiej.

Co uważają ci, od których wszystko będzie zależeć, czyli politycy nowej koalicji, to opowieść dłuższa i bardziej skomplikowana.

Drobne opóźnienia i wielki hamulcowy

Może to być opowieść o lekcji politycznego realizmu, jaką odbiera ministra ds. równości w rządzie Donalda Tuska, Katarzyna Kotula z Nowej Lewicy. I o jej zmieniającej się mowie ciała: jeszcze w grudniu i styczniu wyrażającej zapał oraz pewność siebie, potem przechodzącej w zauważalne poczucie frustracji.

Dla formacji Kotuli ta ustawa była priorytetem. O tyle realistycznym, że podobny postulat wysuwała w „stu konkretach" także Koalicja Obywatelska. Tym bardziej oczekiwanym, że 12 grudnia, a więc dzień przed powołaniem nowego gabinetu, Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł, iż Polska łamie prawa swoich obywateli i że musi wprowadzić regulacje dla związków jednopłciowych. „Czas dyskryminacji mija" – ogłaszała triumfalnie Kotula w grudniu na platformie X. I dodawała: „To skandaliczne, że PiS doprowadził do tego, że osoby LGBT o swoje prawa musiały walczyć na arenie europejskiej, bo w ich ojczyźnie nienawistna władza odbierała im podstawowe prawa".

Później były kolejne deklaracje terminów pojawienia się projektu. W styczniu w Polsat News Kotula mówiła, że prawo o związkach partnerskich „to nie jest kwestia problemowa" i że zostanie pokazane przed wiosną. W połowie kwietnia, a zatem wczesną wiosną, że debata nt. aborcji nieco spowolniła bieg wypadków w temacie związków, ale ustawa i jej założenia są już gotowe. I że ma nadzieję na ich ogłoszenie – w formie projektu rządowego, co podkreślała przy każdej okazji – „w ciągu kilku dni".

Na początku maja Kotula – już bez obecnego wcześniej pojednawczego tonu w stosunku do koalicjantów – wyznała w TVN24, że „wielkim hamulcowym" w sprawie związków jest PSL i osobiście ich lider Władysław Kosiniak-Kamysz. Ujawniła też, że przez wiele tygodni toczyły się z ludowcami „dobre rozmowy", ale zbliżające się wybory europejskie sprawiły najwyraźniej, iż lider PSL nie chce otwarcie zgodzić się na kontrowersyjne w jego elektoracie rozwiązania.

– Kosiniak kluczy, kręci – mówi mi Hubert Sobecki z organizacji Miłość Nie Wyklucza, kolejnej zrzeszonej w Koalicji. – Nie chce powiedzieć wprost, że według niego rodzin LGBT+ ma w Polsce nie być.

– Myśli pan, że taki wyznaje pogląd? – dopytuję Sobeckiego.

– W praktyce się to do tego sprowadza. Zrobiliśmy ostatnio szeroką akcję słania do niego maili. Rodzina ze Śląska pisała: „Panie Premierze, pewnie Pan nie wie, że miejscowość, w której żyjemy, w ogóle istnieje. Ale pytamy: czym nasza rodzina się różni od pańskiej?". Takich maili poszło ponad tysiąc.

– Reakcja?

– Żadna. I będzie żadna, dopóki się tej partii do reakcji nie zmusi.

– Marszałek senior Marek Sawicki z PSL deklarował, że nie poprze związków.

– One już istnieją, i wychowują dzieci. Bez zgody pana Sawickiego. Proszę więc zadać mu to pytanie: co ma tym rodzinom do zaoferowania?

Odpowiedź jest prosta: nic. Gdy pytam marszałka seniora, czy jest skłonny poprzeć projekt w jakiejkolwiek formie, odpowiada bez sekundy wahania. – Nie. Najpierw chcą paluszek, potem rękę, a potem już po całości – mówi o działaczach społeczności LGBT+. Gdy zaś pytam, co najbardziej przeszkadza mu w ewentualnej ustawie, odpowiada: – Wszystko. Jeśli ja słyszę, że taki projekt będzie ułatwiał rozwody, to dziękuję. Niech sobie żyją, tak jak żyją, i niech robią tak, jak robili do tej pory. Ja żadnej zmiany prawa nie poprę.

– To kuriozalne, że gdy domagamy się prawa do ślubu cywilnego, które pan Sawicki posiada od zawsze, w odpowiedzi słyszymy, że chcemy rozwodów – ripostuje Sobecki. – Rozumiem, że ani ↦

↦ kolejne śluby, ani rozwód Władysława Kosiniaka-Kamysza nie wzbudzają w panu pośle takich obaw?

Co faktycznie może się znaleźć w ewentualnej ustawie? I czy rzeczywiście konserwatywni politycy mają się tu czego obawiać?

Chcą bezpieczeństwa...

Polska jest jednym z ostatnich krajów – obok Litwy, Rumunii, Bułgarii i Słowacji – bez ustawy o związkach partnerskich. Kolejne kilka państw, jak Łotwa, Węgry, Włochy, Cypr, Chorwacja i Czechy, ma wyłącznie tę formułę prawną dla par jednopłciowych (w pozostałych unijnych krajach istnieje równość małżeńska).

Nie ma stałego zestawu praw mieszczących się w formule związku partnerskiego. Może on oznaczać tylko podstawowy zestaw zapisów ułatwiających – w sferze spadkowej czy podatkowej – codzienne życie. A może powoływać instytucję niemal niczym, poza nazwą, nieróżniącą się od małżeństw, bo zawierającą nawet prawo do wspólnej adopcji dziecka.

Także wspomniany wyrok ETPC nie przesądził, w jakiej formie Polska ma uczynić zadość prawom par jednopłciowych. – W ogóle konsekwencje zlekceważenia tego wyroku trudno określić, bo przecież Rada Europy nie ma siłowych argumentów, a tylko dyplomatyczne – mówi Jarosław Jagura. – Podobnymi wyrokami nie przejmują się reżimy, nie przejmował się PiS, jednak niewypełnianie takich postanowień psuje nam teraz reputację.

Treść projektu, jaki przedłoży być może w końcu ministra Kotula, jest nieznany. – Ale znamy jego założenia – przypomina Hubert Sobecki. I wylicza: możliwość zawarcia wspólnoty majątkowej, wspólnego rozliczenia podatkowego, automatyczne dziedziczenie po partnerze bez płacenia najwyższego podatku od spadku, dziedziczenie świadczeń emerytalnych, prawo do decydowania o pochówku, gwarancja otrzymania informacji o stanie zdrowia i decydowania o leczeniu. – Dodatkowo wśród założeń są tzw. przysposobienia wewnętrzne. Chodzi o sytuację, w której para wspólnie wychowuje biologiczne dziecko jednej z osób, a druga otrzymuje prawa rodzicielskie – mówi Sobecki.

I zastrzega, że ustawa o związkach partnerskich to z punktu widzenia społeczności LGBT+ i tak wybrakowana i dyskryminująca formuła: – Nasz postulat to od lat równość małżeńska, ale związki partnerskie są krokiem w stronę wyrównania praw.

MARTA:

Dla mojej rodziny to, co robię, jest „chore" i „zboczone". Moja mama wolałaby mnie widzieć martwą niż w związku z kobietą.

Czego oczekują sami zainteresowani? – Nie jesteśmy już młode, więc dla nas najważniejsze jest bezpieczeństwo – mówi Marta. – I takie sprawy jak dziedziczenie, możliwość wzięcia wolnego w przypadku choroby partnerki czy dostęp do informacji o stanie zdrowia.

Dla Rafała ważne jest dziedziczenie. – Przytoczę prawdziwą historię – mówi. – Umiera właściciel lokum, w którym mieszkał przez dekady z partnerem. I ten partner z dnia na dzień zostaje bezdomny, bo lokum formalnie nie było jego własnością, choć był najbliższą osobą dla zmarłego. Owszem, mogli sobie sporządzić testament, tylko że ten testament może później sądownie podważyć rodzina zmarłego. A nawet jeśli nie podważy, to ten partner zapłaci rodzinie zachowek i wysoki podatek od spadku.

– Mało się u nas mówi o nieheteroseksualnych parach w wieku senioralnym – dodaje Rafał. – O ile w latach 60. czy 70. liczba jawnych i żyjących razem par jednopłciowych była niewielka, to w latach 90. czy dwutysięcznych wzrosła. Dziś ci ludzie już są w wieku emerytalnym albo zbliżają się do niego. I chcą mieć te same prawa co heteroseksualne małżeństwa, w których np. pobierająca niższą emeryturę żona przejmuje po śmierci męża część jego świadczeń. Dziś osobę będącą w związku z partnerem albo partnerką przez dekady można wymazać gumką w godzinę od śmierci tej drugiej strony.

– Bardzo ważnym aspektem jest też prawo do decydowania o miejscu i rodzaju ceremonii pogrzebowej. Do dziś pamiętam partnera pacjenta, który ze łzami w oczach zapytał mnie: „Co zrobić, bym to ja mógł go pochować?" – dodaje Wojtek. Obaj zaznaczają, że dla nich związek partnerski powinien oznaczać nie tylko prawa, ale też wzajemne obowiązki, wsparcie, opiekę.

Gdy dekadę temu Joanna Mizielińska, Marta Abramowicz i Agata Stasińska badały w Instytucie Psychologii PAN związki jednopłciowe (kompleksowych pomiarów ilościowych tej grupy już później nie było), aż 75 proc. pytanych chciało zarejestrować w przyszłości swoje relacje, gdyby zaistniała taka możliwość. Większość ze względów praktycznych, jak „możliwości odbierania listów, wspólnego rozliczania się czy objęcia ubezpieczeniem zdrowotnym swojego partnera/partnerki" (za raportem „Rodziny z wyboru w Polsce. Życie rodzinne osób nieheteroseksualnych").

...swojego i dzieci

W badaniach sprawdzono też oczekiwania par wychowujących potomstwo. „Prawie połowa rodziców (...) wspomniała (...) o problemach związanych z trudnościami w kontaktach ze służbą zdrowia czy szkołą – pisały autorki. – (...) Rodzic społeczny wychowujący dziecko jest formalnie osobą obcą i nie może podejmować żadnych decyzji dotyczących dziecka".

Marta opowiada o kobiecie z dzieckiem, którego biologiczny ojciec zniknął, gdy syn był mały. Kobieta po krótkim czasie związała się z partnerką, która przez kolejne kilkanaście lat była faktycznym rodzicem. – Później biologiczna matka zmarła na raka – relacjonuje Marta. – Szczęście w nieszczęściu, że dziadkowie, stanowiący dla dziecka najbliższą rodzinę, zaakceptowali partnerkę zmarłej córki jako matkę. Ale gdyby tego nie zrobili, byłaby wojna o opiekę. Zakończona najpewniej zwycięstwem krewnych.

Koordynująca wspomniane badania w PAN prof. Joanna Mizielińska (dziś Collegium Civitas) zwraca uwagę, że nowa ustawa o związkach partnerskich powinna zawierać możliwość wewnętrznych przysposobień z jeszcze jednego powodu: – Na Węgrzech, ale też w innych miejscach, gdzie ten element w ustawie pominięto, pary jednopłciowe niechętnie korzystały z nowego prawa. Dotyczyło to zwłaszcza par z dziećmi.

I to nie tylko tych, które wspólnie wychowują biologiczne dziecko jednej ze

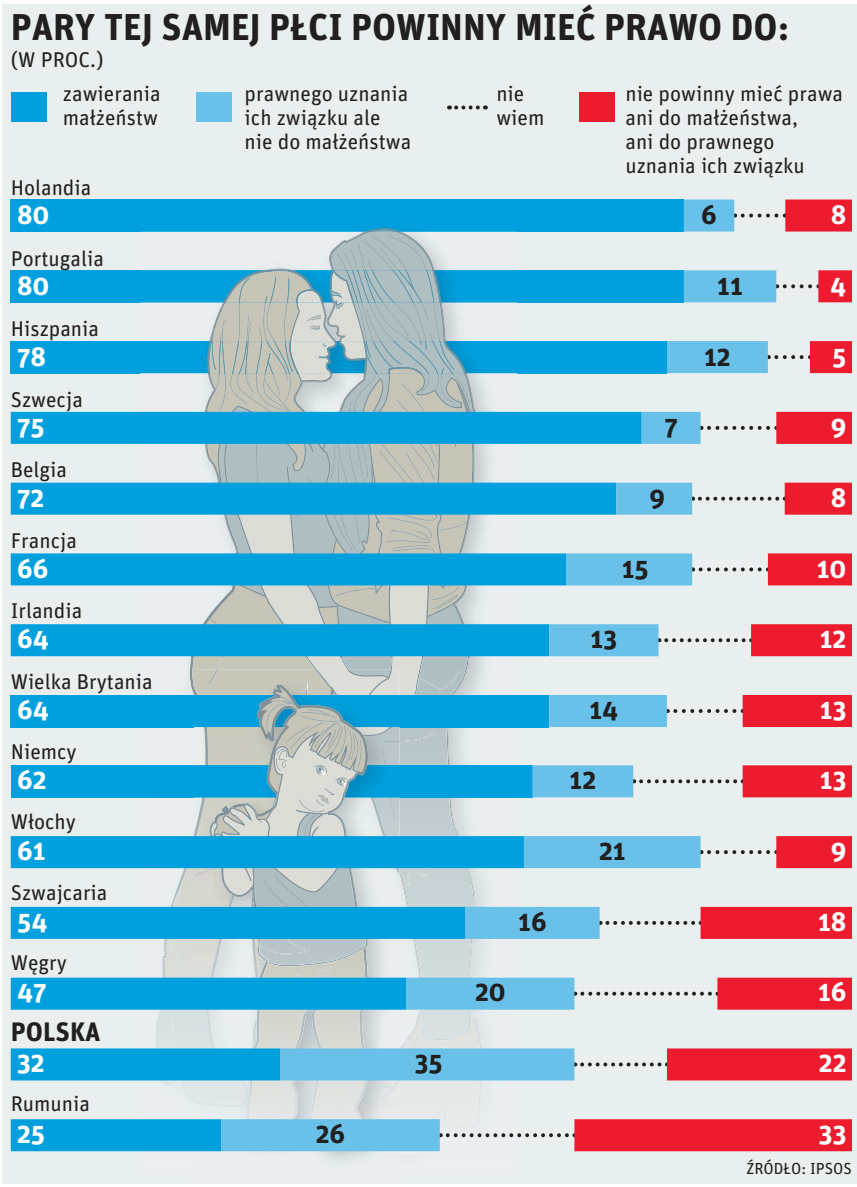

stron. – Problemy mogą mieć także pary, które za granicą adoptowały dziecko albo mają wspólne potomstwo pochodzące np. z surogacji, a następnie wracają do Polski – mówi Jarosław Jagura z HFPC. – Ustawa powinna regulować sytuację takich dzieci, zapewniając im choćby polskie dowody osobiste i akty urodzenia. Teraz takie dziecko pojawia się na terenie RP i zawisa w prawnej próżni. Nie może nawet mieć dowodu z wpisanymi imionami rodziców, są problemy z numerem PESEL. A pamiętajmy, że jest on potrzebny do tak prozaicznych rzeczy jak zapisanie dziecka do przedszkola.

Wszystko jednak wskazuje na to, że projekt zawierający wewnętrzne przysposobienia nie przejdzie przez Sejm: takim zapisom „weto" mówi nie tylko marszałek Sawicki, ale też wicepremier Kosiniak-Kamysz. Czy tym oporom konserwatywnych polityków towarzyszą podobne opory ich wyborców? Sondaże są co najmniej niejednoznaczne. Wiele zależy od tego, jakim językiem politycy opowiedzą Polakom o potencjalnej zmianie.

Wyborcy PiS: dlaczego nie?

Gdyby za punkt odniesienia brać inne kraje, to jesteśmy na szarym końcu. W zeszłym roku IPSOS przeprowadził w 30 państwach świata sondaż, który pokazał m.in. skalę akceptacji dla jednopłciowych małżeństw i innych form prawnego uznania par tej samej płci. Na małżeństwa zgadza się w Polsce 32 proc. pytanych (mniej tylko w Singapurze, Rumunii i Turcji), zaś na inne formy kolejne 35 proc. Z kolei adopcje aprobuje najniższy ze wszystkich krajów odsetek – 33 proc. pytanych.

Gdy jednak za punkt odniesienia brać odpowiedzi Polaków na te same pytania dekadę wcześniej, widać zmianę: np. jednopłciowe małżeństwa w 2013 r. popierało o 11 punktów procentowych mniej respondentów (21 proc.). Podobne zmiany widać w innych pomiarach. W 2021 r. sondaż IPSOS dla OKO.press pokazał, że łączna pula Polaków popierających związki partnerskie i/lub równość małżeńską wynosiła 56 proc., przy 39 proc. przeciwników. Rok później odsetek zwolenników wzrósł o 6 punktów procentowych.

Największe zaskoczenie przyniósł niedawny sondaż Ipsos dla OKO.press i TOK FM, w którym zupełnie inaczej zdefiniowano problem. „Pary osób tej samej płci czasem wychowują wspólnie dzieci. Obecnie prawo uznaje tylko rodzica biologicznego. Czy Pana/Pani zdaniem partner lub partnerka rodzica biologicznego powinni mieć prawną gwarancję przysposobienia dziecka, żeby zabezpieczyć jego sytuację np. na wypadek śmierci rodzica biologicznego?". Na tak postawione pytanie, będące w gruncie rzeczy pytaniem o najbardziej dla polityków kontrowersyjną składową ustawy o związkach partnerskich, pozytywnie („zdecydowanie tak" lub „raczej tak") odpowiada 69 proc. pytanych. Najciekawszy jest rozkład odpowiedzi wedle partyjnych preferencji. Najwyższe poparcie przysposobienia wewnętrzne dzieci mają w elektoratach KO i Lewicy (odpowiednio 88 i 85 proc.). Jednak także w Trzeciej Drodze, w której jest PSL, poparcie to wynosi aż 75 proc. A i w elektoratach PiS oraz Konfederacji przekracza połowę pytanych (odpowiednio 55 i 54 proc.).

– Myślę, że polskie społeczeństwo jest bardziej postępowe niż klasa polityczna, i to nie od dzisiaj – komentuje prof. Mizielińska. – Już dekadę temu z naszych badań fokusowych wynikało, że wiele par żyje, nie napotykając wokół siebie na objawy niechęci. A równocześnie w Sejmie odbyła się wtedy szokująco homofobiczna debata o związkach partnerskich. Dziś również konserwatywni politycy próbują zagospodarować społeczne emocje, które moim zdaniem przeceniają.

Dla kogo ustawa

Zwłaszcza że nowe prawo może posłużyć także parom heteroseksualnym, które ↦

↦ z jakiegoś powodu nie chcą małżeństwa, a jednak zamierzają swoją relację sformalizować. Podkreślała to minister Kotula, deklarując nawet, że jako pierwsza – wraz z partnerem – skorzysta z takiej prawnej możliwości. Ile jest znajdujących się w podobnej sytuacji chętnych, tego nikt nie wie.

Nie wiadomo też do końca, ile mamy w Polsce par jednopłciowych. Szacunki oparte na przyjętym w świecie założeniu, iż w każdej populacji jest 5-7 proc. gejów i lesbijek, wskazują na przynależność do tej grupy co najmniej 2 milionów Polaków. – Badania wskazują, że mniej więcej co druga taka osoba jest w związku intymnym – mówi prof. Mizielińska. – To by oznaczało, że mamy w Polsce kilkaset tysięcy takich związków.

Z kolei wspomniane badania ilościowe tej grupy przeprowadzone przez badaczki PAN pokazały, że w grupie par jednopłciowych dzieci wychowuje 9 proc., zaś w grupie nieheteroseksualnych singli – 2 proc. – Można zatem oszacować, że w dwóch milionowych grupach, osób żyjących w związkach i singli, rodzice będą stanowić łącznie około 110-120 tysięcy, dzieci może być zatem przynajmniej tyle – precyzuje badaczka.

Ponad milion dorosłych i ponad 100 tys. dzieci – taka może być zatem realna liczba osób bezpośrednio zainteresowanych polską ustawą o związkach partnerskich. Co o nich wiadomo? Jak się czują w Polsce?

Trwałe, monogamiczne, szczęśliwe

– Niemal dekadę temu, gdy ogłaszałyśmy wyniki naszych badań, wywołały one spore poruszenie – mówi prof. Mizielińska. – Głównie te ustalenia, które dotyczyły trwałości związków jednopłciowych, wierności, a także życiowych priorytetów i wyznawanych wartości. Niemal wszystkie szły pod prąd stereotypom.

Przeciętny związek jednopłciowej pary trwał dekadę temu cztery lata. Zdecydowana ich większość (w przypadku kobiet bliska 100 proc.) miała charakter monogamiczny. Aż dwoje na troje pytanych mieszkało wraz z partnerką/partnerem, zaś większość pozostałych miała takie plany. Większość badanych była też szczęśliwa w związkach – ponad 90 proc. stanowili zadowoleni z różnych aspektów relacji.

RAFAŁ:

Sąsiedzi wiedzą, że jesteśmy w związku, i nigdy nie spotkaliśmy się z negatywnym odbiorem. Na zakupach zdarza się nam usłyszeć: „Czego państwo sobie życzą?”

Związki męskie od żeńskich różniły się głównie pod względem wychowywania dzieci. O ile w grupie par gejowskich tylko co piąty rodzic społeczny (partner ojca biologicznego dziecka) uczestniczył w wychowywaniu potomstwa, wśród par lesbijskich odsetek ten sięgał aż 68 proc. „Rodzic społeczny (w badaniu były to głównie matki społeczne) nie tylko równo uczestniczył w opiece nad dzieckiem, ale też w prawie równym stopniu utrzymywał dziecko” – pisały autorki badania.

Bodaj najciekawsze ustalenia dotyczyły hierarchii wartości. Na ich szczycie stał związek (78 proc. wskazań), plasując się wyraźnie wyżej od zdrowia i przyjaciół (51 i 28 proc.), podczas gdy podobne badania na ogólnopolskich próbach pokazywały zdecydowanie więcej wskazań na inne kategorie (np. dzieci, pracę czy pieniądze). „Osoby nieheteroseksualne – pisały badaczki – mają inną hierarchię wartości, na którą znaczący wpływ może mieć ich doświadczenie związane z odrzuceniem przez społeczeństwo”.

W tamtych badaniach socjolożki PAN próbowały też ustalić, do jakiego stopnia polskie związki jednopłciowe są jawne.

Lepiej martwa niż w związku z kobietą

– Żyję od zawsze w ukryciu. Można powiedzieć, że w kłamstwie – wyznaje Iza. Z Martą poznały się kilkanaście lat temu w przedszkolu ich małych wówczas dzieci, pochodzących z zakończonych bądź właśnie rozpadających się związków hetero. Dziś te dzieci mają już ponad dwadzieścia lat, ale w sytuacji Izy niewiele się zmieniło.

– Dla mojej rodziny to, co robię, jest „chore” i „zboczone”. Jestem przekonana, że moja mama wolałaby mnie widzieć martwą niż w związku z kobietą. Nawet w pracy słyszę, że kobieta powinna być z mężczyzną. I to od osób wykształconych, mieszkających i pracujących w dużym mieście – opowiada Iza, która od początku zastrzegła, że nie chce występować pod swoim prawdziwym imieniem (zmieniłem też w związku z tym imię jej partnerki).

– U mnie było znacznie łatwiej – opowiada Marta. – Gdy spotykałam się z pierwszą dziewczyną, powiedziałam o tym siostrze, a potem mamie. Szczęścia i radości może nie było, ale była akceptacja. Iza towarzyszy mi w spotkaniach rodzinnych: ślubach czy urodzinach. To nadal nie to samo, co siostra z mężem, którzy funkcjonują oficjalnie jako para. My jesteśmy razem obecne raczej w konwencji: przyjaciółka-przyjaciółka, ale dobre i to. Z tatą w ogóle nie poruszam tematu. Raz tylko on, prosty rolnik, powiedział: „Jest jak jest, rób, żeby było dobrze, ja cię kocham”.

– Pary jednopłciowe mają w Polsce przerąbane. Postrzegani jesteśmy często przez pryzmat stereotypu z parady równości: jako wyuzdani i chcący prowokować – mówi Iza. A Marta dodaje: – Jeśli weźmiemy się pod rękę, to raczej poza naszym miastem, by nie narażać Izy. Nigdy nie spotkałyśmy się na ulicy z niechęcią. Ale to może wynikać z faktu, że przyzwolenie na dwie kobiety okazujące sobie czułość jest większe niż na dwóch facetów.

Rafał i Wojtek też nie pamiętają nieprzyjemnych zdarzeń. – Nie licząc okolic klubów LGBT+ i parad równości – zastrzegają. – Tam okrzyki w stylu „pedały” lub „lesby” to norma.

Wojtek, pracujący w ochronie zdrowia, zapamiętał sytuację, gdy po pomoc zwrócił się pobity gej. „Skoro tak się ubiera, to nic dziwnego, że go to spotkało” – komentowali inni medycy. – Zszokowało mnie to – opowiada Wojtek. Rafał z kolei mówi: – Z hejtem można się spotkać na ulicy w Berlinie, który uchodzi za miasto otwarte. A w Tunezji, to też historia autentyczna, można w hotelu usłyszeć pytanie, czy chcemy pokój ze wspólnym łóżkiem. Nie ma reguły.

Sami od lat żyją w dużej mierze jawnie. Na wsi niedaleko Żyrardowa, w domu razem z rodziną Rafała. – Najbliżsi sąsiedzi wiedzą, że jesteśmy w związku, i nigdy nie spotkaliśmy się z negatywnym odbiorem.

Na zakupach ludzie się nawet domyślają i zdarza się nam usłyszeć zdania w rodzaju: „Czego państwo sobie życzą?” – śmieją się Rafał i Wojtek. Przed najbliższą rodziną wyoutowali się dawno, przed dalszą nie. Występują na wspólnych zdjęciach na Facebooku, choć niekoniecznie jako para.

Jedną nogą w szafie

Historie Marty, Izy, Wojtka i Rafała wpisują się mniej lub bardziej w polski społeczny pejzaż otaczający osoby LGBT+. Ostatnia, ogłoszona w 2021 r. edycja publikowanego cyklicznie przez Kampanię Przeciw Homofobii, a prowadzonego przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW raportu pokazała regres społecznej sytuacji tej grupy. Aż 37 proc. z ponad 22 tys. pytanych przyznało, że nikomu w rodzinie nie ujawnili swojej orientacji bądź tożsamości płciowej (wzrost z 33 proc. w roku 2017), a o nieheteronormatywności swoich dzieci wiedziało ledwie 55 proc. matek i 40 proc. ojców. Wspomniany regres w niektórych wskaźnikach eksperci (np. dr Mikołaj Winiewski z CBnU) wiązali z homofobiczną atmosferą podkręcaną przez ludzi Kościoła i polityki.

– Osoba LGBT+ mieszkająca w Polsce wciąż zbyt często boi się wyjść z szafy – podsumowuje gorzko Hubert Sobecki. A prof. Mizielińska dodaje, że badania jednopłciowych par, a więc podgrupy LGBT+ z definicji bardziej odkrytej, dają bardziej zniuansowany, choć też daleki od pełnej jawności obraz. Powszechną wiedzę o związkach przepytywanych dekadę temu par jednopłciowych mieli tylko ich przyjaciele: 52 proc. respondentów odpowiadało, że wszyscy, 30,4 proc., że większość przyjaciół, kolejne 16,1 proc., że niektórzy (w sumie 98 proc. pytanych). Znacznie mniejsza, choć nadal spora jawność panowała wśród współpracowników pytanych: 15,8 proc. respondentów wskazywało odpowiedź „wszyscy”, 22 proc. „większość”, a kolejne 35,6 proc. „niektórzy” (w sumie 69 proc.). Dużo gorzej wyglądała transparentność par w gronie sąsiadów i dalszej rodziny: niemal połowa respondentów odpowiedziała, że w tych kategoriach osób nikt nie wie o ich relacji.

Ale nawet wysokie wskaźniki jawności w gronie najbliższej rodziny nie muszą być dla par jednopłciowych dobrą wiadomością. Raz, że nie wszyscy wiedzący te związki akceptowali (np. wśród matek było to nieco ponad 70 proc., a wśród ojców – 60 proc.). Dwa, że nawet wiedza i akceptacja nie muszą oznaczać równości ze związkami hetero. Tylko 44 proc. pytanych przez badaczki PAN par spędzało razem z rodziną pochodzenia święta takie jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. „Oznacza to – konkludowały badaczki – że związki osób nieheteroseksualnych w większości nie są rozpoznane jako związki rodzinne przez rodziny pochodzenia, mimo że osoby je tworzące uważają się za rodzinę”. – Nawet więc, jeśli badania par pokazują ich wychodzenie z szaf, to inne wskaźniki sugerują, że ludzie ci są z powrotem do tych szaf wpychani. I że są to szafy rodzinne – komentuje prof. Mizielińska.

Co dane o jawności oznaczają w kontekście ustawy o związkach partnerskich? Że nie wszyscy potencjalnie zainteresowani z nowego prawa skorzystają. – Choć nie musi wcale tak być – zauważa Hubert Sobecki. – Może się też zdarzyć, że niechcąca się ujawnić para wyjedzie do dużego miasta i tam skorzysta z nowej możliwości.

To jest nasz kraj

Prof. Mizielińska jest w trakcie realizowanego w Collegium Civitas badania osób LGBT+ w wieku ponad 50 lat. Na pytanie, czego osoby te oczekują od państwa, badaczka odpowiada: – Wielu nie oczekuje już niczego. Stracili nadzieję, że to państwo jest po ich stronie.

Rafał i Wojtek podchodzą do sprawy inaczej. Pytani, czy kiedykolwiek rozważali emigrację, odpowiadają (podobnie jak Iza i Marta), że nigdy. – Od ponad 30 lat nasze państwo udaje, że nie istniejemy, ale mnie ta sytuacja skłania do zupełnie innej reakcji niż chęć wyjazdu – mówi Rafał. – Emigracja byłaby czymś w rodzaju przyznania, że ludzie odmawiający nam praw mają rację. Tu pracujemy, tu płacimy podatki i tu chcemy wywalczyć to, co się nam należy.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Spoufalenie*

Kawaler i kobieta nie będą uczyć małych dzieci. Rabin Eliezer rzecze: również ten, kto nie ma żony [przy sobie]. Rabin Jehuda rzecze: kawaler nie będzie pasał zwierząt, a dwóch kawalerów nie będzie spało pod jednym przykryciem. Mędrcy na to nie pozwalają – poucza nas z właściwą sobie zwięzłością pierwsza część Talmudu. Część druga, która szczegółowo roztrząsa pierwszą, zaczyna dyskusję od pytania: „Z jakiego powodu?".

Wydaje nam się, że wiemy, prawda? Tymczasem pada stwierdzenie: nie ze względu na pedofilię (nie zostało to powiedziane jednym słowem, ale taki jest sens), ale kawaler – z powodu matek; kobieta – z powodu ojców. No tak, przecież rodzice przychodzą odebrać maluchy i mogliby się z osobą nauczycielską zanadto spoufalić, co może skończyć się w łóżku. W dyskusji aż dwa razy jako argument pojawia się cytat z innego starożytnego tekstu: „Rzekli rabinowi Jehudzie: Żydów nie podejrzewa się o współżycie homoseksualne ani o zoofilię".

Takie stwierdzenie to dobry przykład heteronormatywnego myślenia życzeniowego sprzed 2000 lat. Badania potwierdzają, że w kwestii orientacji seksualnej Żydzi nie różnią się od reszty ludzkości: „ośmiu do dziesięciu na stu żydowskich mężczyzn to zdeklarowani homoseksualiści" (za „Jewish Marital Status"). Mniejszościom seksualnym zwykle nie jest w życiu łatwo, a ich sytuacja w środowiskach religijnych jeszcze się komplikuje. Ostatnio przyglądaliśmy się wersowi z Księgi Kapłańskiej: „Z mężczyzną nie będziesz współżył tak jak z kobietą – to jest *toewa*" (Kpł 18, 22; przekład własny). Talmud rozwiewa wątpliwości – chodzi o stosunek analny. Do kompletu mamy jeszcze jeden wers, raptem dwa rozdziały później: „Mężczyzna, który współżył z mężczyzną tak, jak współżyje się z kobietą – popełnili [oni] *toewa* i poniosą za to śmierć" (Kpł 20, 13).

Toewa – zwykle tłumaczone jako „obrzydliwość" – występuje w Biblii wielokrotnie w różnych kontekstach. Takie miano przypisywane jest bałwochwalstwu, spożywaniu płazów czy używaniu nieuczciwych miar i wag. W Talmudzie Bar Kapara wyjaśnia *toewa* jako *toe ata ba*, czyli „obieranie niewłaściwej drogi". Komentarz zbiorowy doń rozwija tę myśl: mężczyzna może zejść na manowce, oddalić się od żony i domu, jeśli będzie miał stosunki analne z mężczyznami. Prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że nasze wersy mówią o *kadeszu*, czyli męskiej rytualnej prostytutce w ramach kananejskiego kultu płodności (zob. np. Pwt 23, 18).

Tora niewątpliwie potępia homoseksualny gwałt oraz męską rytualną prostytucję i zakazuje osobom heteroseksualnym zachowań homoerotycznych. Wydaje mi się jednak, że nie porusza kwestii związanych z orientacją płciową inną niż większościowa. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Wymyślony Bóg*

Załóżmy, że bogów wymyślili ludzie i tak mocno w nich uwierzyli, że oddawali za nich życie. Najwidoczniej człowiekowi ta wiara jest do czegoś potrzebna. I nie chodzi tylko o ludzi religijnych, ale również ateistów – a może nawet przede wszystkim. Oni, rezygnując z życia na rzecz wierności przekonaniom, nie spodziewając się żadnego dalszego ciągu, potwierdzają, że są na tym świecie sprawy warte ceny życia. Nie spieszmy się więc z ogłaszaniem śmierci bogów. To dzięki nim jesteśmy tym, kim jesteśmy. Anioł Ślązak mówi: „Jak Bóg ja jestem wielki, On mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim wszak" (przekład Andrzeja Lama). Dlatego człowiek, stanąwszy na szczycie swoich możliwości, ze zdziwieniem stwierdza, że więcej przed nim, niż za nim. Widzi niebo, więc po nie sięga, horyzont mu odbiegł, więc rusza za nim.

„Paweł stanął pośrodku Areopagu i powiedział: Ateńczycy! Widzę, że jesteście nadzwyczaj religijni. Kiedy się bowiem przechadzałem, oglądając wasze świątynie, natrafiłem też na ołtarz z napisem: Nieznanemu Bogu. Ja wam głoszę to, co czcicie, nie znając. Bóg, który stworzył świat i wszystko, co jest na nim, jest władcą nieba i ziemi. (...) W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. »Jesteśmy z Jego rodu« – jak to powiedzieli niektórzy wasi poeci". I może udałoby się Pawłowi pozyskać nowych wyznawców, gdyby nie powiedział, że tenże Bóg wyznaczył już dzień sądu nad światem i „dokona go przez Człowieka, którego powołał i uwierzytelnił wobec wszystkich, gdy Go wskrzesił z martwych". Tego Ateńczykom nie godziło się słuchać. No bo po co ożywiać ciało, które więzi duszę i jest jej grobem. Dlatego grzecznie podziękowali Pawłowi za wykład i się rozeszli.

Mojżesz przemówił do ludu: „Zapytaj dawnych czasów (...) czy od dnia, w którym Bóg stworzył człowieka na ziemi, (...) jakiś bóg próbował kiedyś przyjść, by przez doświadczenia, znaki, cuda i wojnę wybrać sobie naród spośród innych narodów?". Idąc za Mojżeszem, Paweł z Tarsu dopowiada: „Teraz widzimy niewyraźnie jak w zwierciadle, potem będziemy oglądać twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, potem poznam tak, jak sam zostałem poznany. Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość". A zatem nic nie jest już skończone, zamknięte, zabetonowane. Anioł Ślązak twierdzi, że również Bóg: „Niegotowy Bóg się staje w doczesności, / Czym się nigdy nie stał w całej swej wieczności". My też nie jesteśmy niegotowi. I my, razem z Bogiem, stajemy się ludźmi. Dlatego możemy powiedzieć: „Też jestem synem Boga, koło niego siedzę: / Ducha, krew swą, ciało On rozpozna we mnie". A zatem trójca: wiara, nadzieja, miłość to Ojciec, Syn i Duch, jedność możliwego i niemożliwego. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Miłość według Jezusa

Znalezienie siebie i Boga to jedno.

MISTRZ ECKHART

Nietrwałe i współzależne wszystko. Kto to poznał, od cierpienia wolny.

BUDDA

„Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej! Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości (...). To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem. Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. Wy jesteście przyjaciółmi moimi, jeżeli czynicie to, co wam przykazuję. Już was nie nazywam sługami, bo sługa nie wie, co czyni pan jego, ale nazwałem was przyjaciółmi, albowiem oznajmiłem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca mego" (J 15, 9-15) – niezwykłe słowa, jakie wypowiedział do nas Jezus dzięki liturgii w minioną środę.

Jest to przecież niezwykłe doświadczenie – usłyszeć kogoś (Kogoś!), kto staje naprzeciw mnie i – patrząc mi w oczy – mówi dwukrotnie: kocham cię! Wszyscy wiemy, że nic ważniejszego nie może wydarzyć się w naszym życiu. To nie jest zdanie, które można by zlekceważyć – wzruszyć ramionami – w żaden sposób nie odnieść się do niego.

„Umiłowałem was!" – mówi Jezus. Mówi to dwa razy – być może także dlatego, że ma na myśli dwa rodzaje miłości. Najpierw mówi, że kocha nas jak ojciec: „jak Mnie umiłował OJCIEC, TAK i Ja was umiłowałem". Chwilę potem, że kocha nas jak przyjaciel: „jesteście przyjaciółmi moimi", „nazwałem was przyjaciółmi".

To dwa różne doświadczenia: miłość ojca i miłość przyjaciela. Jezus mówi, że w miłość ojca wpisane są przykazania: ojciec – właśnie dlatego, że kocha – daje przykazania. Przekazuje zasady, wprowadza w świat wartości, opisuje prawa i obowiązki, wychowuje, uczy odróżniać dobro od zła.

Miłość przyjaciela niczego nie nakazuje – raczej dzieli się swoimi przekonaniami, wszystkim, co ma i kim jest, w co wierzy („oznajmiłem wam wszystko, co otrzymałem"). Miłość przyjaźni nie domaga się posłuszeństwa – liczy na wspólnotę wartości i celów. Miłość przyjaźni gotowa jest także – gdy trzeba – oddać życie!

Jezus jest dla nas jak ojciec – w tradycji Kościoła odnoszono nieraz do Niego tytuł „*paterfamilias*", to znaczy „ojciec rodziny". Pismo nazywa Go „nowym Adamem", a więc Ojcem całej odnowionej ludzkości. Jest też naszym Przyjacielem. Jego przyjaźń wytrzymuje każdą próbę – nazywany jest w Ewangelii „Przyjacielem celników i grzeszników" (Mt 11, 19; Łk 7, 35). Dlatego gotów był iść do grobu swego przyjaciela Łazarza, wiedząc, że w ten sposób ryzykuje własne życie (zob. J 11, 8).

Jednym z najpiękniejszych doświadczeń w naszym życiu jest to, gdy te dwie miłości schodzą się w jednej osobie – na przykład wtedy, gdy twój ojciec staje się twoim przyjacielem. Ufam, że macie takie doświadczenie. Ja mam... Przyjaźń ojca i syna / matki i córki jest darem niezwykłym – jest przepiękną relacją dwojga dojrzałych osób. Do takiej relacji zaprasza nas Jezus. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 V – 2 VI)

Niedziela, uroczystość Najświętszej Trójcy: Pwt 4, 32-34. 39-40; Ps 33; Rz 8, 14-17; Mt 28, 16-20;
Poniedziałek: 1 P 1, 3-9; Ps 111; Mk 10, 17-27;
Wtorek: 1 P 1, 10-16; Ps 98; Mk 10, 28-31;
Środa: 1 P 1, 18-25; Ps 147B; Mk 10, 32-45;
Czwartek, uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa: Wj 24, 3-8; Ps 116B; Hbr 9, 11-15; Mk 14, 12-16. 22-26;
Piątek: So 3, 14-17 lub Rz 12, 9-16b; Ps: Iz 12, 2-6; Łk 1, 39-56;
Sobota: Jud 17. 20b-25; Ps 63; Mk 11, 27-33;
9. niedziela zwykła: Pwt 5, 12-15; Ps 81; 2 Kor 4, 6-11; Mk 2, 23 – 3, 6.

Wybrał PIOTR SIKORA

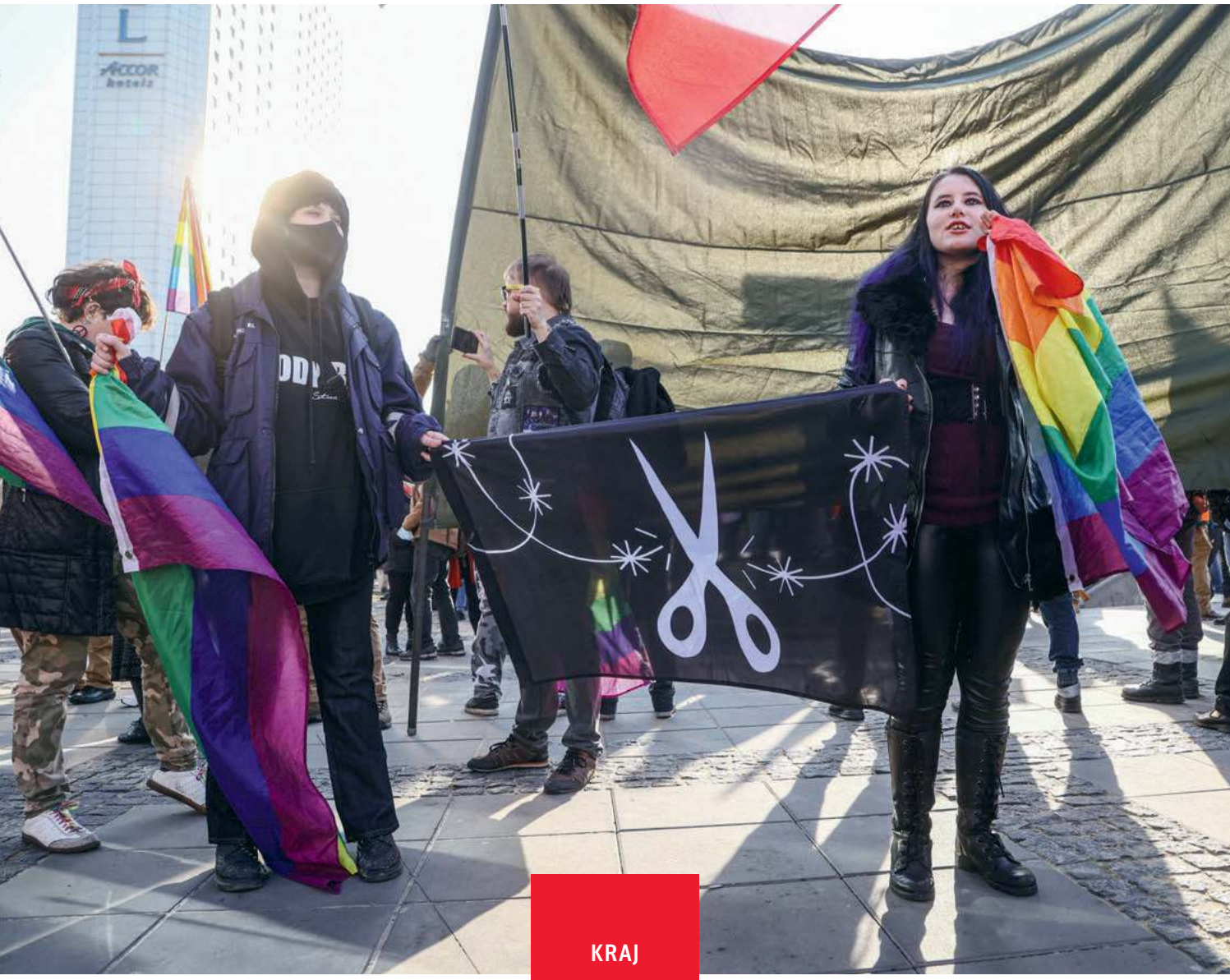

KRAJ

Pikieta 14 Kobiet z Mostu przeciwko Marszowi Niepodległości. Warszawa, 11 listopada 2021 r.

PANIE NA LEWO, PANOWIE NA PRAWO

Płeć jako oś politycznego podziału wyprzedza klasę czy religijność i staje się obok edukacji najważniejszym czynnikiem wskazującym, na kogo zagłosujemy.

JAKUB DYMEK

Czy w kwestii polityki kobiety i mężczyźni naprawdę pochodzą z odrębnych planet? Jeszcze do niedawna podobne pytanie mogłoby zostać uznane za niewłaściwe. Myśl, że to płeć determinuje nasze spojrzenie na państwo i sprawy publiczne, wydawała się przesądem dnia wczorajszego – tym bardziej w odniesieniu do najmłodszej generacji. Ta przecież, jak każde kolejne pokolenie, miała być bardziej nowoczesna i nieskrępowana prawidłami świata ojców i dziadów.

A jednak właśnie to zjawisko obserwujemy dziś na całym świecie. Nożyce poglądów między młodymi kobietami i mężczyznami rozwierają się coraz szerzej. Od Seulu po Sewillę i od Warszawy po Waszyngton młodym kobietom bliżej do progresywizmu i lewicy, młodym mężczyznom do konserwatyzmu i prawicy. Badacze i badaczki stwierdzają, że kobiety i mężczyźni nigdy nie byli od siebie tak daleko, jeśli chodzi o poglądy.

To, że młode kobiety są w wielu dziedzinach bardziej progresywne niż ich matki i babki, nie dziwi. Ale badacze spostrzegają też, że młodzi mężczyźni nie tylko są bardziej konserwatywni i antyfeministyczni niż ich rówieśniczki. Według niektórych badań są też na prawo względem własnych ojców i dziadków.

Za tym trendem w wielu krajach rozwiniętych idą zmiany w języku walki wyborczej. Partie nie odnoszą się już wyłącznie do gospodarczych i społecznych interesów swoich elektoratów. W coraz większym stopniu nawiązują też do lęków o status i pozycję, jakie rodzi rywalizacja między kobietami i mężczyznami. „Wielki globalny rozjazd płciowy" – tak nazwała zjawisko badaczka tego zagadnienia dr Alice Evans.

W paszczy krokodyla

Cofnijmy się na chwilę do historii. W XX w. nie można było postawić tezy o domyślnej lewicowości kobiet i prawicowości mężczyzn. Przeciwnie, w wielu zachodnich demokracjach w drugiej połowie minionego stulecia dorosłe kobiety statystycznie częściej głosowały na partie konserwatywne, zachowawcze i religijne (na tej samej zasadzie, na jakiej i dziś starsze kobiety poparły PiS i prezydenta Dudę). To poparcie białych kobiet było kluczowe dla kolejnych konserwatywnych rewolucji i kontrrewolucji w USA. Młode kobiety i studentki miały oczywiście bardziej postępowe poglądy. Jednak badania studentów prowadzone przez Instytut Badań nad Edukacją Wyższą na amerykańskiej uczelni UCLA pokazują, że od lat 60. do połowy lat 80. to młodzi mężczyźni rozpoczynający studia mieli bardziej liberalno-lewicowe poglądy od swoich koleżanek.

Trend odwrócił się po 1987 r., ale nawet wówczas zmiany poglądów podążały za cyklem pokoleniowym. W USA w 2000 r. różnica między odsetkiem kobiet i mężczyzn deklarujących „liberalne i skrajnie lewicowe" poglądy wynosiła tylko nieco ponad 1 proc. W Polsce – jeszcze mniej. Według CBOS różnica między mężczyznami i kobietami w wieku 18-29 na osi poglądów prawica-lewica była tak mała, że statystycznie nieistotna. Dziś przeciwnie: różnica w deklaracjach na temat poglądów jest największa w historii. Sięga kilkunastu punktów procentowych, jeśli pytamy o poparcie dla lewicy/prawicy: od pomiędzy 1-2 pkt. na siedmiostopniowej skali, gdy pytamy o identyfikację na osi, i aż po kilkadziesiąt punktów procentowych, gdy pytamy o skumulowaną różnicę (przewaga lewicowych kobiet wyrażona w procentach zsumowana z podobną przewagą prawicowych mężczyzn).

Gdyby przyjąć tę ostatnią kategorię (jak robi to redakcja „Financial Times"), różnica w Polsce wyniosłaby ok. 42 pkt. i byłaby największa na świecie po Korei Południowej (48 pkt.), a przed USA (40 pkt.). Gdyby (jak „The Economist") przyjąć autoidentyfikację w badaniach, to mielibyśmy generację najbardziej konserwatywnych mężczyzn wśród krajów rozwiniętych – 5,5 na skali, gdzie 1 oznacza „skrajny liberalizm", a 10 „skrajny konserwatyzm". A zarazem największą po USA polaryzację płci (1,4 punktów rozbieżności na skali 1-10 pomiędzy mężczyznami i kobietami w USA, 1,1 w Polsce i 1 we Francji).

Wykresy z Polski, USA czy Korei Południowej naprawdę zaczynają w XXI w. przypominać rozwierające się nożyce albo krokodylą paszczę. Tam, gdzie wcześniej linie biegły obok siebie, nagle zaczynają rozwierać się w przeciwnych kierunkach.

Słowem: gdyby dzisiejsze podziały istniały w latach 60., nigdy nie powstałyby ruchy antywojenne, hipisowska i lewicowa kontrkultura oraz studenckie bunty. Kobiety byłyby przeciwko wojnie z Wietnamem, a mężczyźni za; tylko jedna z płci popierałaby rewolucję seksualną, a na ulicznych barykadach młodzież nie biłaby się z policją, lecz dziewczęta i chłopcy rzucaliby w siebie kamieniami.

Czy one mają lepiej

Skoro jednak zjawisko dotyczy krajów tak odmiennych jak Polska, Korea Południowa, Francja i USA, nie może to wynikać z czysto lokalnych czy typowych dla krajowej polityki przyczyn. Inaczej mówiąc: skoro trend jest globalny – najwyraźniej ma coś wspólnego z globalizacją. A więc dotyczy nie tylko psychologii i obyczajów, ale także przemian gospodarczych, demograficznych i technologicznych. By odpowiedzieć na pytanie, skąd ta polaryzacja płci, trzeba przyjrzeć się również zjawiskom takim jak feminizacja edukacji i kultury, dezindustrializacja i zmiany demograficzne na Zachodzie czy komunikacyjna rewolucja, jaką przyniosły platformy cyfrowe.

Dziś jednym z obszarów, w których w wielu państwach rozwiniętych mężczyźni odstają od kobiet, jest właśnie edukacja. Dziewczynki radzą sobie lepiej na coraz wcześniejszych etapach edukacji, a dorosłe kobiety – na wyższych uczelniach. Okazuje się też, że kobiety nie muszą już masowo rekrutować się na politechniki, aby odgrywać coraz ważniejszą rolę w kluczowych sektorach gospodarki cyfrowej.

Co więcej, „kobiece" kompetencje – w zakresie komunikacji, współpracy w horyzontalnych strukturach, (auto)kreacji w internecie – pozwalają doskonale odnaleźć się w „kapitalizmie kognitywnym" i czasach „ekonomii uwagi". W czasach malejącego prestiżu (ale niekoniecznie zarobków) zawodów wymagających tężyzny fizycznej lub przemocy – kobiety mają łatwiej niż w poprzednich pokoleniach.

Mężczyźni odwrotnie. I nie chodzi tylko o ubytek miejsc pracy w przemyśle ciężkim – choć i to, jak wiemy, miało negatywny wpływ na pozycję i samoocenę mężczyzn. Dziś odkrywają także, że cechy, których wymaga od nich rynek pracy – asertywność, zdolność do rywalizacji, stanowczość, wyrazistość i samodzielność – mogą jednocześnie być źródłem kłopotów. Obawiają się (niebezpodstawnie) podwójnych standardów, pułapek współczesnej kultury i jej wymagań. Z jednej strony realia ekonomiczne ↦

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

wymagają od nich siły, agresji i egoizmu w walce o dobrą pracę, mieszkanie i pozycję. Z drugiej strony słyszą, że jeśli nie powściągną tych cech i nie wykażą się empatią, wrażliwością, skłonnością do kompromisu i łagodnością – nigdy nie będą dobrymi partnerami, mężczyznami i ojcami. A gdy przekroczą niewidzialną linię – czeka ich oskarżenie o seksizm, mobbing czy molestowanie.

Kryzys męskości polega na tym, że nie tylko żaden z historycznych wzorów męskości nie jest dość dobry – ale także na tym, że współcześnie podpowiadane mężczyznom recepty i rady stoją w sprzeczności z tym, co widzą na rynku pracy czy w polityce. Świat mówi dziewczynkom i kobietom: rozpychajcie się łokciami. Chłopakom: przestańcie rozpychać się łokciami.

Czy oni mają gorzej

Te podziały nie byłyby tak wyraziste, gdyby nie bańki komunikacyjne, zamykające nas w ciasnym kręgu podobnych poglądów i karmiące nasze fobie. Cyfrowa rewolucja ostatniej dekady pokolorowała kryzys wieku dojrzewania chłopców na brunatno, a dziewczynek na tęczowo. Od lat młode kobiety słyszą, że świat jest ustawiony przeciwko nim, a antykobiece są wszystkie najważniejsze instytucje świata zachodniego – od demokracji, przez establishment medyczny, po wymiar sprawiedliwości, media i rynek pracy. Setki influencerek i popularnych poradników codziennie rozgrywają kobiece lęki – przed odrzuceniem, przemocą, dyskryminacją i starzeniem się – by coś im sprzedać. Albo, korzystając z całkiem realnego oburzenia czy poczucia krzywdy młodych kobiet, budować imperia internetowej popularności.

Na analogicznej zasadzie toksyczna internetowa kultura odnalazła niszę w kompleksach, niepewności i strachu chłopców. Tak jak więc popfeminizm przekonuje dziewczynki, że cały świat ustawiony jest przeciwko nim, tak męscy guru, altprawicowi prowokatorzy i coache mówią to samo chłopcom. „Współczesny świat pomaga wszystkim – imigrantom, LGBT, kobietom, dzieciom, bezdomnym, bezrobotnym i chorym – tylko nie wam. Mężczyzna jest największą ofiarą dzisiejszej kultury, bo tylko jemu odmawia się prawa do bycia ofiarą i tylko jego można obrażać, wykluczać i poniżać bez żadnych konsekwencji" – twierdzą. W swoich bańkach młodzi mężczyźni i młode kobiety dowiadują się, że ze strony drugiej płci może ich spotkać krzywda, niesprawiedliwość i drwina – nigdy szacunek, uznanie i miłość.

> Świat mówi dziewczynkom i kobietom: rozpychajcie się łokciami. W tym samym czasie mężczyźni i chłopcy **słyszą coś odwrotnego, więc czują się dyskryminowani.**

Wspomniana Alice Evans uważa, że problemem nie jest sama kultura cyfrowa – w końcu w gry także można grać wspólnie – tylko heterogeniczność tej kultury. Mężczyźni i kobiety – mimo całego postępu – znów socjalizują się osobno. John Burn-Murdoch na łamach „Financial Timesa" zauważa, że dane wskazują na lata 2016-17 jako ważną cezurę – gdy wraz z wyborem Trumpa i wybuchem afer spod znaku #MeToo kultura głównego nurtu stała się (samo)sądem nad męskością. Niewiele wskazuje, żeby tamte podziały udało się załatać. Są kraje – jak Korea Południowa – gdzie niechęć do kobiet/mężczyzn nie jest w młodej generacji powodem do wstydu, ale elementem tożsamości. W innych społeczeństwach w siłę rosną ruchy domagające się „powrotu do tradycyjnych ról".

Być może dlatego według amerykańskiego Cooperative Election Study dziś więcej dwudziestokilkulatków niż mężczyzn w wieku emerytalnym wierzy, że kobiety chcą zawładnąć mężczyznami. Podobnie wśród młodych mężczyzn w Wielkiej Brytanii, gdzie postrzeganie feminizmu jako zagrożenia jest w tej grupie największe od lat. Jak podpowiadają naukowcy z Uniwersytetu w Goteborgu (Gefjon Off, Nicholas Charron, Amy Alexander): im gorsze szanse na pracę w danym europejskim regionie i większe przekonanie, że instytucje publiczne są niewydolne, tym większy odsetek młodych mężczyzn będzie uważał, że miejsce kobiet jest w domu, i głosił antyfeministyczne hasła. Jak alarmuje amerykański Institute for Family Studies, coraz większe różnice polityczne prowadzą do tego, że młodzi mężczyźni i kobiety nie chcą umawiać się na randki z osobami o odmiennych poglądach – za tym zaś idzie „seksualna recesja", bo generacja Z ma po prostu mniej zbliżeń niż starsze pokolenia. Mniej randek, mniej seksu i mniej związków oznacza mniej dzieci, co jeszcze napędza demograficzny zjazd. Płeć jako oś politycznego podziału wyprzedza klasę czy religijność i obok edukacji staje się najważniejszym czynnikiem wskazującym, na kogo zagłosujemy.

Jak konfederata z lewaczką

Czy wszystko to musi być aż tak wulgarne? – zapyta ktoś. Przecież polityka nie działa tak, że albo awansują kobiety, albo mężczyźni. Przykładowo: postulat walki o lepsze badania przesiewowe raka szyjki macicy nie unieważnia postulatu lepszej prewencji męskich uzależnień. Zwrócenie uwagi na trudności mężczyzn nie musi prowadzić do szowinizmu, tak jak podkreślanie dyskryminacji kobiet nie skazuje na nienawiść do facetów. Analogicznie: wypłacanie świadczenia 800+ nie opiera się na wydzieraniu tych pieniędzy z kieszeni mężczyzn i przekazywaniu kobietom. A w sytuacji rekordowo małego bezrobocia i wciąż rosnących płac nie można powiedzieć, że sytuacja na rynku pracy kobiet polepsza się wyłącznie dlatego, że mężczyznom wiedzie się gorzej.

To wszystko słuszne. Problem w tym, że partie zdają sobie sprawę z tego napięcia między płciami w najmłodszym pokoleniu. I wykorzystują je w walce politycznej. Nie tylko w Polsce. Ale u nas rywalizacja ta ma bardzo wyrazisty charakter. W tym sensie Konfederacja i Lewica tworzą wręcz parę idealnie symetryczną.

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

O tym, że lewica w Polsce świadomie wybrała tożsamość „partii kobiet", pisałem w „TP" przed miesiącem. Konfederacja nie jest może aż tak jednoznaczna w swoich deklaracjach, ale równie mocno wkroczyła na drogę polityki adresowanej do młodych mężczyzn. Jej politycy nawiązują do archetypu męskiego spełnienia i awansu żywcem wyjętego ze stereotypu o Ameryce lat 50. Dom na przedmieściach, mięso na grillu, ale nie „zmuszająca" nas do jedzenia robaków Bruksela oraz kultura, która zmusza mężczyzn do porzucenia ostatnich atrybutów statusu, w tym samochodu.

Politycy Konfederacji lubią – nawet jeśli nie posługują się już językiem Korwina-Mikkego – mrugnąć okiem do środowisk młodych mężczyzn sfrustrowanych feminizmem. A gdy stawiają na kobiety, to takie, które podkreślają tradycyjne atrybuty kobiecości – macierzyństwo, odpowiedzialność za dom i „właściwy" podział społecznych ról.

Bo choć polityka nie jest grą o sumie zerowej, to walka o atencję i ustalanie społecznego rachunku krzywd – już tak. Cykl newsowy ma 24 godziny, a na szczycie hierarchii społecznych zmartwień nie ma miejsca dla wszystkich – dlatego walka toczy się o to, komu przypadnie więcej uwagi. Stąd partie nie tylko nie odmawiają swoim wyborcom prawa do bycia ofiarą – one aktywnie do tego zachęcają. Lewica podpowiada kobietom, że nie tylko mogą czuć się dyskryminowane i uciszane – wprost odwołuje się do tego poczucia niesprawiedliwości. Analogicznie Konfederacja mówi zaniepokojonym zmianami społecznymi, migracją, awansem kobiet i feminizacją popkultury: „Z wami wszystko jest w porządku, to świat zwariował. A my to wariactwo powstrzymamy".

Coraz więcej analiz wskazuje, że tak głębokiego podziału nie można cofnąć. Chyba że coś spowoduje, że walec wojen kulturowych i nakręcająca się spirala resentymentu zwolnią. Na razie jednak – przynajmniej tak długo, jak polityka będzie zajmować się redystrybucją prestiżu, uznania i czasu antenowego, a mechanizmy i algorytmy platform cyfrowych dzielić nas w najlepsze – panie po lewej, panowie po prawej.

© JAKUB DYMEK

CZAREK SOKOŁOWSKI / AP / EAST NEWS

Jarosław Kaczyński na spotkaniu przed wyborami do europarlamentu, maj 2019 r.

Prawdziwa natura PiS

PAWEŁ MUSIAŁEK

Partia, która stoczyła z Brukselą tyle batalii, nigdy nie była eurosceptyczna, lecz próbowała godzić różne, czasem sprzeczne podejścia do integracji. Ta względna równowaga została ostatnio zaburzona.

„Idziemy tam, żeby powiedzieć nie, ale nie mówimy nie, bo jesteśmy na tak" – to zdanie wypowiedziane przez Jarosława Kaczyńskiego na konwencji jego partii w warszawskiej hali Expo szybko stało się wiralem. Będąc na miejscu widziałem, że sami politycy PiS zareagowali na te słowa szerokim uśmiechem. Ich problem polega jednak na tym, że wypowiedź lidera nie była jedynie językowym lapsusem. Wręcz przeciwnie: ta retoryczna sprzeczność oddaje sedno stosunku PiS do UE.

Euroentuzjaści i eurosceptycy

Przez lata PiS był krytykowany jako partia antyunijna czy antyeuropejska. Ugrupowaniu Kaczyńskiego zarzucano głęboką nieufność do Unii Europejskiej, rozbijanie jej od środka, budowanie relacji z tymi, którzy chcieli ją rozwiązać, niezdolność do tworzenia sojuszy, odrzucanie europejskich wartości, demonizowanie unijnych instytucji, a także lekceważenie zasad brukselskiej kultury politycznej. Konflikty, jakie za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy toczyły z Brukselą polskie władze, miały być ostatecznym dowodem na antyunijną postawę i niezdolność podporządkowania wobec obowiązujących reguł, zarówno tych formalnych, jak i nieformalnych.

Zarzuty o eurosceptycyzm wynikały z prostych założeń. Dla euroentuzjastów podstawowy podział dotyczący UE to dychotomia. Po jednej stronie są politycy „proeuropejscy", a po drugiej „antyeuropejscy". Ci pierwsi pozytywnie oceniają obecny poziom integracji, a także są otwarci na jej dalsze pogłębianie uznając, że sama idea integracji jest wartością samą w sobie. UE uważają przede wszystkim za wielką szansę rozwojową, a relacje między państwami oceniają w kategorii głównie współpracy, wykazując duże zaufanie do nich. Uznają zarazem tożsamość europejską za równoległą do polskiej, uważają więc, że kategoria interesów narodowych ↦

↦ powinna być zrównoważona dbaniem o interesy ogólnoeuropejskie. Nurt ten jest zdania, że dotychczasowy bilans Polski jest bardzo pozytywny, i nie widzi rażących niesprawiedliwości w dystrybucji władzy i zasobów. Co więcej: niezależnie od problemów Unii stoi na stanowisku, że należy się komunikować w sposób pozytywny, aby przekonywać nieprzekonanych.

Antyunijni eurosceptycy z kolei przez lata akcentowali przede wszystkim koszty członkostwa, a UE opisywali językiem nie tyle wyzwania, co zagrożenia dla polskich interesów. Nie kreślili pożądanej wizji wspólnoty, do której chcieli zmierzać, ponieważ chcieli z niej wyjść. Należy przy tym podkreślić, że eurosceptycyzm czy wręcz eurowrogość nie zawsze stawiały kropkę nad „i" albo wprost deklarowały wolę polexitu. Najczęściej, mając na uwadze wysokie poparcie dla członkostwa w UE, strategia ta polegała na ciągłej, intensywnej kontestacji, z niejasno zarysowaną wizją wyjścia z Unii w przyszłości bądź ponownego organizowania referendum w tej sprawie.

Ograniczone zaufanie

Ten prosty podział miał swój powab klarowności i nawet dziś organizuje polityczną wyobraźnię wielu wyborców, szczególnie o liberalnych poglądach. Naturalnie w tym uproszczonym podziale PiS ze swoją retoryką i praktyką był zaliczany do obozu przeciwników Europy.

Takie postawienie sprawy jest wygodne dla przeciwników partii Kaczyńskiego, ale przez lata było naciągane. Już na pierwszy rzut oka umieszczenie PiS w tym samym obozie, w którym są jawni zwolennicy rozpadu Unii czy przynajmniej jej opuszczenia, musi budzić intelektualny sprzeciw. Po pierwsze, PiS od zawsze popierał obecność Polski w UE i nigdy nie deklarował otwarcie chęci zmiany tej sytuacji.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

CZAREK SOKOŁOWSKI / AP / EAST NEWS

Kampania wyborcza PiS do Parlamentu Europejskiego. Na zdjęciu Maciej Wąsik (z lewej) i Karol Karski, Dąbrowa Białostocka, 16 maja 2024 r.

Po drugie, partia ta w czasie swoich rządów zgadzała się na wiele decyzji, także tych, które realnie pogłębiały integrację europejską. Dlatego w obecnej kampanii politycy Konfederacji lubią wypominać PiS-owi, że wyraził zgodę zarówno na mechanizm warunkowości (w unijnym rozumieniu poszanowania państwa prawa), zaciągnięcie unijnego długu na rzecz Krajowych Planów Odbudowy, jak i cel osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. Mało kto pamięta, że Mateusz Morawiecki w swoim wystąpieniu w Parlamencie Europejskim zaproponował nowe unijne podatki, które miałyby zwiększyć unijny budżet. Politycy PO wolą wypominać PiS-owi, że to prezydent Lech Kaczyński oraz rząd PiS negocjowali traktat lizboński, który pogłębiał integrację, ale także osłabiał siłę polskiego głosu w Radzie UE wobec pozycji, jaką Polska miała w tzw. „nicejskim" systemie głosowania.

Po trzecie, PiS w Parlamencie Europejskim jest członkiem frakcji ECR, krytycznej wobec głównego nurtu, ale dalekiej także od bardziej radykalnej prawicy zgromadzonej we frakcji Tożsamość i Demokracja. Warto wspomnieć, że przed laty toczyła się w PiS poważna rozmowa, czy nie lepiej byłoby, aby partia zmieniła frakcję, ale nie na bardziej radykalną prawicę, tylko na... chadeków z Europejskiej Partii Ludowej. Obecność w niej PO była jednym z głównych powodów, dla którego plan nie został zrealizowany.

Powyższe argumenty jasno wskazują, że między euroentuzjazmem a eurosceptycyzmem jest na tyle duża przestrzeń, że należy wyróżnić osobny nurt – eurorealistyczny. O ile eurosceptycy mówili Unii wyraźne „nie", to eurorealiści mówili „Unia tak, ale...". Popierali obecność Polski w UE, ale byli bardzo krytyczni wobec wielu aspektów integracji europejskiej. Uważali, że tożsamość narodowa jest albo wyraźnie dominująca nad europejską, albo w ogóle ta druga nie występuje. Dlatego interes UE sprowadzano do najmniejszego wspólnego mianownika interesu państw członkowskich.

Integracja według nich powinna się odbywać nie dla niej samej, ponieważ uszczupla to suwerenność państw, ale pogłębiać się wtedy, kiedy istnieje dla tego celu jakieś wyższe uzasadnienie. Zgody na większą integrację udzielano punktowo i tylko wówczas, gdy wyraźnie miało to służyć polskim interesom. PiS traktował UE jako rozwojową szansę, ale wskazywał także liczne wyzwania, którym należy stawić czoło.

Jedno z najważniejszych eurorealiści widzieli w dominacji Niemiec, którą należało równoważyć, a nie wzmacniać, licząc na pomniejsze korzyści. W Unii dostrzegali nie tylko współpracę, ale przede wszystkim rywalizację. Ograniczone zaufanie wykazywali nie tylko wobec innych państw, ale także unijnych instytucji, które posiadały własne interesy i były podatne na wpływy najsilniejszych. Dlatego krytykowano unijny dyskurs, który tę rywalizację maskuje, przy okazji puszczając oko do środowisk najbardziej sceptycznych.

Coraz mniej realizmu

Eurorealizm rozumiany jako mieszanka akceptacji i krytyki był więc tym nurtem,

do którego PiS pasował najbardziej i z którym się identyfikował. W poszczególnych okresach akcentowano różne elementy tej mieszanki, w zależności od taktycznych potrzeb i wymagań elektoratu.

Badania CBOS pokazywały przez lata, że zwolennicy PiS różnili się, jeśli chodzi o stosunek do UE. Wyborcami partii byli bowiem w mniej więcej podobnych proporcjach zwolennicy *status quo*, zwolennicy poluzowania integracji, w tym również polexitu, ale też ci, którzy nie widzieli problemu z głębszą integracją. Tak różne oczekiwania trzeba było obsłużyć różnymi komunikatami, które dla wielu oznaczały nie spójny przekaz, ale kakofonię. Symboliczna była uchwała partii w sprawie przynależności Polski do Unii Europejskiej oraz suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej, z września 2021 r.

Emocje sądowe

Jednym z fundamentalnych problemów PiS w czasie 8-letnich rządów był spór z UE na tle praworządności. Od 2017 r. rząd Zjednoczonej Prawicy nie potrafił zamknąć tego konfliktu, mimo że kilkakrotnie wycofał się z najradykalniejszych zmian w wymiarze sprawiedliwości. Zarazem przez wiele lat PiS żył w przeświadczeniu, że na horyzoncie jest pozytywne rozwiązanie sporu z Unią. Jeszcze kilka miesięcy przed wyborami zdawało się ono na tyle bliskie, że premier Morawiecki rozpoczął kampanię promującą unijne środki, które miały dzięki niemu trafić do Polski. Okazało się, że ta kampania nie tylko nie wspierała PiS, ale obróciła się przeciwko niemu, kiedy okazało się, że UE jednak środków nie wypłaci. Było to dla partii bardzo rozczarowujące, więc jej politycy pozbyli się wątpliwości, że Komisja Europejska kieruje się polityką, a nie praworządnością. Szybka decyzja zarówno o odblokowaniu środków z KPO, jak też zakończeniu procedury z art. 7 Traktatu o UE – po zmianie rządów – stała się dla PiS ostatecznym dowodem na słuszność prowadzonej narracji.

Zarówno wśród decydentów, jak i wśród elektoratu spór o praworządność, ale ze szczególnym uwzględnieniem ostatnich miesięcy, przewartościował postawę wobec UE. Pojawiło się nie tylko rozczarowanie, ale także poczucie, że została przekroczona czerwona linia w postaci ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski i jawnego wsparcia ówczesnej opozycji. Obecna kampania pełna kontestacji jest wyrazem nie tyle rywalizacji z Konfederacją o eurosceptyczny elektorat, ile przede wszystkim skanalizowaniem negatywnych emocji, jakie buzują w pisowskich głowach.

> Skala krytyki Unii jest tak duża, że **PiS ześlizguje się z pozycji eurorealistycznych na eurosceptyczne**, o które zawsze był oskarżany, choć nie raz bezpodstawnie.

Należy dodać, że emocje są dodatkowo wzmacniane realnym doświadczeniem samotności i bezsilności. Rządowi Zjednoczonej Prawicy faktycznie nie udało się zbudować sojuszy, które potrafiłyby wymóc na unijnych instytucjach korektę. Wręcz przeciwnie: im dłużej trwał spór, tym trudniej rządowi było opuścić „oślą" ławkę. Poza Węgrami Victora Orbána żadne państwo nie chciało publicznie wesprzeć Polski. Atmosfera wokół rządu Morawieckiego była na tyle toksyczna, że nikt nie chciał bronić Warszawy, nawet jeśli dla wszystkich było jasne, że aktywność KE była kontrowersyjna. Konieczność konfrontacji nie tylko z unijnymi instytucjami, ale całym europejskim mainstreamem była dla PiS doświadczeniem „przemocy strukturalnej", mówiąc językiem niedawno zmarłej prof. Jadwigi Staniszkis.

Nie, nie, nie

Negatywne emocje mają swój najbardziej spektakularny przejaw w programie, jaki PiS dziś proponuje. Sprzeciw wobec Zielonego Ładu, nowych unijnych traktatów, waluty euro, paktu migracyjnego, europejskiej armii, harmonizacji podatków czy poprawności politycznej to główne postulaty PiS w kampanii do Parlamentu Europejskiego. Nie ma tam ani jednego konstruktywnego pomysłu, a cały przekaz sprowadza się do kontestacji.

Co ważne: sprzeciw ma charakter jedynie retoryczny i nie idzie za nim strategia wymuszenia na UE pożądanych zmian. Zdaje się, że nie jest to przypadek. PiS przestał wierzyć, że jakakolwiek strategia inna niż czekanie na zmiany polityczne w innych państwach Unii oraz w Parlamencie Europejskim ma sens. Obecna retoryka ma więc głównie cel wewnętrzny – mobilizację elektoratu i wzmocnienie własnej tożsamości.

Skala krytyki Unii jest tak duża, że PiS zaczął ześlizgiwać się z pozycji eurorealistycznych na eurosceptyczne, o które zawsze był oskarżany, ale często bezpodstawnie. Podstawową zmianą, jaka się tam dokonuje, jest brak jakichkolwiek pozytywnych odniesień do UE. Negatywny sentyment sięga poziomu prezentowanego w partiach „exitowych". PiS na razie postulatu opuszczenia UE nie stawia, choćby z tego względu, że byłoby to nieakceptowalne przez Polaków, ale emocjonalnie już opuścił Unię i poszedł na wewnętrzną emigrację. W partii nie ma nadziei, że obecną wspólnotę europejską można zmienić za pomocą odpowiedniej strategii, determinacji i asertywności. Nie okazały się one kluczem do sukcesu w Brukseli.

Politycy PiS zrozumieli, że europejski mainstream nie akceptuje partii taką, jaka ona jest. W efekcie zaczęli Unię Polakom obrzydzać. Jest to retoryczny odwet za okres upokorzeń, jakich partia Kaczyńskiego doświadczyła w ostatnich latach. Daje on psychologiczną satysfakcję zarówno politykom, jak i elektoratowi, który upokorzenia odbiera bardzo osobiście.

Obecną retorykę wobec UE należy więc oceniać nie tylko przez pryzmat taktyki obecnej kampanii, ale ostatnich lat doświadczeń. Z dużym prawdopodobieństwem krytyczna wobec Unii narracja zostanie przy PiS na dłużej. I wcale nie musi być dla PiS korzystna. Dla pewnego segmentu elektoratu silna kontestacja będzie wpisywała się w ich emocje i oczekiwania, lecz dla bardziej przychylnej wobec UE części wyborców taka retoryka może być nieakceptowalna, bo skutkująca poważnymi konsekwencjami dla przyszłości kraju. Realna jest więc groźba rozjazdu, którego partia nie będzie potrafiła spiąć jedną opowieścią. Obecna strategia grozi pęknięciem prawicy na tę, która mimo wielu zastrzeżeń chce się z Brukselą siłować, oraz tę, która już macha na UE ręką. Nie musi to od razu oznaczać polexitu, ale temat ten wyraźnie przestał być tabu.

© PAWEŁ MUSIAŁEK

Autor jest prezesem Klubu Jagiellońskiego.

ADAM LACH / FORUM

W Osinowie Dolnym w Zachodniopomorskiem na czterech mieszkańców przypada jeden salon fryzjerski. Klientami są głównie Niemcy, którzy przyjeżdżają nawet z Berlina.

Fryzura na Balcerowicza

MAREK RABIJ

W tej branży dawno prześcignęliśmy Niemcy. Liczba salonów fryzjerskich w Polsce to fenomen na skalę Europy – a zarazem przygnębiający relikt czasów transformacji.

Najważniejsze są nożyczki. Najlepsze modele, w skórzanym etui, często z uchwytem formowanym na podstawie odlewu dłoni przyszłego użytkownika, mogą kosztować nawet cztery tysiące euro. Nożyczek trzeba mieć kilka par, ale na szczęście porządne kupić można już za trzy-cztery tysiące złotych. Odpowiednio konserwowane, wytrzymają kilka sezonów, chyba że będzie się ich używać wyłącznie do cięcia na mokro. Na wilgotnych włosach ostrza szybko się tępią, a szarpani i szczypani klienci rozpowiadają potem naokoło, jak to u fryzjera o mały włos nie stracili uszu.

Zanim początkujący zrozumieją, że na nożyczkach oszczędzać nie warto, popełnią wiele innych, znacznie bardziej kosztownych błędów. Otworzyć zakład fryzjerski może w Polsce każdy, nawet ktoś, kto realia tej profesji oglądał dotychczas wyłącznie z fotela dla klienta. Kapitał? Za 20 tys. zł dotacji na start dla bezrobotnych poniżej 30. roku życia da się wyposażyć zakład praktycznie we wszystko, czego potrzeba na start. Może nawet wystarczy na miesiąc czy dwa czynszu i rachunki za prąd. Kiedy stanie się jasne, że własny salon nie był najlepszą odpowiedzią na życiowe problemy, zwykle jest już za późno.

W ciągu ostatnich czterech lat łączne zadłużenie podmiotów z branży fryzjerskiej i kosmetycznej odnotowane w Krajowym Rejestrze Długów wzrosło o 20 proc., do 45,6 mln zł. W bazie danych Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej widnieje już ponad 3,2 tys. dłużników prowadzących działalność gospodarczą z kodem PKD 96.02 Z – statystyczną wizytówką usług fryzjerskich i pozostałych zabiegów kosmetycznych. Na jednego, jak łatwo obliczyć, przypada po 14 tys. zł do oddania. Przy średniej polskiej cenie usługi fryzjerskiej na poziomie 95 zł to równowartość utargu od zaledwie 147 głów. Albo aż kilku miesięcy pracy – gdy wziąć pod uwagę częstotliwość wizyt klientów w wielu polskich salonach.

Raz na kwartał

W marcu br. w statystykach Głównego Urzędu Statystycznego widniały dokładnie 111 283 podmioty z branży kosmetycznej. Ile z nich zajmuje się wyłącznie fryzjerstwem, GUS nie wie. W dorocznym raporcie „Stan Sanitarny Kraju" Główny Inspektor Sanitarny podaje jednak, że na koniec 2022 r. (to najnowsze opracowane dane) w Polsce czynnych było 31 414 zakładów fryzjerskich oraz 8123 lokali, w których świadczono szerszy zakres usług kosmetycznych, m.in. pielęgnację włosów. Łącznie populacja Polski licząca 37,8 mln osób miała zatem do dyspozycji aż 39 537 miejsc, w których można coś przyciąć, podcieniować, podkręcić loki czy nałożyć farbę. Na jeden rodzimy zakład fryzjerski przypada statystycznie 955 klientów. W Niemczech – 1,7 tysiąca. W Wielkiej Brytanii – aż 3496.

Jednocześnie – jak pokazują dane Eurostatu – w usługach kosmetycznych i fryzjerskich pracuje w Polsce ok. 112 tys. osób, czyli zaledwie 0,7 proc.

wszystkich czynnych zawodowo mieszkańców, co daje nam pod tym względem szóste miejsce od końca wśród wszystkich krajów UE. Wniosek? Nad Wisłą niemal wszystkie drogi prowadzą do jakiegoś zakładu fryzjerskiego lub salonu piękności, ale w większości pracuje tylko jedna osoba.

Na fryzjerskiej mapie Polski nie brak dziś miejsc, w których proporcja mistrzów cięcia i balejażu do klientów przybrała kształt niemal karykaturalny. Gubin nad Odrą. Ok. 16 tysięcy mieszkańców i 169 zakładów fryzjerskich. Osinów Dolny koło Cedyni. Niespełna 50 numerów i aż 30 salonów fryzjerskich. I tu, i w Gubinie klientela mówi jednak głównie po niemiecku.W Grójcu pod Warszawą, zamieszkałym przez niespełna 17 tys. osób, za fenomenem blisko 120 podmiotów zarejestrowanych jako zakłady fryzjerskie i kosmetyczne stoi z kolei tutejszy zespół szkół branżowych, nadal szkolący w tym zawodzie zgodnie z tradycyjnymi wytycznymi cechu fryzjerów. Na jeden grójecki salon przypada statystycznie zaledwie 141,6 klienta. Gdyby każdy z nich odwiedzał fryzjera regularnie co miesiąc i zostawiał po każdej wizycie średnio 95 zł, miesięczny utarg zakładu oscylowałby na poziomie 13 tys. zł. Po odliczeniu kosztów działalności, opłaceniu podatków i składek na ZUS zostałaby z tego kwota bliska zarobkom w kasie hipermarketu.

Rzecz w tym, że przeciętny Polak – jak wynika z badania przeprowadzonego w 2018 r. na zlecenie firm Polwell i JBS Goldwell – nie bywa u fryzjera tak często. Najlepszymi klientkami są panie w przedziale wiekowym 41-55, które na wizytę umawiają się faktycznie co najmniej raz w miesiącu, podobnie jak kobiety powyżej 66. roku życia. Najrzadziej do salonów zaglądają osoby przed trzydziestką, które zazwyczaj udają się do fryzjera raz na kwartał. Polski *boom* na fryzjerstwo nie jest więc żwawą reakcją podaży na wzmożony popyt. Stanowi raczej rezultat skrajnie nietrafnego odczytania skali zapotrzebowania. A często również własnych kompetencji.

Balcerowicz zapuścił, rynek zetnie

– Miałem na stażu dziewczynę, która wykazywała rzadki antytalent do tej profesji – wspomina Rafał Łazar, krakowski fryzjer prowadzący własny salon od 25 lat. – Męczyliśmy się oboje: ja z nią, ona ze mną. W końcu spytałem, dlaczego uparła się na taką ścieżkę kariery. Odpowiedziała, że do wyboru miała jeszcze krawiectwo, a przecież nie będzie krawcową. Odparłem, że z taką motywacją długo w tym zawodzie się nie utrzyma. Nie wiem, co dzisiaj robi, ale zakładam, że raczej nie jest już fryzjerką. Przy konkurencji, jaką sami sobie stworzyliśmy, szansę na przetrwanie mają ci, którzy naprawdę lubią tę pracę i się na niej znają.

Rynek usług fryzjerskich w Polsce Łazar porównuje do kieliszka szampana na smukłej nóżce. Na powierzchni raz za razem pojawiają się nowe bąbelki zakładów, z których większość zniknie, zanim potencjalni klienci zdołają dowiedzieć się chociażby o ich istnieniu. Liczba salonów z dłuższą metryką jest odwrotnie proporcjonalna do stażu ich działalności – im starsze, tym mniej ich na rynku. I wreszcie nieco szersza podstawa kieliszka. Adresy, które na stałe wpisały się w mapę usług swoich miejscowości, już nie tak podatne na wahnięcia koniunktury, a nawet tąpnięcia pokroju pandemii. Jeszcze w 2019 r. GUS odnotowywał w statystyce PKD ponad 130 tys. podmiotów z branży kosmetycznej. W pięć lat ubyło ich ok. 20 tys. Kogo nie zabił *lockdown*, tego w 2022 r. dobiły ceny gazu i energii elektrycznej dla firm plus inflacja, która zmusiła klientów do oszczędności.

Krajowy rynek produktów i usług kosmetycznych, szacowany według firmy badawczej PMR na ok. 31 mld zł rocznie, zyska w tym roku na wartości 6,2 proc., ale za wzrostami stać będą przede wszystkim podwyżki cen produktów i usług. Popyt mierzony liczbą wizyt w salonach piękności, zakładach fryzjerskich i częstotliwością zakupów w drogeriach spadnie rok do roku o ok. 0,8 proc. Od kilku już lat klienci i klientki branży beauty wydają więcej na produkty do pielęgnacji domowej kosztem wizyt u specjalistów. Olbrzymia większość debiutantów w branży wskakuje jednak do niej bez choćby pobieżnego rozeznania sytuacji rynkowej, za to z głowami nabitymi opowieściami rodem z lat 90., kiedy cały kraj brał „sprawy w swoje ręce". I z przekonaniem, że na swoje najłatwiej pójść, zakładając zakład fryzjerski.

– Kiedy jeszcze uczyłem zawodu – ciągnie Łazar – trafiali mi się kursanci, którzy trafili do tej branży właściwie z dnia na dzień, pod wpływem impulsu. Pamiętam policjanta znudzonego monotonią posterunkowej biurokracji. Była też pani z urzędu skarbowego, która pewnego dnia doszła do wniosku, że woli strzyc podatników przed lustrem. Kiedy pytałem, co pozwala im przypuszczać, że będą dobrymi fryzjerami, reagowali zdumieniem. A co w tym trudnego? – odpowiadali pytaniem.

Wiwat akademia

Po wejściu Polski do Unii sztywne cechowe reguły rządzące fryzjerskim rzemiosłem uległy rozpadowi i branża poszła, jak mówi Rafał Łazar, w komercję.

– Ja kształciłem się jeszcze pod koniec lat 90., czyli w czasach, kiedy obok pierwszych kursów komercyjnych, organizowanych przez zagraniczne firmy, równolegle funkcjonowało solidne szkolenie zawodowe. Zaczynało się od szkoły. Potem była praktyka czeladnicza, po której dopiero nabywało się prawa do samodzielnej pracy z klientem. Po paru latach można było przystąpić do trudnego egzaminu mistrzowskiego. Koledzy idący ścieżką cechową opowiadali o zadaniach, które wydawały się absurdalne, jak golenie brzytwą napompowanego balonu. Ale to solidnie weryfikowało umiejętności.

Obecnie miejsce cechowego systemu szkolenia zajęły niemal całkowicie kursy komercyjne, organizowane w formie tzw. akademii przez wielkie marki kosmetyczne. Rzecz w tym, że firmy nie szkolą w ten sposób wszechstronnych zawodowców, lecz ludzi, którzy potrafią doskonale posługiwać się ich produktami. Fryzjer po kursie z koloryzacji organizowanym przez markę X może sobie nie poradzić bez doszkolenia z takim samym zadaniem, do którego dostanie preparaty marki Y. W rezultacie w branży widać coraz większą specjalizację, która wpływa zbawiennie na jakość usług w dużych zakładach, gdzie w jednym miejscu pracuje czasem kilkunastu fryzjerów i każdy jest fachowcem w jednej dziedzinie. W małych klientom zdarza się za to trafić pod nóż kogoś, kto z palety fryzjerskich umiejętności zdążył opanować tylko część. Szkolenie do tego zawodu jest, wbrew pozorom, czasochłonne. Mistrz musi przecież pogodzić uczenie z zarabianiem na utrzymanie salonu. Bez gwarancji, ↦

↦ że wyszkolony pracownik nie założy po drugiej stronie ulicy konkurencyjnego.

Debiutanci-dyletanci

Pani Jagna (w tekście nie chce pojawić się pod nazwiskiem, prosi też, żeby nie wymieniać nazwy salonu, który prowadzi od ośmiu lat razem z siostrą) właśnie pożegnała uczennicę z Ukrainy, którą zatrudniła w swoim zakładzie na obrzeżach Krakowa. – Uczyłam ją 11 miesięcy – wzdycha. – Przez niemal rok po pięć dni w tygodniu przeznaczałyśmy po dwie godziny na pokazywanie jej, co i jak. Katia była piekielnie zdolna, w zasadzie po czterech miesiącach mogłyśmy jej już oddawać pierwszych klientów do prostych cięć. Prawie się popłakałam, kiedy w marcu oświadczyła, że wraca do kraju. A kilka tygodni później wpadłam na nią na przystanku. Przyznała się, że pracuje w Krakowie na własną rękę. Strzyże po domach klientki z Ukrainy.

Pani Jagna ma do Katii pretensje jedynie o brak szczerości. Właściwie wszyscy doświadczeni fryzjerzy – jak mówi – mają dziś ten sam problem z uczniami, którzy odchodzą na swoje tuż po tym, kiedy zyskają pierwociny zawodowej samodzielności. Nie chodzi jej, jak zaznacza, wyłącznie o konkurencję, bo nieopierzeni fryzjerzy z reguły szybko wylatują z rynku. Zanim do tego dojdzie, debiutanci-dyletanci zdążą jednak nadpsuć branży opinię.

– Doświadczony fryzjer nawet obudzony w środku nocy wyrecytuje, jak zatamować krwotok, bo się tego wiele razy uczył na różnych szkoleniach. A jak pan pójdzie do takiego zakładu-wydmuszki, może się okazać, że nie mają nawet plastrów w apteczce, bo nikt nie umie założyć tam opatrunku – podkreśla pani Jagna.

Fryzjerskiego abecadła można nauczyć się w pół roku. Zdobycie pełni zawodowych kwalifikacji zajmuje minimum dwa-trzy lata, ale to – jak mówi pani Jagna – dopiero etap, po którym pracownik salonu może bez uzurpacji nazywać siebie fryzjerem. Minie jeszcze wiele czasu, nim nauczy się tego, co w zawodzie najistotniejsze, czyli dostrzegania niuansów. Dopiero doświadczenie uczy, jak strzyc konkretne partie głowy. Mężczyźni na bokach czaszki mają czasem włosy, które rosną im tak, jak zarost na twarzy, prostopadle do powierzchni skóry. Przy farbowaniu i zabiegach ondulacyjnych niezwykle ważna jest z kolei higroskopijność włosów, czyli zdolność do wchłaniania wilgoci. Na kursie w akademii uczą teorii, pokazują ją też w praktyce, ale dopiero trening czyni mistrza.

Polski boom na fryzjerstwo nie jest reakcją na popyt. Stanowi rezultat nietrafnego odczytania skali zapotrzebowania.

– Na kursie w akademii nie powiedzą za to, że po ośmiu godzinach w nienaturalnej, półzgiętej pozycji plecy bolą jak od uderzenia kijem – uśmiecha się Jagna. – A już na pewno nikt nie uświadomi kursantowi, który zapłacił kilka tysięcy złotych za szkolenie, że wyrzuca kasę w błoto, bo nie ma predyspozycji do tego zawodu. Fryzjer jest trochę jak architekt. Musi mieć wyobraźnię przestrzenną, przewidzieć efekty swoich zabiegów. W tej robocie nie można wcisnąć „CTRL+Z" i cofnąć się o krok. Trzeba też umieć cierpliwie słuchać.

Do gołej skóry

Rafał Łazar zaczyna od lustra. Sadza klientkę tyłem do dużego zwierciadła na ścianie, wręcza małe lusterko i obraca ją na krześle pod różnymi kątami, żeby przyjrzała się sobie starannie. Nie zawsze, podkreśla, uczesanie, które wydaje się optymalne *en face*, wypada też dobrze z profilu czy od tyłu.

– Nie tylko słucham, czego chce klientka, ale też obserwuję, za pomocą jakich gestów mi to komunikuje – ciągnie. – Pamiętam dziewczynę, która omawiając rzekomo wymarzoną fryzurę, jednocześnie pokazywała mi na swojej głowie coś zupełnie innego. Po paru minutach rozmowy wyszło na jaw, że do fryzjera wysłał ją mąż, któremu nie pasowało jej dotychczasowe uczesanie. Ona sama była z niego bardzo zadowolona.

Rafała bawią jednak usilne próby uwznioślania fryzjerskiej profesji. Opowieści o terapeutycznym wpływie wizyty w salonie, odczytywaniu nieuświadomionych pragnień klientów, budowaniu cielesnej intymności, której wielu gości nie odczuwa ponoć na co dzień – wszystko to jego zdaniem tworzy sztafaż, za który klient niepotrzebnie dopłaca. Na rynku, zwłaszcza w dużych miastach, zaroiło się ostatnio od salonów, które strzyżenie zmieniają w rytuał i wyceniają wprost proporcjonalnie do skali udziwnień. Cennikami branży coraz częściej rządzi zasada „zgolić do skóry". Właściciele salonów wychodzą z założenia, że nie opłaca się inwestować w relację z klientem, bo on i tak prędzej czy później ucieknie do konkurencji.

Zdaniem Rafała Polacy są tym coraz częściej zmęczeni. Wielu tęskni za starym fryzjerem, który po prostu przycinał włosy i nakładał farbę.

– Ostatnio przyszedł do mnie stały klient – wspomina ze śmiechem. – Powiedział, że nie obchodzi go, jak go ostrzygę. Postawił tylko jeden warunek. Nie chce, żeby wyszło modnie.

©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

KRAKÓW, czwartek 23 maja, godz. 18.30, wirtualnie spotkanie z prof. Tadeuszem Pomiankiem, „O cenach jedzenia", cykl „Eko Czwartki", Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20)

ZIELONA GÓRA, poniedziałek 27 maja, godz. 18.00, spotkanie autorskie z prof. dr. hab. Ireneuszem Ziemińskim, „Chrześcijaństwo. Amoralna religia", Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

TOMASZ

Stawiszyński: *Coś tu nie gra*

Nic nie poradzę, „Reniferek" („Baby Reindeer") mnie nie zachwycił, choć czytam wszędzie, że zachwycić powinien. Tymczasem ten serial, o którym mówi już niemal cały świat, od pierwszego odcinka wzbudzał we mnie raczej nieufność. Śledząc – nie ukrywam, z zaangażowaniem – historię komika o imieniu Donny, który dorabia jako barman i pewnego razu nieopatrznie funduje darmową herbatę pozornie sympatycznej klientce, ona zaś okazuje się szaloną stalkerką (a to dopiero preludium) – miałem nieodparte wrażenie, że coś tu nie gra. W szczególności, że wcale nie chodzi o – niechby i „brutalnie szczery", społecznie zaangażowany, realistyczny aż do drastyczności – serial o przemocy i relacjach. A o co? Raczej o nie do końca jasną intencję samego twórcy, załatwiającego za pośrednictwem starannie dobranych środków swoje prywatne sprawy. Owszem, nie jest to w dziejach sztuki, także filmowej, żadna nowość, sztuka wyrasta z prywatności, prywatność zaś bywa materią sztuki. Zresztą współcześnie w ogóle nieważne są takie dystynkcje. Kreacja staje się tworzywem życia, życie tworzywem kreacji, obie te sfery dowolnie się miksują i łączą. To prawda. Niemniej pomiędzy publiczną ekspozycją własnych – i cudzych – intymności, traum oraz splątań, pomiędzy zatem czymś na kształt autoterapii a dziełem sztuki, nawet popularnym serialem, istnieje zasadnicza różnica.

Prawdą jest jednak również i to, że współczesna kultura terapeutyczna skutecznie tę różnicę niweluje. Dominującą medialnie opowieścią jest w niej ta o pomyślnym przezwyciężaniu osobistych zranień. Im więcej w niej prywatności, wyznań i trudnych doświadczeń, tym bardziej wydaje się autentyczna i tym mocniej, potencjalnie, oddziałuje na publiczność. „Biografia terapeutyczna – pisze w książce „Uczucia w dobie kapitalizmu" izraelska socjolożka Eva Illouz – jest prawie idealnym towarem (...) wymaga tylko, aby dana osoba pozwoliła nam zajrzeć w ciemne zakamarki swej psyche i zechciała opowiedzieć swoją historię".

Dokładnie wedle tych reguł skonstruowany jest „Reniferek". Żebyśmy nie mieli wątpliwości, w czołówce pojawia się deklaracja: „To jest prawdziwa historia". Nie „na motywach", nie „oparta na", lecz tak właśnie, *in extenso:* „prawdziwa". Od początku wiemy także, że wzięta jest wprost z życia autora scenariusza, a zarazem odtwórcy głównej roli, Richarda Gadda. Szkockiego komika, który „naprawdę" pracował w barze, „naprawdę" spotkał sportretowaną w filmie kobietę, „naprawdę" stała się ona jego prześladowczynią i „naprawdę" doświadczył przemocy seksualnej ze strony pewnego znanego w branży komediowej producenta. W poczuciu obcowania z prawdą śledzimy zatem losy Donny'ego-Richarda, przechodzimy z nim przez kolejne odsłaniające się kręgi piekielnych nadużyć, mroków, emocjonalnych turbulencji i katastrof. Kibicujemy jego zbawiennemu związkowi z psychoterapeutką Teri – piękną i mądrą transkobietą, nawiasem mówiąc jedyną postacią w „Reniferku", o której da się powiedzieć, że jest psychologicznie stabilna i wie, czego chce. Na końcu zaś doświadczamy razem z bohaterem czegoś w stylu *katharsis*. A wszystko to wedle najlepszych przepisów na trzymającą w napięciu fabułę.

Cóż, serial ten niewątpliwie ewokuje intensywne emocje i zawiera wiele trafnych psychologicznych obserwacji, nadto wpisuje się w aktualne trendy społeczno-polityczne. Tyle że jest w nim też coś osobliwie nadmiarowego – w tych detalicznych, dosłownych ekspozycjach intymności, uwikłań i przemocy, w tych ciągłych sugestiach, że to takie do bólu szczere, naładowane uczuciami, osobiste, odważnie wydobyte na powierzchnię, bez żadnych niedomówień. I postawione nam wprost przed oczami.

Być może – paradoksalnie – przez tę nadmiarowość właśnie, przez ten specyficzny, słabo zapośredniczony ekshibicjonizm, „Reniferek" w ogóle nie sprawił na mnie wrażenia „prawdziwej historii". Okazało się, że chyba słusznie, bo niedługo po premierze czujni internetowi tropiciele z łatwością namierzyli pierwowzór przedstawionej w „Reniferku" stalkerki Marthy. Fiona Harvey – 58-letnia szkocka prawniczka – wystąpiła niedawno w programie Piersa Morgana i przedstawiła swoją wersję zdarzeń. Okazało się przy tym, że mówi, wygląda i zachowuje się podobnie do filmowej postaci, ma również to samo wykształcenie, chociaż Gadd i producenci z Netfliksa zapewniali, że dochowano wszelkich procedur, żeby zamazać tropy wiodące z ekranu do rzeczywistości. Najwyraźniej jednak nie dochowano.

Harvey twierdzi, że odkąd znienacka stała się postacią publiczną, dostaje setki maili z inwektywami i pogróżkami, a całe jej życie przewróciło się do góry nogami. Zapewnia zarazem – choć na temat relacji z Gaddem prawdopodobnie też, przynajmniej częściowo, konfabuluje – że scenariusz jest wyssany z palca. Czy faktycznie – tego nie wiemy, wiemy natomiast np., że – w przeciwieństwie do serialowej Marthy – Harvey nigdy nie została skazana za stalking.

Pytań nasuwa się więc mnóstwo, ale akurat nie takich, które deklaratywnie ten serial chciał stawiać. Czy w ramach swoich autoterapeutycznych procesów Gadd miał prawo posłużyć się życiem i tożsamością Harvey, nawet jeśli faktycznie go stalkowała? Czy specjalnie napisał, że „to jest historia prawdziwa" i tak skonstruował bohaterkę, żeby łatwo było namierzyć pierwowzór? Czy kłamie on, ona, czy też może kłamią oboje?

Tak czy owak – z pewnością wiele się tutaj nie zgadza. Co jeszcze: tego się pewnie będziemy sukcesywnie dowiadywać. Tylko czy aby na pewno powinniśmy? ©

ROZMOWA

TAK Z CIEKAWOŚCI

ELIZA KĄCKA, PISARKA I KRYTYCZKA:

Najbardziej wymagająca jest ekspozycja. Boi się człowiek obciążyć innych. Przepraszasz wzrokiem za recital wrzasków. Ile razy słyszałam: „Co za matka", „Pani nad dzieckiem nie panuje", „Rozpuściła bachora".

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy zaczęło docierać do Ciebie, że Ruda może być w spektrum autyzmu?

ELIZA KĄCKA: Kiedy stanęła na nóżki i ruszyła w teren. Zauważałam, z rosnącym niepokojem, sztywność mapy. Po balkonie chodziła zawsze tak samo, odtwarzając meandryczną trasę skoków i stąpnięć. Z punktu do punktu. Znam to na pamięć, do dziś.

Gdy coś wybiło ją z rytmu, sztywniała, a na jej twarzy pojawiał się grymas bólu. O czym to świadczy? – pytałam. Wiedziałam, że coś jest nie tak. Ale diagnoza – na papierze – przyszła późno. Idę o zakład, że dziś nikt by tak długo nie dumał i wystawiłby papier z pieczątką. Nie tylko w Warszawie czy Wrocławiu, ale i na Warmii.

W Twojej książce „Wczoraj byłaś zła na zielono" nie pada ani razu słowo autyzm.

Świadoma decyzja. Nie chodziło wyłącznie o to, że nie chcę medykalizować naszego przypadku. Diagnoza jest redukcją. Człowieka się definiuje, zamyka w jakimś pojęciu. Osobowość, indywidualne cechy przestają mieć znaczenie.

Gdy usłyszałam diagnozę, wyszedł z jamy mój wieloletni lęk. Trochę się przeraziłam, trochę mi ulżyło. Ale też nie przeceniam tego momentu w kontekście samowiedzy. Chciałam mieć papier, by córce pomóc. Zakładałam, że – pragmatycznie sprawę biorąc – jako formułka daje moc ratunkową, prawo do pukania w drzwi różnych placówek. Rzecz jasna, gdybym usłyszała diagnozę wcześniej, można byłoby prawdopodobnie...

I tu urywam, bo nieustannie obmyślam scenariusze alternatywne, ale też nie daję się im stłamsić. Mogę powiedzieć tyle, że świadkowałam dobrym, czasem i spektakularnym rezultatom terapii. Ale ciekawe jest to, że Ruda największe postępy robiła spontanicznie, gdy pozwalałyśmy sobie na arcywłasne wariactwa.

Jak pantomima przed witryną kantoru?

Spektakl w środku miasta. Ruda wykonywała choreograficzny układ w biały dzień – pełną kombinację prężeń, gestów, min. I to ją fantastycznie rozluźniało. Okazuje się, że czasem dobrze zaryzykować niekonwencjonalność zachowań. Mnie też to przemieniało: nie spodziewałabym się po sobie takiej odwagi w performansie.

I odporności na opinię publiczną?

Jako matka stałam się bardziej asertywna. Żeby było zabawniej, Ruda jest taka z urodzenia. Abstrahuję od jej wybuchów złości powodowanych lękiem. Wie, czego chce. Wie, czego się lęka. A jednocześnie są w niej pokłady empatii oraz takich niedosłowności, których nie pomieściłaby stereotypowo rysowana mapa spektrum. Atakują ją, hamują różne lęki, ale potrafi je spętać, walczyć z nimi.

Kiedyś wracałam z ciężkiego spotkania. Późny wieczór, w mieszkaniu rodzice. Chciałam się uspokoić, usiadłam na murku. Ruda napisała SMS-a: „Gdzie jesteś, babcia się niepokoi". Odpisałam, że ryczę pod domem. Zeszła po mnie, usiadła obok, płakałam na jej kolanach, a ona mnie objęła. Przeprowadziła mnie przez to dyskretnie, pewną ręką.

A Rudą co uspokaja?

Las. Wsiąka w naturę. Ma coś z wrażliwości, rzekłabym, leśmianowskiej. Gdy przytulała się do drzewa, widziałam, że wchodzi z nim w unię niedostępną dla mnie. Tego nie dałoby się wytrenować, nauczyć. Sama jestem w tym cienka. Chociaż nie wyobrażam sobie swojego dzieciństwa bez warmińskich lasów. Spotkanie Rudej z lisem – duchem ostępów – przekonało mnie, że metafizyka natury w jej przypadku nie jest formułką gołosłowną.

A drugi ważny żywioł to woda. Jakby była jej naturalnym środowiskiem, otuliną. Obserwowałam, jak się w niej rozpuszcza. Nie próbowała nigdy podchodzić do niej wyczynowo, mierzyć się z nią. Przeciwnie: siada lub kładzie się na wodzie, poddaje się falowaniu.

Ty jak sobie radzisz w roli matki?

W roli: trudno. Wymagające poznawczo – choć i wartościowe – są próby przełożenia sobie jej świata na mój, jej języka – na mój język. Najtrudniejsze do zniesienia są Rudej małe rozpacze. Czasem pozwala się przytulić, akceptuje bliskość – a czasem wyrywa się z objęć, chce dystansu. Boli bezradność, gdy nie jestem w stanie jej pomóc. Tłucze się człowiek w desperacji, gdy nie jest w stanie zdekodować tego, co się wydarza w dziecku, co się kłębi w jego emocjach. Gdy nie umie ↦

ELIZA KĄCKA
– pisarka, literaturoznawczyni, krytyczka, felietonistka i współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego". Autorka książek prozatorskich: „Elizje" (2017), „Po drugiej stronie siebie" (2019), „Strefa zgniotu" (2022), książki eseistycznej „Idiomy. Eseje" (2023) oraz książek akademickich. Nakładem wydawnictwa Karakter ukazała się właśnie kolejna – „Wczoraj byłaś zła na zielono".

GRAŻYNA MAKARA

↦ namierzyć powodu, który rozhuśtał tę łajbę.

Przestawienie szklanki kosztowało nas czasem więcej niż – w zwykłej dynamice życia – awantura. Poruszałam się jak po polu minowym. Ruda z pozoru nie patrząc na mnie, widziała każdy mój ruch. I biada, gdy łamałam skrypt. Cierpiała wtedy bardzo. Do dziś nie wiem, jaka neuroza, jaki algorytm porządku tym zawiaduje. Nieprzewidywalność rzeczywistości okazuje się gorsza od katastrofy. Albo inaczej: za każdym razem nią jest. Bomba wybucha w głowie, to widać.

Wymagający był też transport publiczny – ekspozycja społeczna. Boi się człowiek obciążyć innych. Że Ruda zacznie krzyczeć, gdy ktoś zmieni miejsce, a to przecież nieuchronne. Przepraszasz wzrokiem współpasażerów za recital wrzasków. Ile razy słyszałam: „Co za matka!", „Pani nad dzieckiem nie panuje!", „Rozpuściła bachora".

Co Ciebie wzmacnia?

Naszą dwuosobową inność postrzegam jako szansę na bycie twórczym. Gdy Rudą urodziłam, nie wiedziałam, czy wrócę na studia, czy uda mi się zrealizować swoje cele. Zaczęłam intensywnie żyć codziennością i ją zauważać. Choćby dlatego, że odmienność mojego dziecka komplikowała mi najprostsze czynności. I wówczas, potykając się, zaczęłam je dostrzegać. Wszystko zaczęło mieć konkretną gęstość. Pomyślałam, że złowroga mantra moich krewnych – „teraz to już na wiele rzeczy sobie nie pozwolisz" – odsłania i tę dobrą stronę, że w ograniczeniu, w nowej ramie, zaczynam myśleć inaczej. Odwalczałam siebie jako człowieka, który nie boi się własnej dziwności. Co więcej, uczyniłam z niej pożywkę dla literackiej wyobraźni.

Mówię innym głosem niż przed jej urodzeniem. Choć macierzyństwo kosztuje mnie bardzo dużo, to Ruda wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do mojego wewnętrznego dziecka, choć wcale nie miałam ochoty go odwiedzać. Wyzwoliła we mnie całe pokłady szwungu i energii życiowej. Przestałam żyć tym, że kiedyś stanę się kimś innym. Sama okazała się jednoosobowym desantem inności, nie musiałam już fantazjować. I to, paradoksalnie, wyzwoliło we mnie szerzej pojęty impet twórczy. Nie wiem, czy dałabym radę cokolwiek napisać bez tych zmian w moim życiu.

Nie byłoby tej książki?

Oraz żadnej innej. Bardzo się bałam, że nie napiszę czegoś, co spełniałoby moje wymagania. Fantazjowałabym o pisaniu, ucząc historii literatury. Nie ośmieliłabym się. A Ruda, wystawiając mnie swoją obecnością na różne próby, czasem na granicy znoszenia życia, wyzwoliła we mnie zdolność do ryzyka. A bez tej zdolności nie ma pisania, jeśli traktować je serio: jako poznawczy i językowy eksperyment na sobie samej.

Twoja córka wie, że jest bohaterką książki?

Czytała fragmenty. Ciekawa była tych, w których dobrze się układa ze światem natury i społecznym. Mniej tych związanych ze szkołą: to miejsce zapalne.

Mówi o tym?

Niechętnie, wolałaby, zdaje się, wielu rzeczy nie pamiętać. A jeśli już się dzieli, to oszczędnie, niepewnie. Nie da się zresztą oddzielić rytmu wspomnień od językowych nawigacji właściwych Rudej. Ona ma swoje formuły, musi je wygłosić, deklamować, niezależnie od kontekstu. Od jakiegoś czasu używa nagminnie formułki: „Tak z ciekawości". „Napisałaś o mnie. Tak z ciekawości". Wychodzi na to, że pisałam tę książkę z realnej potrzeby poznawczej.

Przecież to prawda.

Ale „tak z ciekawości" ląduje i w innych kontekstach. Ruda mowę opanowała późno. Jest dla niej ciałem obcym. A polski – językiem obcym.

A dla Ciebie jest zagadką?

Język córki paktuje z jej – niedocieczonym dla mnie – życiem wewnętrznym. Bo, powiedzmy, Ruda raptem strzela o „śladach żyjących osobno" i „cieniach wychodzących nocą". Brzmi to jak spekulatywna baśń, ale to nie baśń – to inny świat. To sfera tajemnic, które stają się i moimi tajemnicami... Choć nie przesadzałabym z tym aktem współwłasności. Nigdy nie wejdę w to, co od Rudej biorę.

A co bierzesz?

Niektóre słowa i frazy notuję, by nie uciekły. I zastanawiam się, jak córka łączy abstrakcję z konkretem. Reguły są tu zupełnie inne niż na moim boisku, muszę się ich uczyć. Materialność abstrakcji, lekceważenie ciągów przyczynowo-skutkowych, wygłaszanie nazw przedmiotów, często przekręcanych dla samego ich brzmienia. I dzika radość – na przykład z „dziebów", co do których nawet nie jestem pewna, czy są grzybami, bo może „dzieb" rośnie w jakimś innym kosmosie.

A z drugiej strony – magiczna wiara w siłę słów opisujących stany. Np. nie mogę bezkarnie powiedzieć, że „jest mi źle", bo Ruda boi się infekcji tym stanem. W zapiskach z jej wczesnego dzieciństwa odnotowywałam fazy trudne, by wiedzieć, jak długo trwał kryzys.

Ile trwał najdłuższy?

Miała cztery lata, kiedy w szpitalu zrobiono jej EEG. Elektrody, światła, wielki stres. Po powrocie przestała wychodzić ze swojego pokoju. Kurczowo trzymała się fotela, kompulsywnie malowała. Milczała. Bała się bodźców wzrokowych. I tu rolę główną zyskało lustro. Kazała je sobie ustawić *vis-à-vis*. Nie chciała patrzeć w oczy matce i dziadkom, spoglądała „w oczy" lustru. Do niego jadła, malowała, żyła. Jeszcze trudniej niż zwykle było włamać się do niej.

Na pół roku zamroziła mój i swój świat. Myślałam, że tak będzie już zawsze. Że zestarzeję się, nosząc ją w kokonie z koca do łazienki.

Regres?

To problem wielu wrażliwych ludzi, nie tylko tych w spektrum. Robią dwa kroki ku światu, a potem – w kryzysie – pięć kroków w tył. Przebodźcowani, potrafią zwinąć się w kłującą kulkę i nie jesteś w stanie, człowieku, dociec, co ich ku temu sprowokowało. A nawet jeśli wiesz – co z tego? U Rudej regresy zagarniały mowę. I potęgowały sztywność scenariuszy.

Jakiś przykład?

Pierwszy z brzegu: próbowałam czasem proponować inną trasę spaceru. Cieszyłam się, że to aprobuje. Do czasu, bo prędzej czy później szyki psuł kryzys. I wiedziałam, że wrócimy do tego, co zwykle, do stałej – co do płytki chodnikowej – trasy. I nie będę w stanie przewalczyć, zmienić tego przez dłuższy czas: tydzień, miesiąc, rok.

Mówisz o lęku Rudej. Ale w wydanej właśnie książce piszesz i o swoim lęku przed macierzyństwem.

Komponentem tego lęku jest niechęć do pozycji władzy. A w pozycję matki wpisujemy – tak mi się to jawi od dzieciństwa – zwierzchność i decyzyjność. Taki też jest układ w mojej rodzinie. Kobiety – mama i babcia – były od wywierania presji, kształtowania innych wedle swoich wyobrażeń, modelowania, unifikowania. Poświęcały się dramatycznie i oczekiwały za to podległości.

Nie kusiło mnie, by sprawdzać ten obszar doświadczenia. Ale stało się: Rudą urodziłam, gdy miałam 23 lata. Pocieszano mnie, że młoda matka ma dużo siły, szybko dziecko odchowa, potem będzie mogła zająć się sobą. Ba, urodziła sobie przyjaciółkę. A we mnie od samego początku było przeczucie cienia. Możliwe, że ten fatalizm „zawdzięczałam" chorej ciąży. Źle reagowałam na podtrzymywacze dobrego nastroju, konwencjonalne zaklinanki: „Będzie pięknie, zobaczysz". Myślałam: wystarczy, że będzie nadwrażliwa – jak ja. I już nie będzie pięknie. Od dziecka świat bardziej mnie bolał, niż cieszył.

Gdzie bolał najbardziej?

Uuu, w przedszkolu się zaczęło. Nic nadzwyczajnego: dzieci mnie brały za fajtłapę i permanentnie się ze mnie śmiały. Zapewniałam im takie slapstickowe scenki: idę sobie z pudełkiem pełnym zabawek i – bach! – wywalam się na prostej drodze. Śmieją się ze mnie zgodnym chórem, przezywają, kpią. A ja takie stresy odreagowywałam chodząc w domu wokół stołu – kolejne kółko i kolejne, tak godzinami. Albo w ogrodzie łażąc tam i z powrotem, gadając do siebie. Konfabulowałam, opowiadałam. Nie wymyślałam krain równoległych, lecz natrętnie, wielokrotnie przewijałam w głowie sceny z przedszkola. Przy czym, cwaniara, wprowadzałam korekty w scenariuszu. Dziadek, który mnie obserwował, opowiadał po latach, że po moich minach, wymachiwaniu rękami, gwałtownych podskokach dało się poznać, że to nie jest zwyczajne dumanie, tylko uczestnictwo w jakimś społecznym spektaklu – na scenie mojej głowy.

A te cwane korekty?

Po przeróbce nie wywalałam się, niosąc pudło z zabawkami w obecności przedszkolnej widowni. Co więcej, grając w korekcie nawet potrafiłam się postawić, odpysknąć, było mnie na to stać, wzbierała we mnie śmiałość. I mówiłam w taki sposób, że wszyscy byli zaskoczeni – obserwowałam twarze, na których nie było pogardy, lecz mieszanka zdziwienia z podziwem. Czułam wielką satysfakcję, bo zawsze chciałam niestandardowo wyrażać siebie, przecinać role społeczne, kontestować. Cóż, te teatry – odgrywane dla samej siebie – to była moja totalna namiętność wstydliwie długo trwająca, bo do końca podstawówki najmniej.

Uciekam od kobiecych ról. Mam potrzebę ich podważania.

W ciąży przeglądałam poradniki dla rodziców i uderzało mnie, jak standaryzowane są emocje matki.

Tu istotny jest wspomniany dziadek?

Żałuję, że się z Rudą nie przecięli, nie poznali się. Dziadek Edward był osobowością mocną, niezależną. Żywił organiczną niechęć do namaszczania się rolą, nominalnego przywództwa, życiowego feudalizmu. I akceptował moją odmienność, choćby w tym, że obce mi były wózki z falbanką czy inne dziewczyńskie gadżety, rytuały. Choć raz przejął się, gdy usłyszał od przedszkolanki, że nie bawię się lalkami – przestraszył się chyba, że społeczeństwo mnie z tego rozliczy. Pracowaliśmy razem w ogrodzie. Uciekaliśmy tam od naszych kobiet.

Teraz też uciekasz od kobiet.

Nie tyle od samych kobiet, ile od kobiecych ról. Mam absolutną potrzebę ich niuansowania, podważania. W ciąży przeglądałam poradniki dla rodziców i uderzało mnie, jak standaryzowane są emocje matki. „Poczujesz strzałę miłości w sercu, gdy położą ci dziecko na brzuchu. A jeśli miłość nie przyjdzie od razu, to się nie załamuj. Podajemy ci widełki czasowe kryzysu: spełnienie nadejdzie, spokojnie".

A gdy już krążyłam na spacerach z córką, nadszedł czas zabaw w piasku. Z nim zaś – teatr życia społecznego. Brała w nim udział Ruda, ale na własnych prawach. Miała swoje obrządki wedle niezmiennych reguł: wbiegała na górkę, prostowała się, porywała wiaderko, napełniała mokrym piaskiem... Chodziło tylko i wyłącznie o to, by jej nie przeszkadzać, honorować jej rytm. Brałam na siebie rolę ochroniarza.

Czyli?

Córka nie zauważała, że towarzystwo się z niej nabija. A dzieci nie przyjmowały do wiadomości, że „normalnie" wyglądająca dziewczynka porusza się w świecie wedle ścisłego algorytmu – i że nie można zaburzyć jej trasy, bo dostanie szału. Najmniej życzliwie na Rudą reagowały dziewczynki, które odgrywały przed nami rolę kobietek zorientowanych w regułach gry. Udzielały mi instrukcji. Indoktrynowały, pouczały. Bawiło mnie, że przy nich okazywałam się gówniarzem, naiwniakiem. Byłam młodsza od nich o lata stadnego treningu.

W sumie dość zabawne.

Co tu kryć, wyszła na jaw moja dziwność. Szanująca się matka dałaby popalić pięciolatkom objaśniającym jej świat. A one zasypywały mnie pytaniami: „Gdzie pani pracuje, kim pani jest, kogo pani ma?". Opowiadały o swoich mamach. A później rzeczone mamy przychodziły po córki – i odkrywałam, że małe to ich kopie. Że dziewczynki przez społeczną osmozę wchłaniają czy też przejmują, iż być kobietą znaczy rozkazywać i trzymać „chłopa" za twarz. Tę umiejętność ćwiczą już na kolegach w piaskownicy. Tresują przyszłych mężów – niekoniecznie własnych. Sprawdzają, czy „faceci" będą je nosić na rękach, karnie ich słuchać. Te małe kobietki widziały, że jestem inna, że nie jestem z tych, które rzucają zadania jak kije i krzyczą „aport". Nasz duet z Rudą był dla nich zbyt egzotyczny, by mogły go uznać.

To duet nierozdzielny?

Smok z dwiema głowami, jednym ciałem i ogonem balansującym. Dwie głowy, nieco podobne, a tak bardzo różne. Pierwsza musi nieustannie osłaniać drugą – myśleć, gadać, kombinować za nią – choć i to ma swoje granice. Cały czas czuwa, obserwuje, rozgląda się na prawo i lewo, by nikt tej drugiej nie skrzywdził, nie wyprowadził z równowagi.

Rzecz jasna, zmontowana tu naprędce metafora nie sugeruje, że przesiadam się w głowę mojego dziecka. Nie jest to możliwe.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

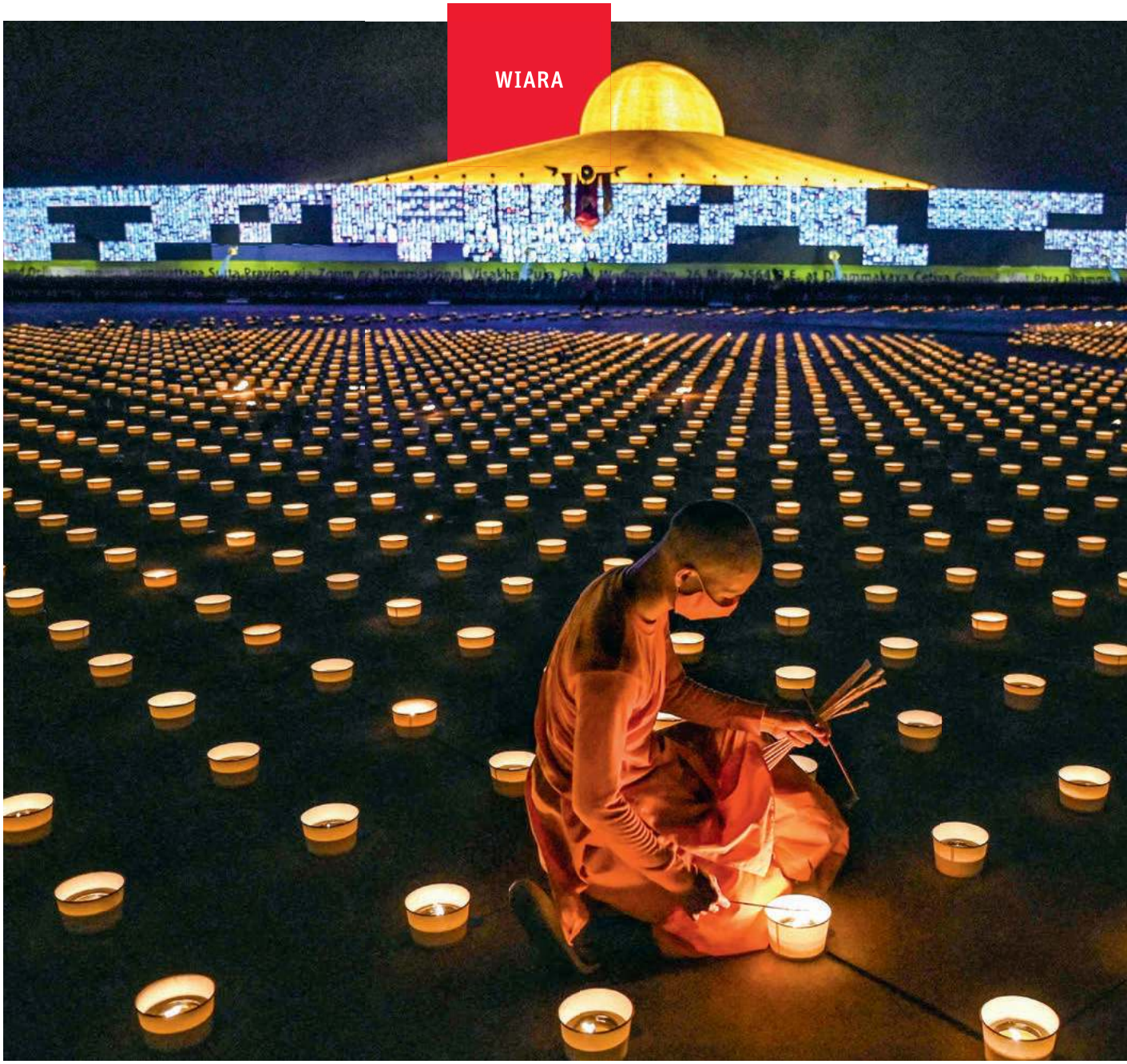

Święto Wesak w świątyni Wat Dhammakaya, Bangkok, maj 2021 r.

BUDDYJSKA PRZYSZŁOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSTWA

Dziś buddyzm jest podobnym wyzwaniem dla chrześcijaństwa, jak u jego zarania była filozofia grecka. Nie unikniemy gruntownego przemyślenia własnej wiary.

PIOTR SIKORA

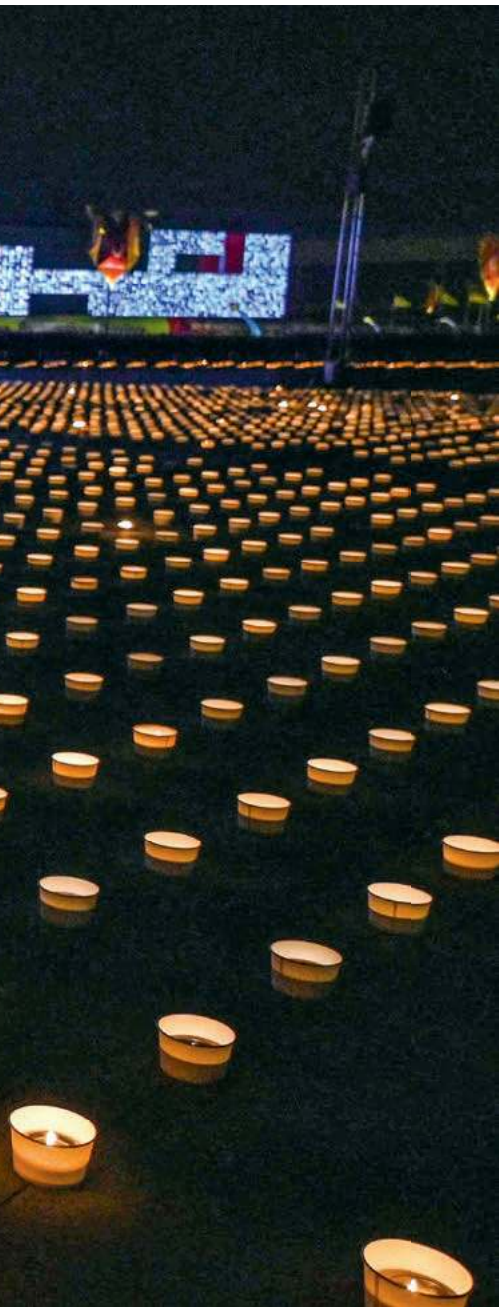

LILLIAN SUWANRUMPHA / AFP / EAST NEWS

W MAJOWĄ PEŁNIĘ KSIĘŻYCA BUDDYŚCI świętują Wesak – dzień narodzin, oświecenia i odejścia Buddy w nirwanę. To dobry moment, by zastanowić się, czego jako katolicy możemy się od nich nauczyć.

„Chrześcijaństwo XXI wieku albo będzie mistyczne, albo nie będzie go wcale" – słowa Karla Rahnera, jednego z największych teologów ubiegłego wieku, są najprawdopodobniej prawdziwe. Ale jeszcze bardziej prawdopodobne jest, że prawdziwa okaże się inna wersja tego bon motu: chrześcijaństwo XXI wieku będzie albo buddyjskie, albo zostanie sektą na marginesie kultury.

Izolacja albo otwarcie

W chrześcijaństwie już od samego początku jego istnienia ścierały się (i ścierają się nadal) dwie tendencje: można je nazwać izolacjonistyczną i uniwersalistyczną.

Izolacjoniści uważają, że chrześcijaństwo – takie, jakie oni znają – jest rezultatem zupełnie wyjątkowego boskiego działania, zaś poza chrześcijańskim obszarem panuje moralna i poznawcza ciemność, co najwyżej nieznacznie rozpraszana przez naturalne wysiłki człowieka. Skoro jednak nawet najznamienitsze ludzkie zabiegi nie są w stanie sięgnąć Boga i nie przynoszą zbawczych skutków, chrześcijanie – w wizji izolacjonistów – powinni czerpać wyłącznie z własnych, chrześcijańskich źródeł, poznając sposób życia i poznania niechrześcijan najwyżej po to, by skuteczniej kierować do nich misję ewangelizacyjną. Poznając zaś to niechrześcijańskie, trzeba być bardzo ostrożnym, by nie zanieczyścić swojego umysłu i chrześcijańskiej doktryny.

Uniwersaliści widzą świat inaczej. Dostrzegają, że elementem ich własnego, chrześcijańskiego przesłania jest wiara, iż Bóg, który objawił się w Jezusie, jest obecny, ujawnia się i działa zbawczo zawsze i wszędzie. Warto zatem szukać Go także poza granicami chrześcijaństwa w jego aktualnej, historycznej postaci. Ludzka mądrość, również ta, która wydaje się być czysto naturalna, kryje w sobie (jak to metaforycznie ujmuje Ewangelia) perły Panowania Boga.

Oczywiście otwarcie się na niechrześcijańskie tradycje mądrościowe jest dla chrześcijan intelektualnym i duchowym wyzwaniem – wymaga bowiem z jednej strony krytycznego, a zarazem życzliwego rozeznawania, co w innej perspektywie jest cenne i prawdziwe, a z drugiej strony – domaga się gotowości na zakwestionowanie kształtu dotychczasowego życia wiarą i przemiany własnej chrześcijańskiej tożsamości w spotkaniu z innym.

Mądrość świata

Warto jednak pamiętać, że chrześcijaństwo odnajdywało dynamizm i siłę zwykle w momentach, w których tendencja uniwersalistyczna brała górę – jak wówczas, gdy Paweł z Tarsu był w stanie przekonać liderów zgromadzonych na tzw. Soborze Jerozolimskim, iż nie trzeba być żydem, by być chrześcijaninem, albo wtedy, gdy ojcowie Kościoła integrowali w duchowo-doktrynalny krwiobieg Kościoła filozofię stoicką i neoplatońską, lub gdy Tomasz z Akwinu, przekonany, że „każda prawda pochodzi od Ducha Świętego", nie bał się używać do nowej teologicznej syntezy kategorii filozofii Arystotelesa.

Owszem, ktoś mógłby tu przyznać: chrześcijanie, formułując podstawowe dogmaty Kościoła, choćby ten o Trójcy, korzystali z filozofii greckiej. Ale – nasuwa się tu zastrzeżenie – czym innym byłoby łączenie chrześcijaństwa z inną tradycją religijną, a taką jest buddyzm.

Zastrzeżenie to nie jest oparte na faktach. Po pierwsze, starożytne filozoficzne szkoły – np. stoicka czy neoplatońska – nie były systemami czysto teoretycznymi. Miały raczej charakter szkół duchowości, w których spekulatywne rozważania podporządkowane były praktycznym, duchowym ćwiczeniom, mającym prowadzić do szczęśliwego życia i zjednoczenia z ostateczną zasadą rzeczywistości. Po drugie – starożytna chrześcijańska inspiracja ówczesną filozofią nie ograniczała się jedynie do wykorzystania spekulatywnych kategorii myślowych – obejmowała również czerpanie z duchowych praktyk, wykorzystywanie ich na mistycznej, chrześcijańskiej drodze. Nic nie stoi na przeszkodzie, by współczesna inspiracja buddyzmem miała podobny charakter.

Duchowość wobec nauki

Dlaczego jednak to właśnie buddyzm ma dziś pełnić rolę, jaką w starożytności odgrywali stoicy czy Platon?

Zmusza do tego rozwój nauk empirycznych badających ludzki umysł. Już wcześniejszy postęp nauk badających świat materialny przyczynił się do tzw. odczarowania świata. Religie kosmiczne postrzegały środowisko życia człowieka jako przestrzeń zapełnioną istotami boskimi, dziś powiedzielibyśmy pewnie: nadprzyrodzonymi. W tradycji biblijnej dominuje postrzeganie zdarzeń jako dzieł Boga – głównego protagonisty zarówno historii osobistych, jak i dziejów całych narodów. Wedle naukowego obrazu świata zarówno kształt kosmosu, jak i przebieg historii może zostać ↦

↦ wyjaśniony przez odwołanie do czynników wyłącznie „wewnątrzświatowych". Duchowość pozostała – przynajmniej tak się do niedawna zdawało – sferą bytu osobowego, za jaki uważa(ł) się człowiek.

Wizja człowieka jako bytu duchowego, samoświadomego i wolnego jest w dużej mierze rezultatem pracy chrześcijańskich myślicieli, integrujących tradycję biblijną i filozoficzną myśl starożytnej Grecji. Kulminowała ona w boecjańskiej definicji osoby jako „indywidualnej substancji rozumnej natury". Jakkolwiek w późniejszych czasach myślenie personalistyczne wychodziło poza tę definicję, nigdy jej całkiem nie porzuciło. Indywidualność, rozumna samoświadomość i oparta na rozumności wolność były traktowane jako istotne cechy człowieka.

Impuls z mózgu

Współczesne nauki neurokognitywne stanowią jednak wyzwanie także dla takiego myślenia. Badania pokazują, że bardzo wiele działań, które uznajemy za efekt naszych wolnych decyzji, jest w istocie skutkiem sub-personalnych mechanizmów. Okazuje się np., że mózg wysyła impuls do wykonania ruchu mającego być odpowiedzią na dostrzeżony przez badanego sygnał, zanim w świadomości osoby pojawi się świadoma decyzja, co robić. Można też zaprojektować sytuacje, w których ludzie mają iluzję sprawstwa (np. mają poczucie, że to oni wykonują niewielki ruch swoją ręką, którą widzą tylko w lustrze, podczas gdy w rzeczywistości widzą rękę eksperymentatora). Do powstania iluzji wystarczy, by w ich świadomości tuż przed zauważonym ruchem pojawiały się myśli spójne z obserwowanym zdarzeniem oraz by nie zdawali sobie sprawy, że możliwe jest inne wyjaśnienie tego, co widzą.

Kognitywistyczna dekonstrukcja dotyka nie tylko kategorii wolności. W podobny sposób kwestionuje rozumność podmiotu. Pokazuje, jak bardzo nasza percepcja i nasze myślenie uwarunkowane jest nie tylko przez czynniki kulturowe, ale także przez biologiczne, ewolucyjnie wykształcone dziedzictwo naszego układu nerwowego. To, co świadomie rozpoznajemy jako świat wokół nas, okazuje się w dużej mierze projekcją mózgu – nie tyle prawdziwą w klasycznym sensie tego słowa, co ułatwiającą przetrwanie. Również to, co myślimy o sobie samych, jest raczej konstrukcją nadbudowaną na nieznanych nam mechanizmach funkcjonowania naszego organizmu. Przy bliższym zbadaniu nasza tożsamość osobowa okazuje się raczej chwilową wypadkową wielu oddziaływań o różnej naturze niż niezmienną własnością indywidualnej substancji.

Sztuczna inteligencja

Dodatkowe wyzwania dla tradycyjnie rozumianej osobowej tożsamości przychodzą ze sfery rozwoju AI oraz opartego na niej „przemysłu big data". Nasze, ponoć wolne, działania i myślenie okazują się przewidywalne dla algorytmów AI. Mogą one zatem odpowiednio dostosowywać zawartość przestrzeni informacyjnej, w której każda i każdy z nas żyje, i kształtować nasze poglądy i nasze wybory w niedostrzegalny dla nas sposób. Wydaje nam się, że to my sami decydujemy, co myślimy, co robimy i kim jesteśmy – ale to w znaczniej mierze złudzenie.

Empirycznie uzasadniona dekonstrukcja mocnej idei osoby bywa wykorzystywana przez krytyków chrześcijaństwa (lub szerzej: religii) jako ostateczny argument pozbawiający świat wymiaru duchowego. By odeprzeć ten argument, potrzeba duchowej tradycji zdolnej asymilować wyniki badań kognitywnych i wskazującej drogę do odkrycia, jak wymknąć się z sideł biologicznych i cyfrowych oddziaływań. Taką tradycją jest właśnie buddyzm.

Szlachetne prawdy

Za podstawę buddyzmu przyjmuje się najczęściej tzw. Cztery Szlachetne Prawdy: o bolesnym charakterze egzystencji; o tym, skąd się ów bolesny charakter bierze; o tym, że istnieje możliwość wyjścia z tej bolesnej sytuacji; i o tym, jaka jest do tego droga.

W tradycji buddyjskiej na rzeczywistość opisywaną przez Cztery Szlachetne Prawdy można popatrzeć również od nieco innej strony – w kategoriach Prawa Współzależnego Powstawania. Opisuje ono mechanizm powstawania świata naszego doświadczenia, czyli świata, w którym żyjemy, traktując siebie jako wciąż ten sam, czujący, cierpiący i dążący do szczęścia podmiot. Głosi ono, że to, co potocznie bierzemy za zastaną obiektywną rzeczywistość, jest (tu buddyzm zgadza się z odkryciami nauk kognitywnych) w dużej mierze konstrukcją powstałą w wyniku współdziałania wielu, bardziej podstawowych czynników. Skoro zaś to działanie umysłu decyduje, co uznajemy za rzeczywiste, buddyści zajmują się nie tyle budowaniem kosmologicznej wizji świata, co analizą umysłu i umysłowego doświadczenia.

Budda i jego wcześni uczniowie tworzyli i przekazywali swą naukę w kulturowym kontekście, w którym dla większości ludzi oczywiste było, że świadome istoty egzystują w kole następujących po sobie wcieleń, zaś kształt konkretnego wcielenia określony jest przez prawo karmana. Współcześnie wielu buddystów dopuszcza myśl, że opowieści o cyklu kolejnych wcieleń nie trzeba rozumieć dosłownie. To, co pozostaje z tej opowieści prawdziwe, to dostrzeżenie, iż na kształt naszego aktualnego doświadczenia mają wpływ także czynniki, które działały przed naszymi narodzinami.

Skąd zło

Zasadniczym problemem, który stoi u źródeł buddyjskiej tradycji nie jest jednak kwestia teoretyczna, lecz egzystencjalne doświadczenie cierpienia. I w tym zakresie buddyzm może być inspirujący – choć także wymagający – dla wyznawców chrześcijaństwa (i innych religii teistycznych).

Unde malum? Skąd zło? To chyba najtrudniejsze pytanie dla wierzących w absolutnie dobrego Boga. Niemożność znalezienia przekonującej odpowiedzi na to pytanie – odpowiedzi nie tylko spekulatywnej, ale przede wszystkim rozjaśniającej egzystencjalną sytuację, której częścią jest cierpienie – jest częstym powodem utraty wiary. Historia teodycei nasuwa wątpliwość, czy taką odpowiedź kiedykolwiek uda się znaleźć.

Znamienne więc, że sytuacja, która bywa nierzadko kresem chrześcijańskiego zaangażowania religijnego była, zgodnie z tradycją, początkiem drogi księcia Siddharty Gautamy ku przebudzeniu i nirwanie – jest więc początkiem buddyjskiej ścieżki. Ścieżka ta obejmuje zarówno określony sposób postępowania, jak kształtowanie odpowiednich intencji – postaw wobec świata. Rdzeniem buddyzmu są jednak praktyki medytacyjne, które prowadzą do bezpośredniego wglądu w naturę rzeczy.

IPA / ABACA PRESS / FORUM

Papież Franciszek przyjmuje na audiencji delegację Zgromadzenia Buddystów z Sangha (Tajlandia), Watykan, czerwiec 2022 r.

Tym, co może stanowić wyzwanie dla chrześcijanina, jest zupełnie inna niż w chrześcijaństwie perspektywa, w której buddyści próbują odpowiedzieć na pytanie o źródło cierpienia. Budda wyraźnie sugerował, że próby zbudowania metafizycznej teodycei nie tylko są skazane na teoretyczną porażkę, ale – co ważniejsze – są niepotrzebną stratą czasu i intelektualnej energii. Warte uwagi zrozumienie źródła cierpienia polega na rozpoznaniu, jakie mechanizmy działania naszego umysłu do cierpienia prowadzą, i na umiejętnej zmianie umysłowego funkcjonowania.

Historia spotkania

Buddyzm był w polu widzenia chrześcijaństwa niemal od samego początku. Najstarszą chrześcijańską wzmianką o Buddzie jest napisany w II w. fragment „Kobierców" Klemensa Aleksandryjskiego: „wśród Hindusów znajdują się tacy, którzy przestrzegają przykazań pewnego Buddy, który ze względu na swoją wielką świętość czczony jest przez swoich wyznawców jako bóg".

W VIII wieku św. Jan Damasceński rozpowszechnił w świecie chrześcijańskim legendę (funkcjonującą także w judaizmie i islamie) o Jozafacie i Barlaamie, nieświadomie kanonizując tym samym założyciela buddyzmu. Historia Jozafata jest bowiem *de facto* historią księcia Siddharty Gautamy, przyszłego Buddy: w młodości odcięty przez ojca od wszelkich bolesnych stron życia, podczas przejażdżki spotkał chorego, starca i zwłoki; zrozumiał, że od przemijania nie można uciec, więc uszedł z pałacu, by przez ascezę i medytację znaleźć drogę do wyzwolenia z cierpienia.

W średniowieczu Dante umieścił w Raju „człowieka zrodzonego nad Indu brzegami", który „choć o Chrystusie nie czyta, nie pisze, / Dobre uczynki rad godzi z chęciami, (...) / Czysty jest czynem i myślą, i mową".

Dopiero jednak od XIX w. rozpoczyna się bardziej dogłębne spotkanie europejskiego chrześcijaństwa z buddyzmem. Początkowo było ono jednak naznaczone słabą znajomością samego buddyzmu i przekonaniem o naszej wyższości. Do połowy XX w. wyjątkiem był wybitny teolog Romano Guardini. W 1937 r. pisał: „Istniał jeden jedyny człowiek, który mógłby nasuwać myśl, że jest w pewnym sensie podobny do Jezusa: Budda. (...) Może Budda będzie tym ostatnim, z kim chrześcijaństwo winno się skonfrontować. Nikt bowiem jeszcze nie powiedział, co oznacza on z chrześcijańskiego punktu widzenia. (...) Tego, co rozumiał pod nazwą nirwany – ostatecznego przebudzenia, ustania iluzji istnienia – z perspektywy chrześcijańskiej nikt jeszcze chyba nie pojął i nie ocenił. Ten, kto by to chciał uczynić, musiałby stać się całkowicie wolny w miłości Chrystusa, zarazem jednak żywić głęboką cześć dla owej tajemniczej postaci z szóstego wieku przed narodzeniem Pana".

Od drugiej połowy XX w. coraz większa liczba chrześcijańskich teologów i „poszukiwaczy duchowych" zwraca się ku buddyzmowi w sposób, który zmierza ku wypełnieniu warunków postawionych przez Guardiniego: zakorzenieni w swoim chrześcijańskim zaangażowaniu i wolni wobec zewnętrznej postaci tego zaangażowania oraz pozbawieni poczucia wyższości wobec Buddy i jego Dharmy. Coraz liczniejsi księża, mnisi i świeccy praktykują pochodzące z buddyzmu sposoby medytacji (zwłaszcza zen). Znacznie mniej liczni – próbują wykorzystywać kategorie buddyjskie w chrześcijańskiej teologii.

Duchowa droga

Integracja buddyzmu w chrześcijaństwo – analogiczna do integracji stoicyzmu czy neoplatonizmu – nie oznacza oczywiście bezkrytycznego przejęcia całości buddyjskiego nauczania. Nie jest to możliwe zarówno ze względu na wewnętrzne zróżnicowanie tradycji buddyjskiej, jak również na wiele różnic pomiędzy chrześcijaństwem a buddyzmem, najbardziej widocznych na poziomie pojęciowym.

Pojęciowe, teologiczne wykorzystanie kategorii buddyjskich w chrześcijańskich próbach zrozumienia przesłania Ewangelii w kontekście współczesnej kultury jest z pewnością ogromnym wyzwaniem – i potrzeba wielkiej wiedzy, by wyzwanie to podjąć. Niemniej jednak, biorąc pod uwagę istotne cechy buddyjskiej Dharmy, droga ku buddyjskiemu chrześcijaństwu nie może być po prostu teoretyczna. Musi się ona zaczynać zawsze od duchowej praktyki. Zaś ten sposób inspirowania się buddyzmem jest dostępny dla znacznie szerszej grupy chrześcijan – być może nawet dla każdej i każdego.

Warto zatem, by chrześcijanie nie ograniczali się do egzystencjalnego poznawania własnej tradycji medytacyjno-kontemplacyjnej. Osobista, „eksperymentalna" znajomość treści pism takich autorów i autorek jak np. Ewagriusz z Pontu, Mistrz Eckhart czy Teresa od Jezusa jest bardzo przydatna dla rozwoju głębokiej wiary. Jednakże nawet ci chrześcijanie, którzy dogłębnie zrozumieliby największych mistrzów duchowości własnej tradycji, mogą się wiele nauczyć, otwierając się na mądrość odkrytą przez księcia Siddhartę Gautamę.

Zatem szczęśliwego Dnia Wesak!

©℗ PIOTR SIKORA

Amazonia, czyli Kościół bez księży

DOMA MATEJKO

W Puszczy Amazońskiej to świeccy, a przede wszystkim kobiety, są odpowiedzialni za życie Kościoła.

W Ameryce Łacińskiej na pięć i pół tysiąca wiernych przypada jeden duchowny. Są regiony, gdzie msze odbywają się raz na sześć lat. Kościół żyje dzięki świeckim, przede wszystkim kobietom.

Duchowny z importu

Barbara Dominika Szkatuła pochodzi z Krakowa, od 41 lat udziela ślubów, chrztów i prowadzi niedzielną liturgię słowa. W peruwiańskim wikariacie San José del Amazonas, gdzie pracuje jako świecka misjonarka, z szesnastu parafii w ośmiu nie ma księdza. Ci, którzy są, przyjeżdżają spoza Peru i zazwyczaj zostają na krótko. Zbyt krótko, żeby zrozumieć lokalne potrzeby i kulturę. – Nie wytrzymują trudnych warunków, jakie panują w głębi dżungli – opowiada „Tygodnikowi Powszechnemu". – Peruwiańczyków pochodzących z regionu jest tylko trzech.

Nie ma o nich najlepszego zdania. – Przykro mi to stwierdzić, ale nie jest to tylko moja opinia, niestety mają oni bardzo przeciętną formację i szukają przede wszystkim dobrych zarobków i statusu społecznego – komentuje misjonarka.

Winą za takie podejście Szkatuła obarcza głównie seminaria, w których nadal dominują klerykalizm i neokolonialne podejście do społeczności rdzennych. Co się z tym wiąże, księża przychodzący z zewnątrz często mają pejoratywny stosunek do lokalnej kultury i infantylizują mieszkańców terenu, który ich gości. Podejście, które powinno było się zakończyć wraz z odzyskaniem niepodległości i uniezależnieniem się krajów Ameryki Łacińskiej od Korony Hiszpańskiej, zaledwie zmieniło formę. – Nie traktują na serio rdzennej kultury, a to przecież w niej rodzi się prawdziwa wiara, która jest głęboko przeżywana – mówi misjonarka i dodaje, że mieszkańcy Angoteros, gdzie obecnie pracuje, opierają swoją wiarę na Bożym miłosierdziu.

Pachayaya znaczy Bóg

Bóg w języku kichwa *Pachayaya* lub, w zależności od regionu, *Pachakamak* jest Bogiem opatrzności, który nigdy nie zawodzi. Jest Bogiem czasu i przestrzeni. – Bóg dociera do mnie poprzez duchy błądzące po lesie, poprzez zwierzęta, wodę, drzewa i przez rośliny – opowiada jeden z parafian zapytany o to, jak doświadcza Boga i jak z nim rozmawia.

Mieszkańcy Angoteros należą do grupy rdzennej zwanej Kichwa i zamieszkują rejony Amazonii należące do Kolumbii, Peru i Ekwadoru. Istnieje ponad czterysta społeczności Kichwa, a ich kultura jest złożona i różni się, co oczywiste, w zależności od regionu. Kichwa są katolikami, a ich wyrażanie wiary zawiera w sobie wiele elementów rdzennych tradycji i języka. – Liturgia jest odprawiana w ich języku, z ich śpiewem, a przy specjalnych okazjach też z tańcem i innymi elementami kultury, ale niestety wciąż oparta jest na kanonie naszej rzymskiej mszy świętej – tłumaczy Dominika Szkatuła.

Opisywanie zagadnień związanych z synkretyzmem, czyli – najprościej rzecz ujmując – łączeniem doktrynalnej wiary katolickiej z lokalną tradycją, niesie ze sobą ryzyko często nieuświadomionego odczytania rdzennej kultury poprzez pryzmat światopoglądu europocentrycznego. Tymczasem, żeby móc zrozumieć tradycje i kultury od nas odległe, zarówno geograficznie, jak i kulturowo, musimy podjąć próbę wyjścia choć

PAULO SANTOS / REUTERS / FORUM

Pielgrzymka amazońskich katolików rzeką Caraparu z Santa Izabel do Pará, Brazylia, grudzień 2012 r.

na chwilę poza własną ontologiczną perspektywę. W kulturze Kichwa Bóg rozumiany jest jako transcendentna siła, która organizuje rzeczywistość w przestrzeni i w czasie. *Pachakamak* nie jest częścią żadnej lokalnej mitologii ani nie przybiera postaci ludzkiej, lecz jest abstrakcyjnym wyrazem harmonijnej całości. Zamieszkuje pośród społeczności, wspierając jej rozwój.

Pachayaya jest więc Bogiem tak samo, jak jest nim *God*, *Dios*, *Gott* czy *Dieu*. Dominika Szkatuła wspomina, że na jednym ze spotkań w Kolumbii, które poprzedzało Synod Amazoński z 2019 r., przedstawiciele ludności rdzennych zwrócili się do misjonarzy: „Zapraszamy was do nawrócenia, abyście lepiej i głębiej poznali naszą kulturę, nauczyli się naszych języków – i wtedy, kiedy naprawdę nas poznacie, zdacie sobie sprawę, że wierzymy w tego samego Boga, że walczymy o te same wartości i godne życie”.

Poza Eucharystią

– Księży nie ma i raczej nie będzie. Czy zamkniemy Kościół na klucz? Nie, Kościół jest większy niż kardynałowie, biskupi i księża – odpowiada misjonarka na pytanie o brak duchownych w regionie Amazonii.

Chociaż eucharystia jest tu rzadkością, podczas liturgii występuje wiele gestów eucharystycznych, które stanowią jednocześnie integralną część lokalnej kultury. Poczucie wspólnoty i wspólne gospodarowanie ziemią jest nieodłącznie związane z dzieleniem się pokarmem. Dlatego w tym ujęciu wspólnoty katolików, które zamieszkują Amazonię, są „eucharystyczne” i takimi były, zanim pojawili się na tych terenach pierwsi misjonarze. Z tego względu, jak przyznaje Szkatuła, należałoby rozpocząć proces poszukiwania i tworzenia wyrażeń, szafarzy, symboli, obrzędów i rytuałów amazońskich, które mogłyby na stałe wejść w kanon liturgii odbywających się w tym regionie. – Nie wiemy jeszcze, jak to zrobić, ale na pewno nie na sposób rzymski – podkreśla misjonarka.

Potrzeba zastąpienia lub dodania gestów eucharystycznych, których symbolika wypływałaby bezpośrednio z kultury Kichwa, jest niezwykle ważna z tego względu, że symbole, którymi operujemy na ogólnopojętym Zachodzie, nie zawsze są i, co najważniejsze, nie muszą być zrozumiałe przez wszystkich. Szkatuła wspomina, że parę lat temu do wioski należącej do Angoteros przyjechał ksiądz, aby odprawić mszę, i że nikt oprócz niej i księdza nie przyjął komunii. – Ludzie wstydzą się podejść. Śmieją się nerwowo, patrzą ze zdziwieniem i kontemplują księdza, który sam ze mną przyjmuje Pana Jezusa. Jest na swój sposób straszne jeść samemu w obecności innych – wspomina misjonarka. – Przecież Jezus wybrał chleb i wino, które w jego kulturze spożywano na co dzień, a Jego przykazaniem było: „bierzcie i jedzcie wszyscy”, a nie „patrzcie” czy „oddawajcie cześć” – dodaje.

Szkatuła wskazuje, że wino i chleb – potrzebne do sakramentu eucharystii jako jego materia – są tutaj pokarmem obcym. Tu bardziej maniok i masato mogłyby się stać pokarmem eucharystycznym. – Eucharystia to jedzenie, picie i wspólnota. Masato to napój uczty i dzielenia się. To autentyczna krew kultur amazońskich – zauważa.

Bez księdza lepiej

Brak Eucharystii oraz brak księży nie jest według osób pracujących na misjach, a co ważniejsze, według samych katolików z Amazonii, największym problemem. – A może to lepiej, że ich nie ma? – zastanawia się Szkatuła. – Proszę nie zrozumieć mnie źle. Chodzi o problem klerykalizmu, który nadal jest bardzo mocno obecny w Kościele, i który bardzo utrudnia proces inkulturacji Kościoła oraz zrealizowanie marzeń Franciszka zawartych w dokumencie „Kochana Amazonia” – wyjaśnia misjonarka.

Mowa o papieskiej adhortacji, która została opublikowana po Synodzie Amazońskim z 2019 r. W dokumencie Franciszek wyznacza cztery kierunki, nazwane przez niego samego „marzeniami”, w których Kościół powinien zmierzać w kontekście Amazonii. Zaznacza on potrzebę walki o prawa i godność rdzennych mieszkańców tego regionu, zachowanie bogactwa kulturowego Amazonii i obronę przyrody. Pisząc o czwartym marzeniu, Franciszek podkreśla potrzebę zaangażowania wspólnot chrześcijańskich „do tego stopnia, by dały Kościołowi nowe oblicza o cechach amazońskich”.

„Kochana Amazonia” jest dopełnieniem refleksji zawartych w dokumencie końcowym Synodu Amazońskiego, który wzbudził wiele emocji. Duchowni będący w opozycji do stanowiska Franciszka zdecydowanie sprzeciwiali się postulatom daleko idącego wcielenia lokalnych tradycji, przestrzegając przed synkretyzmem. Wypominano papieżowi też nieustanne podkreślanie potrzeby „ekologii integralnej”, która w myśl Franciszka ma stać się walką zarówno o przyrodę, jak i o człowieka, który jest jej częścią, a nie władcą.

Troska papieża o Amazonię wraz z jej całym bogactwem bioróżnorodności i kultur nie powinna dziwić, lecz tak jak on sam zachęca, stać się kwestią priorytetową dla całej ludzkości. Dziwić może natomiast sprzeciw duchownych wobec ekologicznego i inkulturacyjnego podejścia Franciszka. Wydaje się oczywiste, ↦

BEATA PRUSINOWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

BARBARA DOMINIKA SZKATUŁA *przez wiele lat była w Kościele katolickim w Peru koordynatorką generalną duszpasterstwa młodzieży oraz duszpasterstwa ogólnego. Od 8 lat pracuje jako koordynatorka duszpasterstwa Indian. Mieszka wśród Indian Kichwa w misji Napuruna „Pachayaya" w Peru.*

↦ że Franciszek pochodzący z Argentyny, a więc z południa globu, jak żaden papież przed nim rozumie potrzeby tej części świata. Ale zmiana perspektywy i przekroczenie europocentrycznej wizji świata jest trudne i nieuchronnie wiąże się z potrzebą pogodzenia się z faktem, że Ziemia nie kręci się wokół Rzymu.

Maniok, nie chleb

Najbardziej kontrowersyjną według niektórych kwestią na Synodzie Amazońskim miała być potencjalna perspektywa zniesienia celibatu. Spodziewano się, że papież podejmie taką decyzję, rozwiązując chociaż w pewnym stopniu problem braku duchownych w regionie Amazonii. Tak się nie stało, choć nadzieje wielu i lęk niektórych duchownych były spore. Jeszcze przed synodem w mediach i w kuluarach toczyła się dyskusja na temat tego, jak przeprowadzić taką zmianę i czy na przykład wyświęcać na kapłanów mężczyzn, mieszkańców Amazonii, już będących w związkach małżeńskich, czy też już wyświęconym otworzyć możliwość wzięcia ślubu.

Skupmy się na lokalnej perspektywie, która powinna być kluczowa. Jak podkreśla Dominika Szkatuła, a zgodzi się z nią z pewnością wiele osób mieszkających w rejonie Amazonii, Eucharystia, która może być sprawowana wyłącznie przez kapłana, nie jest centrum duchowego życia dla amazońskich katolików. Co jednocześnie nie znaczy, że nią nie żyją. I choć brzmi to paradoksalnie, Szkatuła wyjaśnia, że ponieważ nie ma mszy świętej, to ludzie za nią tak bardzo nie tęsknią. – Poza tym Kościół, msza i Eucharystia to terminy zasadniczo dla mieszkańców Amazonii obce, co nie znaczy, że o nich nie słyszeli – podkreśla.

Misjonarka dodaje, że najważniejsze w życiu amazońskich katolików są relacje i te chwile, kiedy zasiadają z rodziną, sąsiadami, aby rozmawiać i pić tradycyjne masato (napój zrobiony z manioku i bardzo lekko sfermentowany). – Jest to napój sakralny, bo jest narzędziem komunikacji i relacji. Relacji bliskich, pełnych zaufania i wylewnej radości, a wierząc, że Bóg jest relacją, dochodzimy do wniosku, że te ich spotkania to pewien rodzaj eucharystii – wyjaśnia Szkatuła.

Eucharystia jest więc centrum życia dla katolików, ale nie dla wszystkich. Jeżeli nie weźmie się pod uwagę perspektywy katolików żyjących w innych warunkach i rzeczywistościach, nie powinien zaskakiwać fakt, że coraz więcej mieszkańców Amazonii i Ameryki Łacińskiej odchodzi do Kościołów protestanckich, zwłaszcza nowych kościołów pentekostalnych. Może więc warto w dyskusjach dotyczących Amazonii pytać o zdanie jej mieszkańców.

Kobiety duchowne

Chrzest i sakrament małżeństwa to często jedyne dwa sakramenty sprawowane w życiu amazońskich katolików. Udzielają ich świeckie misjonarki oraz zakonnice. Dzieje się tak nawet, jeżeli kapłan jest obecny na miejscu. Udzielają ich też animatorzy po wcześniejszym przygotowaniu i oficjalnej nominacji biskupa. Kiedy misjonarka czy siostra zakonna udzielają chrztu lub sakramentu małżeństwa, animatorzy głoszą kazania i są odpowiedzialni za liturgię słowa.

Za liturgię światła, namaszczanie krzyżmem i – co ważne z lokalnej perspektywy – za liturgię soli i odstraszanie złego ducha odpowiedzialne są osoby zaproszone z ławek. – Odstraszenie złego ducha, bardzo praktykowane w ich kulturze, robi miejsce Duchowi Świętemu, a soli używamy jako symbolu, który konserwuje nowe życie i sprawia, że smakuje jak Chrystus – tłumaczy Szkatuła.

Co ciekawe, misjonarka opowiada, że jeżeli chodzi o sakrament chrztu, to ludzie nie proszą o niego po to, aby dziecko należało do Boga, bo wierzą, że ochrzczone czy nie, zawsze pochodzi od niego. Proszą natomiast o chrzest, aby nawiązać mocniejsze więzy z rodzicami chrzestnymi. W przypadku ślubu jest on najpierw zawierany według lokalnych zwyczajów, a dopiero później udzielany w kościele. Misjonarka zaznacza, że są też sposoby doświadczenia pojednania bez udzielenia sakramentalnego rozgrzeszenia i że w kulturze Kichwa najlepszym do tego instrumentem jest właśnie wspólne picie masato.

Kluczową rolę w udzielaniu sakramentów odgrywają zatem kobiety. W wikariacie San José del Amazonas stanowią one aż 90 proc. posługujących. Pochodzą z różnych zgromadzeń zakonnych i grup świeckich i często mają ponad 30 lub 40 lat doświadczenia pracy w terenie. W wikariacie pracują też cztery świeckie misjonarki z Polski. Jednak o ile kwestia zniesienia celibatu jest perspektywą potencjalnie możliwą, choć odległą, o tyle kapłaństwo kobiet wydaje się kwestią, która spadnie na barki przyszłego pokolenia.

Jeżeli Kościół do tego czasu przetrwa, bo – jak pokazuje przykład Amazonii – bez kobiet-duchownych przyszłość Kościoła katolickiego może być zagrożona.

© DOMA MATEJKO

JACEK TARAN

Weronika uczy religii w centrum muzułmańskim. Kraków, 26 kwietnia 2024 r.

Matki, córki, liderki

KAROL WILCZYŃSKI

Muzułmanki w Polsce, choć nadal doświadczają ostracyzmu, są coraz bardziej aktywne i się organizują.

Nie było łatwo. Gdy byłam młodsza, wiele razy czułam się wykluczona. Dzisiaj dostrzegam zmiany na lepsze – mówi Ilayda Öğdem z poznańskiego centrum muzułmańskiego. – Kobiety generalnie mają trudniej od mężczyzn, muzułmanki mają trudniej niż muzułmanie. Dlaczego? Bo po naszych chustach na pierwszy rzut oka widać, że wyznajemy islam. Odróżniamy się o wiele bardziej. Chusta powoduje, że ludzie nie mówią do ciebie po polsku, obrażają cię. Najtrudniejsze było doświadczenie podczas rozmów o pracę w różnych korporacjach, gdzie ostatecznie to mój hidżab stanowił problem.

Dowody na polskość

Islam nie ma w społeczeństwach wschodniej Europy dobrej prasy. W badaniu Pew Research z 2019 r. aż 66 proc. Polaków deklarowało „niekorzystną opinię" na temat tej religii. Jednym z powodów jest zapewne rozpowszechniony stereotyp o tym, że islam jest obcą religią. Ma to negatywny wpływ na życie muzułmanek.

– Codziennie muszę udowadniać, że jestem Polką – mówi jedna z polskich Tatarek, urodzona na Podlasiu.

Noor z krakowskiej wspólnoty związanej z Ligą Muzułmańską porównuje sytuację muzułmanek w Polsce do góry lodowej. Choć mówi się tak wiele o dyskryminacji i prawach kobiet, to muzułmanki „nie mają społecznego szacunku, nie mają możliwości praktykować swojej religii tak, jak by chciały". Weronika, prowadząca lekcje religii w krakowskim centrum muzułmańskim, zauważa, że szczególnie przyjezdne kobiety raczej zaszywają się w swoich domach, mają trudność, by odnaleźć się w Polsce. – Lepiej nie iść niż narażać się na nieprzyjemności czy agresję, prawda? – podsumowuje Ilayda.

Z drugiej strony rzeczywistość, jak to bywa w przypadku stereotypów, wygląda inaczej – przynajmniej na polskim podwórku. – Widzę, że z roku na rok muzułmanki w Polsce są coraz bardziej otwarte, coraz częściej nie mają obaw czy nawet są dumne ze swojej religii – mówi Lilla Świerblewska, wiceprezeska Związku Tatarów w Polsce, przewodnicząca gminy muzułmańskiej w Białymstoku.

Kobiety aktywne

W ostatnich latach muzułmanki zaczynają przejmować inicjatywę i tworzyć projekty z myślą zarówno o lokalnych wspólnotach islamskich, jak i osobach spoza nich. – Chodziłyśmy na spotkania organizowane w meczecie przez imama i braci. Pewnego dnia przyjechał wykładowca, brat z Arabii Saudyjskiej – mówi jedna z osób związanych z warszawską wspólnotą. – I co? Opowiadał nam o kwestii niewolnictwa. Dużo dziewczyn wyszło w trakcie, zgłaszałyśmy, że to nie jest temat, który odpowiada na nasze potrzeby. Jedna nawet pokłóciła się z imamem i chyba już nie wróciła. Nie było reakcji. Dlatego założyłyśmy własną grupę.

W historii Polski mamy już przykłady muzułmanek, które działały w sferze publicznej: Ludwiki Śniadeckiej – założycielki Adampola, polskiej osady pod Stambułem; Dżennet Dżabagi-Skibniewskiej – dziennikarki i działaczki niepodległościowej walczącej o Polskę pod Monte Cassino. Wśród aktualnie działających trzeba wspomnieć o Khedi Alievej kierującej Fundacją Kobiety Wędrowne, Susannie Izzetdinovej prowadzącej restaurację Azima czy Dżennecie Bogdanowicz, która ożywiła Kruszyniany i stworzyła znaną w całej Polsce Tatarską Jurtę.

W meczetach i centrach muzułmańskich w Polsce coraz większą rolę przejmują kobiety, a ich inicjatywy ożywiają i budują tożsamość wspólnoty. W Białymstoku właśnie ruszył projekt warsztatów integracyjnych (na temat kultury krajów pochodzenia) dla lokalnych muzułmanek. W Warszawie przy wsparciu inicjatywy „Chlebem i Solą" powstała wystawa fotograficzna „Kobiety w islamie". W Poznaniu rusza seria spotkań pt. „Zorientuj się na Orient", a w Krakowie coraz prężniej działa szkoła weekendowa. Wszystko to dzięki inicjatywie kobiet. ↦

Wizerunek muzułmanki

– Odgrywam w meczecie rolę człowieka orkiestry – mówi z uśmiechem Ilayda. – Zajmuję się sprawami administracyjnymi, dbam o porządek, tworzę raporty i pisma, jestem delegowana do działań w sprawach miejskich, uczę dzieci religii, prowadzę *social media*, koordynuję organizację wydarzeń i sama je prowadzę. Poza tym oprowadzam seniorów i innych gości po naszym centrum, objaśniam islam i jestem osobą pierwszego kontaktu.

Równie szerokie kompetencje ma Lilla, która nie tylko chce zachowywać tradycję i kulturę polskich Tatarów, ale też integrować społeczność muzułmańską. – Bardzo chciałabym, żeby ci ludzie mieli przestrzeń, by się poznawać, mieli gdzie mówić o swoich problemach i próbować szukać rozwiązań – tłumaczy Lilla, która od 12 lat organizuje spotkania dla kobiet muzułmanek w Białymstoku. – One muszą mieć możliwość wyjścia z domu, odpoczynku, bycia z innymi, by wpływać skuteczniej na swoje rodziny.

Obecnie w ramach nowego projektu na warsztaty zgłosiło się prawie 70 osób spośród wszystkich kultur. – Wierzę, że te spotkania bardzo nas wzmacniają – wyznaje Lilla.

Ilayda ma inną motywację. – Chcę zmieniać wizerunek muzułmanki: ubezwłasnowolnionej, niewykształconej, biednej, poddanej opresji ze strony mężczyzn. Dlatego pomimo nieprzyjemności i ryzyka wykluczenia chodzę na różne spotkania, np. w urzędzie miasta czy w szkołach. Pokazuję, że ja, jako muzułmanka, mogę osiągnąć wiele. Że jestem pełnoprawną Polką, żyjącą tu od urodzenia. Nie jestem inna, choć wiem, że wielu mnie tak postrzega. Powinnyśmy, jako muzułmanki, to zmieniać. Nikt nas nie musi ratować – stwierdza Ilayda.

Podobnie myśli Aisha Mirzomuradowa, 17-letnia licealistka, która opracowała i koordynowała projekt „Kobiety w islamie", w ramach którego powstała wystawa portretów polskich muzułmanek. – Obserwuję świat i nie ma w nim równości. Kobiety i mężczyźni nie są traktowani tak samo. Nie zgadzam się na stereotypy wciąż obecne w świecie – mówi Aisha. – To, że nosimy chustę lub mamy inną karnację, nie oznacza, że jesteśmy inne. Chcę działać, by to zmieniać.

Działania na boku

Czy muzułmanki znajdą przestrzenie dla swojej aktywności? Religioznawczyni prof. Katarzyna Górak-Sosnowska z SGH w Warszawie zauważa, jak pozytywnie działa przekonanie, że „my kobiety musimy wziąć sprawy w swoje ręce". – To jest taka siostrzana więź, która sprawiała, że nawet ja, jako kobieta spoza wspólnoty, czułam się wśród nich bardzo dobrze.

Badaczka wskazuje jednak na trudności: – Choć kobiety stają się akceptowalnymi twarzami islamu – prowadzą grupy na WhatsAppie, małe projekty internetowe czy lokalne spotkania grupowe – wciąż nie posiadają decyzyjności w instytucjach religijnych. Dlatego te działania są robione w internecie lub na boku, nieformalnie.

Czynnikami gaszącymi aktywność kobiet może być też słabość organizacyjna islamskich instytucji religijnych w Polsce (m.in. brak lokali, funduszy, przejęcie funkcji kierowniczych przez mężczyzn czy nietransparentny proces podejmowania decyzji) lub różne formy dyskryminacji wewnątrz czy na zewnątrz nich.

Dla Noor dużą trudnością są polskie media: – Nieraz spotkałam się z osobami, które swoje zachowanie tłumaczyły tym, że usłyszały czy zobaczyły w porannej telewizyjnej śniadaniówce nienawistny, obraźliwy komentarz lub dowiedziały się o przerażającej sytuacji gdzieś w świecie. Do tego dochodzą *social media*. To jest góra, która buduje ogromny ciężar.

Jej słowa potwierdza Ilayda: – Konwertytki według mnie mają trudniej. Polki, które przyjęły islam, są często uznawane za osoby, które wyzbyły się polskości. Są zdrajczyniami lub, w lepszym razie, dziwolągami.

Z tych trudności jednak wynika swoista motywacja. Jak zauważa Ilayda, to konwertytki, które wykazują zwykle większą aktywność w społecznościach muzułmańskich, są bardziej osamotnione i dlatego mają większą potrzebę budowania społeczności. Jak ujęła to Hana z krakowskiej społeczności muzułmańskiej: – Samotny człowiek jest jak cieniutki patyczek, łatwo go złamać nawet jednym palcem. Razem jesteśmy jak gruby pień.

Twarzą w twarz

Co jeszcze wspiera kobiety w społeczności muzułmańskiej? Lilla Świerblewska wskazuje na współpracę z władzami: – Bardzo pomagały nam spotkania integracyjne na różnych szczeblach: rady miasta czy nawet rządu. Takie wydarzenia z udziałem urzędników, gdzie dziewczyny mogą im twarzą w twarz opowiedzieć, z czym mierzą się na co dzień, pomagają w budowaniu wzajemnego zrozumienia.

Dużą rolę mogą odgrywać tutaj też NGO-sy czy uczelnie. – Trzeba pamiętać, że to bardzo mała wspólnota, która niesie bardzo dużo na swoich barkach. Kobiety dodatkowo mają dzieci, domy na głowie i to ogranicza pole działania oraz frekwencję na wydarzeniach – mówi prof. Górak-Sosnowska. – Dlatego tak ważne jest wsparcie instytucji.

Noor czy Weronika bardzo chcą, by ich centrum było otwarte dla wszystkich. – Marzę, by oswoić innych z naszą religią. Żeby w końcu dostrzegli w nas ludzi – mówi Noor.

– Nie mam wątpliwości, że to, co nas motywuje, to efekty. Gdy widzimy, że ludzie zaczynają przychodzić, korzystać z naszej pracy, że robimy coś dobrego i mamy na to wpływ, to działamy – mówi z uśmiechem Ilayda.

© KAROL WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 779/23) z wniosku Bożenny Drozd i Ryszarda Drozd o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia do majątku wspólnego prawa własności nieruchomości położonej w miejscowości Pokrówka, gmina Chełm oznaczonej jako działka nr 737, o pow. 0,5984 ha, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej ani zbioru dokumentów, znajdującej się w posiadaniu Bożenny Drozd i Ryszarda Drozd.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Józefa Łabędzkiego, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

ZUZANNA

Radzik: *Ukapłanienie*

Nikt was nie zastąpi, nie ma takiej możliwości. Jesteście niezastępowalni! Każdy z was i wy jako wspólnota jesteście niezastępowalni i jesteście potrzebni" – mówił kardynał Grzegorz Ryś w kazaniu podczas nieszporów. Aż się rozmarzyłam, że to do mnie ktoś tak powiedział w Kościele. Że stoję na nieszporach i słyszę: nikt was, drodzy świeccy, nie zastąpi, nie ma takiej możliwości! Ale to było, oczywiście, do księży, zgromadzonych w Parznie w przededniu diecezjalnej pielgrzymki do grobu Sługi Bożej Wandy Malczewskiej. Okazało się – jak mówił kardynał – że nawet Kościoła synodalnego nie da się zrobić bez księży. Ciekawe, czy da się go zrobić bez świeckich? Rozumiem, że księża są w kryzysie, jak i Kościół, i trzeba ich podnieść na duchu, ale ja też bardzo poproszę, żeby podnieść mnie, mówić do mnie miłe słowa, wzmacniające, namawiające, bym została, wytrwała, poczuła się ważna i dostrzeżona.

I gdy się tak zżymam na tę samą co zawsze niesprawiedliwość i przeoczenie, kolega wrzuca zdjęcia z procesji na Skałkę. Fiolety, koronkowe rękawy, pelerynki prałatów – nie, żebym chciała się tak nosić, ale wzdycham, myśląc, że duchowieństwo jest jednak w jakiejś obcej galaktyce, do której udało się na własne życzenie.

Remedium na nadmiar klerykalizmu okazała się malutka, acz ostra jak brzytwa książeczka ks. Martina Ebnera „Czy Kościół potrzebuje księży? Perspektywa biblijna". Ks. Ebner jest niemieckim biblistą, katolickim księdzem i nie owija w bawełnę. Zaznacza też, że na temat kształtowania się stanu kapłańskiego w ostatnich trzydziestu latach wydano zaskakująco mało książek. Może z lęku, iż obnażyłyby fakt, że dwustanowa społeczność, podzielona na kapłanów i zwykłych, nie była w planach ani Jezusa, ani jego pierwszych wyznawców. Na próżno szukać śladów chrześcijańskiego kapłaństwa w Nowym Testamencie. Przeciwnie, staje on w kontrze do kapłaństwa starotestamentowego, które było dziedziczną obsługą kultu służącego przebłaganiu Boga za grzechy. Nowy Testament radykalnie głosi, że śmierć Jezusa zmyła grzechy raz na zawsze, świątynia i ofiary nie są potrzebne. Wybaczenie przychodzi z wiary, a nie z kultu i krwi ofiar świątynnych. Zostaje wspólne jedzenie przez uczniów chleba i wina na pamiątkę tego wyzwolenia. Prawdziwie Bóg zostaje z nimi w tym najzwyklejszym posiłku, bez pompy i ołtarzy, bez specjalnej kasty, której, zaprawdę, nie było w pierwszych wiekach. A tu siup, mijają trzy wieki i chrześcijaństwo zrodzone z uczniów tegoż Jezusa zaczyna oblekać liderów w specjalne szaty, buduje strojne świątynie, stawia kapłanów przy ołtarzu, przegrodami i balaskami odgradza ich od zwykłych ludzi. I uzasadnia ustami teologów, że kapłani chrześcijańscy są jak lewici ze Starego Testamentu, utrzymywani z dziesięciny i poświęceni kultowi. Pełnoetatowi i osobni.

Ebner nie przebiera w słowach: „kapłaństwo jest implantem wprowadzonym na grunt chrześcijaństwa. Kapłan w swojej obecnej koncepcji – jako centralnej postaci przywódczej i sakramentalno-mediacyjnej – zaprzecza zasadniczym wymogom strukturalnym Nowego Testamentu i zasadom organizującym życie wspólnoty wiernych". Pisze to w podsumowaniu wartkiego wywodu pokazującego, jak obce Nowemu Testamentowi jest duchowieństwo, które znamy. Choć ukapłanienie chrześcijaństwa zerwało z Nowym Testamentem, to kapłaństwo skutecznie się sprofesjonalizowało i inkulturowało. Jesteśmy modelową religią późnego Cesarstwa Rzymskiego, mamy kapłanów, ołtarze i ofiary, tylko czy o to chodziło?

To wszystko ks. Ebner chce przypomnieć, bo patrzy na kryzys w Kościele katolickim, na skandale, przemoc seksualną, kastowość i ochronę przestępców zakorzenioną w systemie teologicznym, z jaką mieliśmy i mamy do czynienia w Kościele. Ksiądz stoi w centrum systemu Kościoła, bo tylko on może odprawiać, głosić i administrować. Zatem ks. Ebner zabiera nas na biblistyczną przebieżkę, zaczynając od pytania: co zrobimy, jeśli to, co uważamy za typowo katolickie, nie jest nawet typowo chrześcijańskie, więc zasadniczo nie znajduje pokrycia w świadectwach Nowego Testamentu, a być może jest z nimi sprzeczne? Co, jeśli większy związek z nowoczesnością jest również bliższy Nowemu Testamentowi?

Nie wiem więc, czy dobrze jest mówić księżom, że są niezastąpieni. Ani czy my, świeccy, powinniśmy to słyszeć. Na księżowskie kryzysy można znaleźć parę innych remediów niż pompowanie samozadowolenia. Może lepiej wspomnieć, że autor Apokalipsy wg św. Jana nie dostrzegł w Bożym mieście świątyni, bo było nią całe miasto i wszyscy jego mieszkańcy. Niezastąpieni jesteśmy wszyscy, potrzebni i równi w oczach Boga. Szepnijcie to księżom, prałatom i kardynałom. ©

JAN SERCE Z KGB

Aby zrozumieć logikę agresywnych działań Białorusi wobec Polski, warto prześledzić karierę Iwana Stanisławowicza Tertela: szefa bezpieki, który wywodzi się z polskiej rodziny.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Lata spędzone w wojewódzkim sądzie administracyjnym nie pomogły Tomaszowi Szmydtowi stać się wojownikiem komunikatora Telegram. Jego pierwsze konferencje prasowe w Mińsku były nudne i formalne. To kaliber sprawy porwał widzów, a nie jego umiejętności budowania „setek pod internety".

Pan po pięćdziesiątce, w nieco kuriozalnej skórzanej kurtce i kaszkiecie, bardziej przypominał taksówkarza z Taszkentu w kryzysie wieku średniego niż Edwarda Snowdena. Prezentowanie piękna natury Grodzieńszczyzny i nabitych na haki kiełbas lokalnej produkcji bliższe są scenariuszom filmów szpiegowskich klasy B. Tak jak drwiny z polskiego premiera, którego Szmydt określa mianem „kapiszona".

Pagończycy

Pod powierzchnią jest tu jednak coś więcej niż tylko kiepska propaganda. Białoruskiemu KGB – bezpieka nosi tu taką nazwę jak w czasach Związku Sowieckiego (na taki krok zdecydowały się jeszcze tylko kontrolowane przez Rosję parapaństwa: Naddniestrze i Południowa Osetia) – po raz kolejny w ciągu roku udało się mocno uszczypnąć Polskę.

Okazuje się, że pozornie sztacheciarska służba specjalna była w stanie zwerbować w Polsce współpracownika, który tłuczkiem do mięsa zaatakował wiosną tego roku w Wilnie Leonida Wołkowa, kiedyś bliskiego współpracownika Aleksieja Nawalnego. Ta sama służba prowadziła prowokatora Andreja Paratnikaua, który najpierw pozował na eksperta do spraw bezpieczeństwa i chętnie komentował politykę białoruską, aby na końcu wystąpić w reportażach uderzających w polskie środowiska dyplomatyczne i dziennikarskie.

Dziś KGB organizuje medialny show sędziemu, który zdradził Polskę. A za tym wszystkim stoi etniczny Polak: Iwan (dawniej Jan) Tertel, syn Stanisława, 57-letni dziś szef białoruskiego Komitetu Bezpieczeństwa Państwa. Specyficznej instytucji, która po stłumionych protestach w 2020 r. nadaje kształt państwu białoruskiemu, zamieniając je w jedno wielkie „Sizo", czyli areszt śledczy.

Białoruscy „pagończycy", od lewej: szef MSW Iwan Kubrakow, szef KGB Iwan Tertel i szef Państwowego Komitetu Pogranicznego Anatolij Lappo. Mińsk, sierpień 2021 r.

NIKOLAI PETROV / TASS / FORUM

O ile przed rokiem 2020 w kraju rządzonym przez Alaksandra Łukaszenkę można było dostrzec jeszcze jakiś komponent gry koterii, które reprezentowały różne środowiska biznesowe czy nomenklaturowe, o tyle dziś jest to dyktatura z aspiracjami do totalitaryzmu. Ton nadają w niej zaufani „pagończycy", czyli ludzie z wyższymi rangami oficerskimi. Iwan Tertel jest ważnym elementem tego układu.

Spadochroniarz

Iwana Tertela, urodzonego w liczącej dwieście mieszkańców wsi Przewałka nad Niemnem, trudno nazwać klasycznym sowieciarzem.

W czasie II wojny światowej członkowie jego rodziny służyli w Armii Krajowej (silnej na Grodzieńszczyźnie), co musiało wpływać na atmosferę w domu. On sam, rocznik 1966, po ukończeniu szkoły w Druskiennikach (dziś położonych na Litwie) wybrał karierę w sowieckich wojskach powietrznodesantowych. Szkołę oficerską w Riazaniu skończył, gdy gasła wojna w Afganistanie i upadał komunizm. W czasie służby w 106. Dywizji Powietrznodesantowej miał okazję przyglądać się jedynie konwulsjom imperium, tłumiąc razem ze swoją jednostką starcia między Azerami i Ormianami w Sumgaicie, które wybuchły w 1988 r.

Po 1991 r. wrócił do Mińska, aby w 1994 r. uzyskać dyplom Instytutu Bezpieczeństwa Narodowego KGB. W tym samym roku po raz pierwszy urząd prezydenta objął Łukaszenka, starszy od Tertela o 12 lat.

Na Białorusi druga połowa lat 90. XX w. to bieda i upokorzenie. Ale już nie chaos i kryminalizacja (jak w sąsiedniej Rosji) ani wielka grabież (jak na Ukrainie). Tertel jako spadochroniarz nie miał tu okazji do budowania dumy z formacji, z której się wywodził. Tamte lata to fikcja zarówno służb specjalnych, jak wojsk powietrznodesantowych (w Związku Sowieckim uznawanych za elitarne). Władzę zaczyna konsolidować Łukaszenka, powoli i początkowo niemal niewidocznie budując dyktaturę.

Droga awansu

– Tamte lata to czas, gdy w najbardziej elitarnych jednostkach spadochronowych żołnierzom wydawano spodnie, które regularnie pękały na tyłku. Gdy jeździliśmy na ćwiczenia do Rosji, mieliśmy ten sam wzór munduru co oni. Białorusinów można było poznać po tym, że mieli naszyte łaty – opowiada mi Siarhiej, w przeszłości żołnierz brzeskiej brygady powietrznodesantowej, a dziś uciekinier polityczny żyjący w Polsce. I poszukiwany przez Komitet Śledczy Białorusi za przynależność do BYPOL-u, stowarzyszenia skupiającego byłych przeciwników reżimu z resortów siłowych.

Tertel był w latach 90. młodym oficerem, a Łukaszenka prezydentem z ambicjami do bycia ojcem narodu, *baćką*. W 1996 r. Tertel kończy Uniwersytet w Grodnie i równocześnie służy w wojskach pogranicznych, które są integralną i elitarną częścią KGB, lecz stojącą nieco z boku. Dzięki tej formacji jego kariera przyspieszy co najmniej dwukrotnie. Po raz pierwszy w 2008 r., gdy jego patron Wadzim Zajcau awansuje go na wiceszefa KGB i stopień generalski. Po raz drugi w czasie „wojny granicznej" z Polską w 2021 r.

Do 2008 r. Zajcau był szefem wojsk pogranicznych (wówczas już pod nazwą Państwowy Komitet Pograniczny; karierę robi w nim Wiktar, starszy syn Łukaszenki), a potem został dyrektorem KGB. To postać szczególna. Był określany mianem *smotriaszczego* Rosjan w aparacie represji Białorusi. Ten absolwent Akademii Federalnej Służby Pogranicznej Rosji i Akademii Sztabu Generalnego FR miał po prostu strzec interesów Kremla w Mińsku. Być właśnie *smotriaszczym* – tym, który patrzy na ręce.

Ponieważ Zajcau był blisko Rosjan, w pewnym momencie Łukaszenka zaczął się go po prostu bać. Korzystając z zamieszania wokół samobójstwa podpułkownika KGB Alaksandra Kazakaua, w 2012 r. odwołał go ze stanowiska.

Dla Tertela służba w wojskach pogranicznych i wierność wobec *baćki* okazały się trampoliną do finalnego awansu: w 2020 r. został szefem KGB.

Specjalizacja graniczna

Dla zrozumienia logiki agresywnych działań Białorusi wobec Polski kluczowe są kariery Tertela i Zajcaua właśnie w korpusie pogranicznym. Ich wiedza i doświadczenie pozwoliły na wygenerowanie kryzysu migracyjnego i wymuszenie na Polsce i NATO zagrania na zasadach Moskwy i Mińska. Ściągnięcie liczącego ponad 30 tys. żołnierzy kontyngentu ↦

polskiego w rejon granicy umożliwiło odwrócenie uwagi od Ukrainy.

Pawieł Usau, politolog i jeden z liderów białoruskiej opozycji mieszkający w Polsce, twierdzi w rozmowie ze mną, że kryzys migracyjny był przykryciem do testowania wariantów ataku na Ukrainę. W scenariuszu minimum miał dawać Łukaszence i Tertelowi korzyści takie jak tłumaczenie się przez polskie władze przed całą Europą, czy nie są łamane prawa człowieka osób ściąganych nad Bug. W wariancie maksimum pozwalał trenować loty maszyn, które zimą i wiosną 2022 r. odpalały znad Białorusi pociski w kierunku Ukrainy.

Kryzys migracyjny był największą operacją przeciw Polsce. Ale nie jedyną o sporym rozmachu, którą nadzorował Tertel.

Operacja „spisek"

W 2021 r. Białorusini we współpracy z Rosjanami próbowali uwikłać jednego z polskich ministrów w rzekomy spisek przeciw dyktatorowi.

12 kwietnia 2021 r. w Moskwie FSB aresztowała Alaksandra Fiadutę (byłego współpracownika Łukaszenki z początków jego prezydentury) i Jurasia Ziankowicza (dziennikarza, adwokata i aktywistę). Nagrano ich rozmowę, którą prowadzili w restauracji z – jak podała FSB – „opozycyjnie nastawionymi generałami sił zbrojnych republiki" (tj. Białorusi). Nie podano ich nazwisk, co sugeruje, że byli podstawieni.

Po aresztowaniu Tertel przekonywał, że spiskowcy planowali zamach na Łukaszenkę. Podawał nawet datę. Miało to odbyć się w czerwcu lub lipcu 2021 r. – Zadanie numer jeden: usunięcie „Najważniejszego" – mówił na nagraniach Ziankowicz. Dodawał, że miałoby to umożliwić zbudowanie „demokracji na wzór polski". Łukaszenka przekonywał, że spiskowcy działali na zlecenie amerykańskich i polskich służb, i że próbowano zabić też jego synów.

Niejasna jest tu rola Ziankowicza, który obecnie odsiaduje wieloletni wyrok na Białorusi (jako dziennikarz w latach 2006-07 współpracował z „Dziennikiem", który po połączeniu z „Gazetą Prawną" wydawany jest jako „Dziennik Gazeta Prawna"). Na kilka tygodni przed aresztowaniem miał wydzwaniać do jednego z polskich urzędników i informować go o swoich planach.

– Odebrałem to jako prowokację. Jednoznacznie dałem do zrozumienia, że nie życzę sobie takich rozmów. Najprawdopodobniej chodziło o nagranie mnie i podbicie przekazu, że Polska jest zaangażowana w spisek. To się nie udało – mówi mi osoba, z którą próbował kontaktować się Ziankowicz.

Operacja „łże-Polska"

Kolejną operacją wymierzoną w Polskę, a nadzorowaną przez Tertela, była sprawa Andreja Paratnikaua – politologa i byłego pracownika białoruskiego MSW, który w reportażu reżimowej telewizji przyznał się do rzekomej współpracy z zachodnimi służbami. W materiale „Historia zdrajcy" sam o niej opowiada, sypiąc nazwiskami i kwotami.

Materiał wyemitowano jesienią 2023 r. Są w nim nagrania ze spotkań z polskim dyplomatą w Mińsku, zarejestrowane jeszcze w 2016 r. Padają oskarżenia pod adresem polskich ośrodków analitycznych i środowisk eksperckich. W pewnym momencie Paratnikau jest filmowany przez ekipę białoruskiej telewizji, jak wydzwania do osób w Polsce z prośbą o pomoc w ewakuacji z Białorusi. Ze strony jego rozmówców nie padają żadne kontrowersyjne deklaracje. Intencja jest jednak jasna: tymi rozmowami Paratnikau ma wykreować cokolwiek, czego można użyć przeciw Polakom.

W materiale cytowani są pracownicy KGB. Z ich słów wynika, że w zasadzie cała Polska i wszystkie działające w niej instytucje – publiczne czy niepubliczne – pracują dla służb specjalnych. Nie ma obszaru, który byłby wolny od uwikłań. Politolodzy to – według materiału wyprodukowanego przez KGB – łże-politolodzy opłacający takich jak Paratnikau pieniędzmi z łże-NGO-sów. Dyplomaci to łże-dyplomaci. Nie ma sfery wolnej od zaangażowania w działalność spiskową.

Rozgrywka

Wizja świata Iwana Tertela daleka jest jednak od paranoi, jaką prezentuje propaganda Mińska. Aleś Pilecki, białoruski dziennikarz Radia Swaboda, przekonuje w rozmowie, że Tertel to inteligentny funkcjonariusz reżimu, który realizuje konkretne zapotrzebowania.

– Kierowanie KGB to jednak jego maksimum. Łukaszenka nie ufa takim ludziom jak Tertel. Woli głupich i słabych. Ideałem jest tutaj Natalla Kaczanawa, przewodnicząca marionetkowego parlamentu – uważa Pilecki. – Inteligentnych Łukaszenka wykorzystuje, ale później odsuwa lub marginalizuje. Ze strachu. Dziś Tertel robi dla niego, co trzeba. Jutro może zostać emerytem i np. przewodniczącym białoruskiego związku łowiectwa.

Niewykluczone, że Tertel wyciągnął sprawę sędziego Szmydta akurat teraz właśnie z obawy o swoją pozycję.

Równolegle do zamieszania z polskim sędzią białoruscy cyberpartyzanci (jak określa się przeciwników reżimu aktywnych w sieci) uruchomili na Telegramie kanał, na którym można poznać personalia pracowników i konfidentów KGB. Ujawnili też korespondencje kierowane na skrzynkę na donosy do KGB – światło dzienne ujrzały tysiące maili. Ważniejsze są jednak personalia agentury: to wielka porażka służb, którą należało czymś przykryć. Przykryto Szmydtem, organizując mu kampanię medialną na Telegramie i w innych mediach społecznościowych.

Czekając na ciąg dalszy

W ostatnich dniach KGB wyciągnął również sprawę polskich księży. Do aresztu przed kilkoma dniami trafiło dwóch oblatów, których oskarżono o dywersję. Posługujący w sanktuarium Matki Bożej Fatimskiej w Szumilinie duchowni – Andrzej Juchniewicz i Paweł Lemecha – w przeszłości publikowali w internecie wpisy, w których solidaryzowali się z atakowaną Ukrainą. To było ich jedyne „przewinienie".

W ten sposób Iwan Tertel może się wykazać przed Łukaszenką. Dać dowód na swoją przydatność po wielkiej przegranej z cyberpartyzantami. I przy okazji podkreślić znów, że polskie korzenie nic dla niego nie znaczą.

– Ujawnienie danych personalnych ludzi z KGB to poważna sprawa. Najpoważniejsza jak do tej pory wpadka białoruskich służb. Tymczasem nie ma dymisji Tertela – komentuje Pilecki.

Możliwe, że Polakowi w aparacie KGB pozwala trwać inny Polak: zdrajca Szmydt. Zarówno jeden, jak i drugi stracą jednak w końcu swoją wartość dla reżimu. © ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej".

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Inicjatorzy pomnika polskich ofiar III Rzeszy. Od lewej: Andreas Nachama (dyrektor Centrum Dokumentacji Terroru), Florian Mausbach (urbanista) i Dieter Bingen (były dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich). Plac Askański w Berlinie, 2017 r.

Może się uda na setną rocznicę

ANNA KWIATKOWSKA, KAMIL FRYMARK

W Berlinie ma powstać Dom Niemiecko-Polski. To pokłosie wieloletniej debaty o idei pomnika polskich ofiar II wojny światowej, którego nie ma tu do dziś. Czy spełni nasze oczekiwania?

Choć od ataku III Rzeszy na Polskę minie wkrótce 85 lat, w Berlinie nie ma miejsca, które by upamiętniało tamto wydarzenie i jego skutki: unicestwienie II RP i jej okupację. O powstanie takiego miejsca zabiegał latami Władysław Bartoszewski. Wreszcie, w 2017 r., grupa niemieckich polityków i działaczy społecznych zainicjowała ruch na rzecz budowy monumentu – co spotkało się z odzewem i ostatecznie zyskało aprobatę Bundestagu w 2020 r.

W maju 2022 r. Urząd Kanclerski zlecił przygotowanie koncepcji. Za projekt odpowiadają Fundacja Pomnika Pomordowanych Żydów Europy i Niemiecki Instytut Spraw Polskich: mają wypracować formułę łączącą „element artystyczny" (w ostatniej wersji projektu określany już jako „nowoczesny pomnik") z muzeum i edukacją.

Latem 2023 r. zaprezentowano zarys koncepcji. Zakładał on – wtedy jeszcze obok nieokreślonego bliżej „elementu artystycznego" – budowę muzeum i projekty edukacyjne (słusznie, bo niewiedza młodych Niemców jest w tym temacie głęboka; tylko 10 proc. z nich uznaje, że ich przodkowie mogliby być wtedy oprawcami, niem. *Täter*).

Jednak, mimo szczytnych założeń, koncepcja Domu budzi wątpliwości. Krytyka płynie zwłaszcza ze strony niemieckich inicjatorów – tych, którzy wystąpili w 2017 r. Uważają, że należy oddzielić upamiętnienie (pod postacią postulowanego przez nich pomnika, który powinien powstać jak najszybciej) od sfery muzealnej i edukacyjnej.

BARIERY | Finalny projekt Domu ma trafić pod obrady Bundestagu jesienią. Niezależnie jednak, jak to miejsce ma wyglądać, problemem może być zapewnienie funduszy przez Bundestag: według szacunków potrzeba ok. 150 mln euro. Na przeszkodzie stoi brak zainteresowania ze strony kluczowych polityków na szczeblu federalnym (i opinii publicznej), którzy lobbowaliby za tym projektem.

Kolejna bariera to budżetowe wyzwania Niemiec w realiach ekonomicznej stagnacji. Nie jest przesądzone, czy takie środki się znajdą. Konkurencja w niemieckiej polityce pamięci jest duża, a o fundusze ubiega się kilka nowo powstających muzeów, jak Centrum Dokumentacji II Wojna Światowa i Niemiecka Polityka Okupacyjna w Europie, Centrum Przyszłości Jedności Niemiec i Transformacji Europejskiej i muzeum niemieckiej emigracji z lat 1933-45.

Finansowanie wszystkich tych ambitnych inwestycji może być niewykonalne. Tymczasem Dom Niemiecko-Polski to w tym gronie projekt o najmniejszym stopniu zaawansowania i najmniejszym potencjale politycznych profitów dla niemieckiego decydenta.

CZAS | Pytania budzą też relacje Domu do innych budowanych muzeów. Konkurencja między projektami ma znaczenie praktyczne: w razie konieczności wyboru jednej wystawy dotyczącej okupacji niemieckiej większość odwiedzających (w tym szkoły) uda się zapewne do wspomnianego Centrum Dokumentacji jako miejsca prezentującego całościowe ujęcie. A tam pamięć o polskich ofiarach może być traktowana po macoszemu z uwagi na to, że Polacy mają „swoje" muzeum.

I wreszcie czas. Doświadczenia – jak ponad 20-letnia debata o powstaniu w sercu Berlina Pomnika Pomordowanych Żydów Europy – każą nastawić się na kilkunastoletnie oczekiwanie na upamiętnienie polskich ofiar. Jeden z sygnatariuszy apelu z 2017 r. pokusił się tu o gorzki żart, że może uda się na setną rocznicę wybuchu II wojny...

KONTROWERSJE | To wszystko wciąż nie jest sednem problemu. Rzecz w tym, że dotychczasowe koncepcje mają charakter ramowy i wymagają dopiero wypełnienia treścią. Dotyczy to zwłaszcza wystawy głównej, a jedno z najważniejszych pytań brzmi: jak pokazana będzie rola sprawców-Niemców.

Konsternację budzą zapowiedzi organizatorów Domu, że należy edukować też Polaków, choć nawet niemieccy inicjatorzy z 2017 r. wskazują w swoich listach do urzędników, że „Polacy wiedzą, co im zrobiono pod niemiecką okupacją. Przywiązują wagę do godnego upamiętnienia w stolicy Niemiec, w której narodziła się tragedia, do znaku publicznego przyznania się do winy, żałoby, odpowiedzialności i pragnienia pojednania".

Zasadnicze znaczenie ma tu fakt, że projekt jako *stricte* niemiecki (powstający na polecenie rządu i finansowany z budżetu) będzie bazować na niemieckich założeniach polityki pamięci i propagować niemiecki punkt widzenia na historię. Nie ma w tym nic złego – jednak warto pamiętać, że nie jest to projekt polsko-niemiecki. ↦

↦ Jako że pojęcia takie jak naród, patriotyzm czy armia kojarzą się Niemcom często źle, ten swój problem przenoszą na kultury pamięci innych państw. Uznają np., że punkt ciężkości wystawy powinien spoczywać nie na narodzie i państwie, lecz na społeczeństwach, regionach itd. Z polskiego punktu widzenia może to prowadzić do relatywizacji sprawstwa państwa niemieckiego względem polskiego.

Inny przykład z niemieckiej kultury pamięci to dziś niechęć do pomników. W koncepcji Domu unikano słowa „pomnik". Dopiero presja inicjatorów upamiętnienia polskich ofiar oraz strony polskiej wymusiła zmianę założeń i uwzględnienie jakiejś formy pomnika w wizji DNP.

CZEGO CHCIEĆ? | Optymalnym rozwiązaniem byłoby szybkie powstanie w reprezentacyjnej części Berlina pomnika ofiar niemieckiej okupacji w Polsce. A w dalszej perspektywie – stołecznego centrum edukacji poświęconego relacjom polsko-niemieckim. Na takie centrum obie strony mogłyby złożyć się po równo pod względem finansowym i naukowym. Dzięki temu mogłyby na równych prawach decydować o jego kształcie.

Celem powinno być też dążenie do zmian w podstawie programowej niemieckich podręczników do historii i w kształceniu nauczycieli. To w szkole Niemcy powinni dowiadywać się, czemu Polacy uparcie głowią się i nadal żądają odpowiedzi na pytania, które w koncepcji Domu się nie pojawiają: dlaczego Niemcy dążyli do eksterminacji narodu polskiego, dlaczego zgładzili inteligencję, dlaczego sprawcy zbrodni nie zostali w Niemczech ukarani, jak to wpływa na relacje polsko-niemieckie?

Tak czy inaczej, dyskusja wokół idei pomnika/domu pokazuje, że nieprawdziwy jest ten pielęgnowany obraz Niemiec jako państwa, które wzorcowo rozliczyło się z przeszłością.

© ANNA KWIATKOWSKA, KAMIL FRYMARK

Autorzy są analitykami Ośrodka Studiów Wschodnich. Więcej o idei Domu Niemiecko-Polskiego piszą na stronie osw.waw.pl

MATEJ KASTELIC / ADOBE PHOTOSTOCK

Ulica w Maladze, Hiszpania, marzec 2023 r.

Matki Hiszpanki

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

W Europie rodzi się coraz mniej dzieci, a matkami zostają coraz starsze kobiety. Najstarsze z nich mieszkają w Hiszpanii, gdzie pierwsze dziecko rodzi więcej czterdziestolatek niż dwudziestolatek. Dlaczego decydują się na nie tak późno?

Kiedy Andrea wyciąga śpiącego synka z fotelika, słychać pukanie do drzwi garażowych. To dwie dziewczynki z Senegalu ze szkolnymi plecakami. Chciały się tylko przywitać, bo widziały, że kobieta wróciła do domu.

Andrea wita się z nimi, po czym w pośpiechu zamyka drzwi. Jej dwuipółletni synek Adrián właśnie się obudził i zaczyna głośno płakać. – To sąsiadki? – pytam, kiedy zaprasza mnie do swojego mieszkania. Kobieta zaprzecza, ale nie chce kontynuować tematu. Nie teraz.

Mieszka sama z synkiem i był to jej świadomy wybór. Ma skromne, ale przytulne mieszkanie, a połowę salonu zajmują porozrzucane na dywanie zabawki.

Andrea przeprasza mnie za nieposkładane ubrania, zostawione na fotelu. O szesnastej kończy pracę, a potem odbiera synka ze żłobka. Jej rodzice nie żyją i ze wszystkim musi radzić sobie sama.

– Pytasz, co było największym wyzwaniem? Nasze społeczeństwo. To wytykanie palcem, obgadywanie za plecami, oceniające spojrzenia. Pamiętam, jak w supermarkecie podeszła do mnie zupełnie obca mi kobieta i zapytała, czy jestem w ciąży. Skinęłam głową. „Jak to, w twoim wieku? Przecież jesteś stara" – usłyszałam. Nie wchodziłam z nią w dyskusję. Życzyłam jej miłego dnia i odeszłam. Czułam nawet, że oceniają mnie moje przyjaciółki. Wiem, że się przyjaźnimy, ale taka jest tu mentalność – mówi Andrea Bonillo, która w październiku skończy 54 lata.

Marzenie o macierzyństwie

Andrea uważa, że jest to kwestia wychowania. – Uczono nas, że najpierw studia, potem ślub, kupno domu i zaraz potem dziecko. Jeśli ktoś nie trzyma się planu, to naraża się na krytykę – wyjaśnia.

Ona dobrze to pamięta, bo pochodzi z konserwatywnej rodziny rolników, którzy od zawsze uprawiali paprykę. Odkładała więc decyzję o założeniu rodziny, bo jej dwaj niedoszli narzeczeni nie chcieli mieć potomstwa, a ona szukała perfekcyjnego ojca dla swoich dzieci.

Odwagi do zawalczenia o to marzenie dodała jej mama, tuż przed śmiercią. – Mówiła mi, że kiedy umrze, zostanę zupełnie sama. Zapewniała, że jeszcze nie jest za późno – wspomina Andrea, a po jej policzku zaczynają lecieć łzy.

Od śmierci jej mamy minęły ponad cztery lata, ale wspomnienia wciąż są żywe. To mama Andrei prawie 20 lat wcześniej dała córce pieniądze na zamrożenie komórek jajowych. Sama urodziła ją w wieku 42 lat.

– Kiedy mama zaszła ze mną w ciążę, mówiono do niej: „*Se te ha pasado el arroz*". To taki kolokwialny zwrot, że czas na dzieci już minął. W końcu miała już moje dwie starsze siostry – wspomina.

W latach 60. XX w. w niewielkiej andaluzyjskiej wsi musiało być to dość nietypowe wydarzenie. Z kolei w roku, w którym Andrea rodziła Adriána, w prowincji Almería było łącznie trzynaście „młodych mam" po pięćdziesiątce.

Raczej bariery niż preferencje

Wśród krajów unijnych Hiszpania jest tym państwem, w którym najwięcej matek rodzi swoje pierwsze dziecko po czterdziestce. Według danych think thanku Funcas, w 2021 r. stanowiły 11 procent matek w Hiszpanii. Za Hiszpankami uplasowały się Greczynki i Włoszki. Zestawiając kraje Unii z najstarszymi matkami, Polska zajmuje dopiero 24. miejsce.

Jak podkreślają eksperci, późny wiek zakładania rodziny to nie zawsze kwestia preferencji, ale także przeszkód i barier, które napotyka pokolenie dwudziesto- i trzydziestolatków.

O ile majątek Hiszpanów w latach 2020-22 wzrósł ogółem średnio o 4 proc., o tyle w przypadku osób do 35. roku życia spadł aż o 26 procent. Wpływ na taką tendencję ma duże bezrobocie wśród młodych, niskie pensje i wzrastające koszty wynajmu mieszkań. Nie dziwi więc, że nawet jedna czwarta Hiszpanów w wieku 30-34 lat wciąż mieszka z rodzicami.

Z kolei gdy idzie o wskaźnik dzietności, to w 2022 r. najmniej dzieci wśród krajów Unii urodziło się na Malcie, a następnie właśnie w Hiszpanii. Wśród pięciu państw z najniższą dzietnością znalazła się też Polska.

Hiszpania bije rekordy

Pozostańmy jeszcze przy statystyce. W 1981 r. Hiszpanki średnio rodziły swoje pierwsze dziecko w wieku 25 lat. Dziś pierwsze dziecko rodzi tu więcej czterdziestolatek niż kobiet w wieku lat dwudziestu, a średni wiek matki rodzącej pierwsze dziecko to 32 lata.

Późne macierzyństwo oznacza też zwykle późne tacierzyństwo – dziś widok lekko siwiejących, ale przecież zarazem młodych rodziców na placach zabaw coraz mniej dziwi.

Jak zwraca uwagę badaczka Teresa Castro z Wyższej Rady ds. Badań Naukowych (CSIC) na łamach dziennika „El País", Hiszpania bije wiele rekordów – nie tylko tych związanych z późnym macierzyństwem, ale także usamodzielnieniem, wejściem na rynek pracy i stabilizacją. A te wszystkie czynniki odgrywają rolę w decyzji o założeniu rodziny.

Z kolei Raquel Hurtado, rzeczniczka hiszpańskiej Fundacji na rzecz Planowania Rodziny, podkreśla, że później na dziecko decydują się zwłaszcza kobiety z dobrym wykształceniem.

– Takie kobiety poświęciły dużo czasu i zaangażowania w naukę, później wchodzą więc na rynek pracy i potrzebują też czasu, żeby zawalczyć o stabilną pozycję w swojej branży. Drugim czynnikiem jest niestabilność ekonomiczna. Wiele rodzin, z którymi się spotykamy na co dzień, po prostu nie stać na założenie rodziny – mówi mi Raquel Hurtado.

Na opóźnianie macierzyństwa ma także wpływ problem ze znalezieniem odpowiedniego partnera. W 2018 r. Krajowy Instytut Statystyczny (INE) przeprowadził badanie wśród 44- i 45-letnich Hiszpanek. Wynikało z niego, że zakładały rodzinę średnio pięć lat później, niż planowały.

Biegaczka z nosidełkiem

Decyzję o urodzeniu dziecka odkładała też 38-letnia dziś Bélen Aguta z niewielkiej gminy Atzeneta del Maestrat, we Wspólnocie Autonomicznej Walencji.

Wiedziała, że dla niej jako sportowca narodziny dziecka będą wyzwaniem, żeby pogodzić wychowanie dziecka z pracą i treningami. – Ale od momentu, kiedy stajesz się matką, zyskujesz specjalne moce i możesz robić wszystko – mówi mi Bélen.

O kobiecie zrobiło się głośno, gdy 5 maja – w tym roku tego dnia obchodzono tutaj Dzień Matki (w Hiszpanii jest zawsze to pierwsza niedziela maja) Bélen wzięła udział w 15-kilometrowym biegu w górach wraz z 5-miesięczną Noą w nosidełku.

Gdy opublikowała zdjęcie w mediach społecznościowych, w sieci zawrzało. Na Bélen spadła fala krytyki, pisano, że jest „nieodpowiedzialną matką", i że „naraża córkę na niebezpieczeństwo".

W efekcie musiała później tłumaczyć wielokrotnie, że startowała na samym końcu, aby nikomu nie przeszkadzać, i że nie był to bieg, a raczej spacer po górach. – Noa spała przez 40 minut, a resztę czasu spoglądała wokół. My po prostu wyszłyśmy na trzygodzinną wycieczkę, robimy to także w pozostałe weekendy – mówi Bélen.

Spojrzenia oceniające

Podobnie jak Andrea, Bélen zwraca uwagę na społeczną krytykę, jaka spotyka kobiety w ciąży. W jej przypadku nie chodziło o wiek, lecz aktywność fizyczną. Kobieta jest biegaczką z wieloletnim doświadczeniem, zwłaszcza jeśli chodzi o długie dystanse. Zajęła m.in. piąte miejsce w biegu na 106 km CSP Penyagolosa Trails. Dlatego nie chciała porzucić sportu na czas ciąży.

– Niestety wciąż wiele kontrowersji budzi widok kobiety w ciąży, która biega, jeździ na rowerze lub uprawia inny sport. Nie rozumiem, dlaczego sprawia to taki problem. Kobieta w ciąży konsultuje swoją aktywność fizyczną z lekarzem, i jeśli nie ma zagrożenia dla życia dziecka, a mama czuje się dobrze, to wysiłek fizyczny dobrze wpływa na zdrowie – mówi Bélen w rozmowie z „Tygodnikiem".

Jest dumna z tego, że biegała do 35. tygodnia ciąży, choć gdy widać już było brzuszek, musiała mierzyć się z oceniającymi spojrzeniami. – Prawda jest taka, że uprawianie sportu podczas ciąży przynosi wiele zalet, od kontroli kilogramów, przez mniejsze bóle pleców, aż po nawet szybszy powrót do zdrowia po porodzie – mówi Bélen.

↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Bélen Aguta na mecie biegu Mediterránea Triatlón Castellón. Castellon de la Plata, 2022 r.

↦ Podobnie uważa Andrea, która jeszcze na kilka dni przed porodem była na zajęciach jogi.

– Moi lekarze mówili, że joga i medytacja bardzo dobrze wpływały na mnie podczas ciąży. Jako 52-letnia ciężarna miałam lepsze wyniki niż wiele młodszych kobiet w ciąży i dzięki temu urodziłam zdrowego chłopca – mówi Andrea.

Macierzyński i tacierzyński

Obie kobiety skarżą się na krótki urlop macierzyński w Hiszpanii. Bo jak pogodzić wytyczne Światowej Organizacji Zdrowia, w tym zalecenie karmienia piersią przez przynajmniej sześć miesięcy w sytuacji, gdy ma się tylko cztery miesiące urlopu.

W Hiszpanii obowiązuje bowiem tylko 16-tygodniowy urlop macierzyński, który od sierpnia tego roku ma wydłużyć się do 20 tygodni.

Z kolei ojcowie do 2007 r. mieli tylko dwa dni płatnego urlopu tacierzyńskiego. Potem to się zaczęło zmieniać, jednak dopiero od pięciu lat zostali zrównani w prawach z kobietami. Tymi szesnastoma tygodniami opieki rodzice mogą się podzielić.

– Możliwości są, ale wciąż potrzebujemy odpowiedniej edukacji i kampanii społecznych, aby ojcowie chcieli korzystać ze swoich praw i pójść na urlop tacierzyński – mówi mi Raquel Hurtado, rzeczniczka Fundacji na rzecz Planowania Rodziny.

Czeki, dodatki, karty

Co ciekawe, w kraju już 17 lat temu wprowadzono *el cheque bebé*, czyli czek na dziecko. Stało się to tuż przed wyborami, kiedy socjaliści na czele z premierem José Luisem Zapatero chcieli utrzymać się u władzy. Te 2500 euro na dziecko opozycja nazywała więc wprost „czekiem wyborczym". Nie utrzymały się zresztą długo – po trzech latach czeki wycofano.

W tym roku lewicowy rząd Pedro Sáncheza postanowił wrócić do idei czeków, ale już na innych zasadach. Teraz 100 euro wypłacane jest miesięcznie od urodzenia dziecka do ukończenia trzeciego roku życia, jeśli mama była ubezpieczona.

Ponadto każda wspólnota autonomiczna (odpowiednik polskich województw) kształtuje swoją politykę rodziną. I tak np. w Kastylii i Leon, żeby zachęcić rodziny do posiadania dzieci, w styczniu 2023 r. władze wprowadziły dodatek na dziecko (w zależności od dochodów, maksymalnie do 2500 euro). Pieniądze są do wykorzystania na specjalnej karcie płatniczej, której można używać tylko na terenie regionu (wspierając też w ten sposób lokalne biznesy).

– Pomoc finansowa jest ważna i potrzebna, ale to wciąż pomoc tymczasowa, która kiedyś się kończy. Nie zachęci to kogoś, kto i tak ma problem z opłaceniem czynszu za mieszkanie czy raty kredytu. Przecież po trzech latach otrzymywania czeku wydatki na dziecko nie maleją – mówi Raquel Hurtado.

Kwestia cierpliwości

Hurtado zwraca uwagę, że w Hiszpanii nawet statystyki urodzeń bywają dziś elementem narracji skrajnej prawicy. – Partia Vox straszy liczbą narodzin wśród imigrantów mieszkających w Hiszpanii, stosuje rasistowską retorykę i dzieli dzieci na „lepsze" i „gorsze" w zależności od pochodzenia rodziców.

Ze statystyk wynika, że w 2023 r. matkami trochę ponad jednej piątej urodzonych w tym roku dzieci były kobiety o narodowości innej niż hiszpańska.

Te dziewczynki z Senegalu, które zapukały do drzwi Andrei, to jej dawne podopieczne z czasów, kiedy pracowała jeszcze w opiece społecznej i zajmowała się młodzieżą. Z wykształcenia jest psycholożką, specjalizuje się w terapii kontekstualnej.

Wzrusza się, kiedy przypomina sobie swoich dawnych pacjentów, tak różnych kulturowo. Pamięta chłopca, który po terapii przestał palić marihuanę. Albo 13-letniego Brazylijczyka po próbach samobójczych. Choć praca nie była łatwa, to dawała jej poczucie spełnienia.

Dziś pracuje w spółdzielni. Nie może już prowadzić terapii, bo zmieniło się prawo i aby to kontynuować, potrzebowałaby dodatkowych studiów.

– Kiedy miałam 25 lat, nie byłabym tak spokojna i cierpliwa jak teraz. To ma duży wpływ na mojego synka, jak on się zachowuje – mówi Andrea i dodaje, że wciąż czuje się oceniana przez społeczeństwo, ale nie przejmuje się tym.

Nic więcej

Nie wie jeszcze, jak wytłumaczy swojemu synkowi, że nie ma ojca. Deklaruje, że skończy kolejne studia i wróci do zawodu, choć teraz najważniejszy jest dla niej Adi, jak zdrabnia jego imię.

– Nie podróżuję tyle co wcześniej, mój budżet jest bardzo ograniczony, ale jestem szczęśliwa – mówi mi Andrea. – Każdego dnia budzę się i dostaje buziaka na powitanie. Nie potrzebuje nic więcej. Jestem wdzięczna, że mam mojego synka.

– Mam nadzieję, że mój syn będzie dobrym człowiekiem, który będzie każdemu podawał rękę bez względu na pochodzenie i kolor skóry, bo najważniejszy jest człowiek – dodaje. – Chcę, aby wyrósł na ciekawego świata mężczyznę i nauczył się, że ludzi należy kochać, a nie osądzać.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ARTUR WIDAK / NUR PHOTO / GETTY IMAGES

Zdjęcia ofiar przedawkowania narkotyków wywieszone w Victoria Park w Edmonton, sierpień 2023 r.

Nie ma bezpiecznych zastrzyków

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON

Kolumbia Brytyjska – kanadyjska prowincja nad Pacyfikiem – kończy z legalnym zażywaniem fentanylu w miejscach publicznych. Nad sensem liberalnego podejścia do narkotyków debatuje dziś cała Kanada.

Od ponad 20 lat władze Kanady, a na ich czele Kolumbia Brytyjska, prowadzą eksperymentalną politykę narkotykową – bardzo liberalną. Zakładano kliniki, w których uzależnieni mogą wstrzyknąć sobie heroinę pod okiem fachowego personelu (bezpiecznie, jak argumentowano), dostarcza się „czyste" narkotyki za darmo i przymyka oko, gdy ktoś pali crack w miejscach publicznych.

Eksperyment raczej się nie powiódł. Liczba śmierci z przedawkowania rośnie. Premier Kolumbii Brytyjskiej właśnie ogłosił zmiany.

EPIDEMIA | Zanim świat usłyszał o covidzie, w 2016 r. Kolumbia Brytyjska ogłosiła inną epidemię: stan zagrożenia zdrowia publicznego w związku ze wzrostem śmierci z przedawkowania narkotyków. Niewiele to dało, w 2023 r. padł nowy rekord: w 5-milionowej prowincji z przedawkowania zmarło 2511 osób. Dla porównania w liczącej 4,4 mln ludzi prowincji Alberta było to 1841 zgonów. W całej Kanadzie, o populacji równej polskiej, zmarły z tego powodu 7504 osoby. Szacuje się, że co piąty Kanadyjczyk będzie na przestrzeni swojego życia uzależniony.

Kanada zmaga się z tym samym problemem, co sąsiednie USA. Ponad dekadę temu pojawił się tam fentanyl, opioid używany wcześniej tylko w opiece weterynaryjnej. Jest 50 razy silniejszy od heroiny i dużo tańszy w produkcji. To groźna substancja, która może zabić już przy pierwszym użyciu i w minimalnej dawce. Po fentanyl sięgają ludzie, którzy uzależnili się od leków przeciwbólowych. Schemat często jest taki: lekarze chętnie przepisują pacjentom oksykodon, a gdy skończy się recepta, uzależniający efekt opioidów skłania do sięgania po nielegalne źródła.

Ponieważ fentanyl jest tani w produkcji i łatwy do znalezienia, wielu dilerów dodaje go do innych narkotyków. Nawet jeśli ktoś kupi „bezpieczniejszy" (jak się może wydawać) crack czy heroinę, i tak może się na niego natknąć. To groźne zwłaszcza dla młodych ludzi, eksperymentujących z używkami. Nawet mała dawka może okazać się dla nich śmiertelna.

STREFY | Władze Kolumbii Brytyjskiej uznają dziś, że śmierci z przedawkowania są największym problemem w całej epidemii uzależnień.

W 2023 r. w Vancouver, największym mieście prowincji, świętowano dwudziestolecie otwarcia pierwszej Strefy ↦

↦ Bezpiecznych Zastrzyków (*Safe Injection Site*). To miejsce przeznaczone dla osób uzależnionych od narkotyków, do którego mogą przyjść i przyjmować je w sanitarnych warunkach. Z dala od policji, za to pod opieką personelu medycznego, który pomoże w razie przedawkowania. Na miejscu personel bada czystość narkotyku, dostarcza metadon i „czystą" wersję narkotyku za darmo.

W całym kraju działa 39 takich stref: siedem w Albercie, dziewięć w Kolumbii Brytyjskiej, cztery w Quebecu i dziewiętnaście w Ontario. Rząd wychodzi z założenia, że najbardziej niebezpieczną sytuacją jest przyjmowanie narkotyków samotnie, bez opieki osoby, która może reagować w przypadku przedawkowania. A to zdarza się w strefach parę razy dziennie, gdyż nie istnieje bezpieczna dawka fentanylu. W efekcie strefy nie pomagają wyjść z uzależnienia, nie odpowiadają też na kryzys bezdomności (w Kanadzie jest dziś więcej bezdomnych niż w trakcie Wielkiego Kryzysu lat 30. XX w.) ani na potrzeby materialne uzależnionych. Są tylko zapewnieniem, że uzależnieni przeżyją kolejny dzień.

Kolumbia Brytyjska poszła jednak o krok dalej. Na początku 2023 r. w życie weszła ustawa dekryminalizująca posiadanie ciężkich narkotyków w małych ilościach – do 2,5 grama kokainy, metamfetaminy, MDMA lub opioidów. Wcześniej, od 2020 r., policja zaprzestała aresztowań osób posiadających małe ilości substancji, jedynie je konfiskowała. Gdy głosowano tę ustawę, minister zdrowia prowincji Carolyn Bennett twierdziła, że pomoże ona zmniejszyć „stygmatyzację, strach i wstyd", a osoby uzależnione nie będą musiały milczeć na temat swego nałogu.

PLAC ZABAW | Zwrot w polityce prowincji premier Kolumbii Brytyjskiej David Eby ogłosił 26 kwietnia. „Ciężkie narkotyki nie powinny być używane tam, gdzie bawią się dzieci, gdzie pacjenci wracają do zdrowia, gdzie dzieje się życie społeczności" – mówił. Okazuje się, że przyzwolenie na posiadanie ciężkich narkotyków doprowadziło do tego, że osoby uzależnione palą crack w autobusach czy w parkach. Taki park – dobro opłacone przez podatników – w którym przyjmuje się fentanyl, jest już niedostępny dla dzieci i rodzin.

Teraz, gdy w życie wejdzie nowe prawo, policjanci będą mogli poprosić osoby zażywające o opuszczenie miejsc publicznych. Jeśli sytuacja tego wymaga, będą mogli skonfiskować narkotyki lub aresztować osoby, które zagrażają bezpieczeństwu publicznemu.

Minister zdrowia prowincji Adrian Dix przekonuje, że uzależnienie nadal traktowane będzie jako problem zdrowotny, ale że nie oznacza to przyzwolenia na wszystko – np. na branie narkotyków w parkach, na przystankach, placach zabaw, przed drzwiami sklepów, kawiarni czy szpitali. Dix uważa, że zwrot ten nie oznacza, iż program pilotażowy okazał się niewypałem, lecz tylko, że wymaga korekty. Ciężkie narkotyki wciąż pozostają legalne w zaciszu domowym i miejscach przeznaczonych do ich przyjmowania. Kolumbia Brytyjska ma oferować też programy pomocowe i setki dodatkowych łóżek w ośrodkach odwykowych.

John Rustad z Partii Konserwatywnej Kolumbii Brytyjskiej ripostował: „Czego nie rozumiem, to dlaczego premier Eby w ogóle myślał, że w porządku jest chodzić po ulicy, paląc crack, jeżeli nie jest w porządku chodzić po ulicy, pijąc piwo".

Pojawił się też nowy pomysł: „inhalacja" zamiast zastrzyków. Czyli po prostu palenie cracku. Wolontariusze w rozstawianych (na razie nielegalnie) po kraju namiotach rozdają szklane fajki. W Vancouver jest już 16 miejsc, które oferują możliwość palenia narkotyków w obudowanych ogródkach. Nawet politycy zastanawiają się nad tym, by dodać miejsce bezpiecznej inhalacji do każdej strefy.

POLEMIKI | Pierre Poilievre – „złoty chłopiec" kanadyjskiej prawicy, lider Partii Opozycyjnej i jej nadzieja na następcę obecnego premiera Justina Trudeau – jest wrogiem liberalnej polityki narkotykowej. Pod koniec kwietnia zwrócił się do Trudeau: „Premier zalegalizował palenie metamfetaminy w pokojach szpitalnych, wstrzykiwanie heroiny w parkach w obecności dzieci, używanie twardych narkotyków w transporcie publicznym. Rząd Kolumbii Brytyjskiej prosi go o odwrócenie tej legalizacji w parkach, szpitalach i transporcie publicznym. Czy to zrobi – tak czy nie?".

Poilievre dodał, że „każdego dnia sześć osób w Kolumbii Brytyjskiej umiera z powodu przedawkowania w związku z tą polityką. Wielu więcej umiera z powodu przestępstw motywowanych narkotykami". I dalej: „Pod rządami premiera Trudeau mamy 380-procentowy wzrost śmierci z przedawkowania, w związku z polityką legalizacji i dotowania ciężkich narkotyków".

Trudeau broni się, że liberalna polityka w Kolumbii Brytyjskiej to program pilotażowy, na który nalegał rząd tej prowincji. Podkreśla, że najważniejsze jest dla niego ratowanie życia: „Epidemia uzależnienia od opioidów dotyka rodzin, społeczności i jednostek w całym kraju i jest tak od wielu, wielu lat. Dlatego wciąż stosujemy podejście oparte na współczuciu, bezpieczeństwie i zdrowiu publicznym, i decyzje oparte na faktach".

GROŹNA BIBLIOTEKA | W prowincji Alberta, gdzie mieszkam, posiadanie narkotyków nie jest legalne, ale w praktyce nie jest ścigane przez policję. Centrum Edmonton, stolicy prowincji, uważane jest za jedno z najmniej bezpiecznych miejsc w tym mieście, zwłaszcza po zmroku.

Idąc główną ulicą Jasper Avenue, co krok napotykam palących crack bezdomnych. W jednej z kawiarni sieci Tim Hortons uzależnieni przesiadywali całymi dniami, aż personel postanowił zagrodzić im dostęp do stolików. Teraz palą pod drzwiami, naprzeciw przystanku.

Wychodząc z psem na spacer, muszę uważać na rozsiane po parku strzykawki. Idąc ulicą, mijam tuziny uzależnionych, w tym osoby leżące na chodniku; czasem jestem świadkiem reanimacji. Osoby będące pod wpływem odpoczywają na ławkach w centrum handlowym City Centre i biurowcu Commerce Place. Tutejsze metro uważane jest za niebezpieczne ze względu na obecność osób będących pod wpływem i częste przypadki agresji fizycznej. Nawet jadąc autobusem, zdarza mi się spotkać osoby palące crack. Po niecałym roku w Edmonton rozpoznaję słodki zapach tej substancji po jednej nutce.

W chłodne dni niebezpiecznym miejscem w centrum staje się biblioteka publiczna Stanleya A. Milnera – tutaj chowają się uzależnieni bezdomni. Przed wejściem handlują dilerzy, a w toaletach pali się crack i heroinę. Choć personel często sprawdza łazienki, robiąc tzw. *healthcheck*, znajduję tam fifki i strzykawki. Niedawno jeden z pracowników biblioteki został zaatakowany nożem,

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

„Uzależnienie od opioidów zabija" – plakat na przystanku autobusowym w Edmonton, Kanada, styczeń 2024 r.

przypadki pomniejszej przemocy są codziennie. Latem, gdy większość ludzi przyjmuje narkotyki na zewnątrz, jest spokojniej.

ALBERTA WŁASNĄ DROGĄ | Miasto Lethbridge, liczące 90 tys. mieszkańców i leżące na południu prowincji, przy granicy z USA, jest nieoficjalną „stolicą" uzależnienia w Albercie. W 2023 r. z przedawkowania umierało tam średnio 10 osób miesięcznie. Działa tam największa Strefa Bezpiecznych Zastrzyków w całej Ameryce Północnej.

Dlaczego Lethbridge? Były minister środowiska Alberty Jason Nixon tłumaczy to bliskością USA: fentanyl sprowadzany jest drogą morską z Chin do Stanów w postaci półproduktów (czasem wprost, a czasem poprzez Meksyk).

Nixon, krytyczny wobec liberalnej polityki narkotykowej, uważa, że narkotyki zawsze wiążą się z obecnością gangów i przemocą. Jest dumny, że jego prowincja idzie inną drogą: „Uzależnienie akceptuje się jako chorobę i podaje ludziom truciznę, zamiast dostarczyć im narzędzia, które pomogłyby im wyjść z tej sytuacji. Nie chcemy nikogo aresztować za to, że jest uzależniony. Jest odwrotnie. Wyciągamy rękę do tych ludzi, umieszczamy w bezpiecznych miejscach i udostępniamy zasoby pozwalające im się wyleczyć. Druga strona wierzy, że gdy umieści się ich w namiotach lub mieszkaniach opłaconych przez podatników, pozwalając im na spożywanie trucizny, to w jakiś magiczny sposób się wyleczą".

Nixon uważa, że liberalna polityka Kolumbii Brytyjskiej to „opieka paliatywna" dla uzależnionych: „Alkoholizm to wielki problem, ale alkohol w ciągu dekad powoduje takie zniszczenia, które fentanyl może wywołać w tygodnie". Dowodzi, że nie ma czegoś takiego jak bezpieczny fentanyl. „Nasz rząd wierzy, że powinniśmy iść w inną stronę" niż Kolumbia.

KOPALNIE PIASKÓW | W Albercie obok meksykańskiego kartelu działają liczne gangi złożone z rdzennych Kanadyjczyków. Tych ostatnich epidemia uzależnienia dotyka bardziej niż osoby o europejskim pochodzeniu. Są trzy razy bardziej narażeni na śmierć z przedawkowania.

Alberta ma za to inny problem: tajemnicą poliszynela jest – dotykająca głównie białych mężczyzn – epidemia uzależnienia od kokainy. Jej przyczyną jest specyfika gospodarki Alberty: piaski bitumiczne przyciągają osoby bez wykształcenia obietnicą wysokich zarobków, wyciągają je z domów rodzinnych i odseparowują od rodzin.

I tak, na północy Alberty, w mieście Fort McMurray, alkohol i używki są nie tylko normalne, ale wręcz niezbędne, by wytrzymać dzień pracy w kopalni odkrywkowej, który trwa po 12-15 godzin. Pracownicy tych kopalń często pracują przez trzy tygodnie non stop. Alberta jest „ziemią obiecaną" dla przybyszów z nadmorskich prowincji na wschodzie Kanady, gdzie pozamykały się tamtejsze kopalnie i wielkie przetwórnie ryb.

W barze w Edmonton spotykam dilera, który sprzedaje kokainę w Fort Mac. Chwali się, że zarabia setki tysięcy dolarów rocznie. I że w czasie wolnym wynajduje modelki na Instagramie i zaprasza na wspólne wyjazdy na festiwale i wycieczki, które opłaca. Mówi, że ma 28 lat, choć wygląda na przynajmniej czterdziestkę.

LEGALNA MARIHUANA | Pod koniec 2018 r. rząd centralny Kanady zalegalizował spożycie marihuany. Miejsca, gdzie można ją kupić, są dosłownie na każdym rogu – jest ich więcej niż sklepów spożywczych czy stacji benzynowych. Prawie 40 proc. Kanadyjczyków deklaruje, że spróbowało marihuany przynajmniej raz w życiu, a 15 proc., że korzystało z niej w ostatnim roku. Jedna trzecia tych, którzy używali jej w ostatnich trzech miesiącach, pali marihuanę codziennie lub prawie codziennie.

W odróżnieniu od opioidów marihuana nie jest substancją silnie uzależniającą, nie prowadzi też do przedawkowania i przemocy fizycznej. Jej przykład nie może być więc inspiracją dla polityki dotyczącej ciężkich narkotyków.

KROK W TYŁ | Gdy zbliża się 31 sierpnia, Międzynarodowy Dzień Wiedzy o Przedawkowaniu, w całej Kanadzie w miastach organizuje się warsztaty, na których można nauczyć się, jak pomóc osobie, która przedawkowała, wstrzykując jej substancję noloxone.

Pomoc uzależnionym nie może jednak polegać na dobrej woli przechodniów. Politycy mówią o destygmatyzacji, ale często to właśnie wstyd jest motorem, który motywuje uzależnionych do zmiany. Pobłażliwa polityka narkotykowa może być też problemem dla samych uzależnionych – osoby wychodzące z nałogu narażone są na pokusy, skoro dostęp do narkotyków jest prosty (to trochę tak, jakby finansować z podatków bary, gdzie alkoholicy otrzymywaliby codziennie darmową „małpkę").

Kolumbia Brytyjska robi krok (czy może – pół kroku) w tył i zastanawia się, czy liberalna polityka narkotykowa jednak bardziej nie szkodzi. Patrząc na statystyki uzależnień i śmierci z przedawkowania, w kolejnych latach można się spodziewać następnych korekt.

© MAŁGORZATA SIDZ

ELIZA

Kącka:
W trasie jak w transie

Łazienki od Gagarina, siedzę z książką. Łapię kątem oka, że ktoś stanął przy mojej ławce i się waha. Wreszcie wystartował: „Pani Eliza?”. „Tak”. Gość po sześćdziesiątce, ucieszył się. „Znamy się z weterynarii”. „?”. „Od psa mojego strony. Pani ojciec leczył”. Faktycznie: „A, tak, operacja bartoszycka”. Śmieje się. „Pamięta pani”. „Aha”. „Do Warszawy przyjechałem w sprawie drobiu. I myślę: czasu mi zostało, odchamić się trzeba. Łazienki zaliczę. I na kogo weszłem? Na córkę weteryniarza”.

Autobus 180, troje licealistów. Chłopcy z puszkami energetyzerów, dziewczyna z colą. Chłopak w bluzie: „Ja tylko tajgera uznaję”. Dziewczyna: „Dobra, ale nie pij tyle”. Bluzowy: „Luz”. Chłopak w glanach: „Rel, Zuza”. Do kolegi: „Tylko tajgera pijesz”. „Bo co? Alko jest dla boomerów”. Zuza: „Nie chodzi o browar”. „Podróby z Lidla mnie nie interesują”. Glanowy: „Łoł, serio? A ja fanuję dzika. Dzik arbuz. Kofeinka elegancko wjeżdża”. Zuza: „Arbuz capi rybą. Ogólnie to istnieje jeszcze cola zero, boys”. Bluzowy: „Nie dla mnie”. Glanowy: „»Istnieje« – skąd ty takie słowa bierzesz?”. Bluzowy: „Zatrucie słodzikiem”.

Pociąg z Krakowa. Zajmuję jedno z miejsc przystolikowych, podpinam komputer. Twarzą w twarz ze mną dziewczyna w wieku wczesnostudenckim. Przy oknie staruszek i kobieta – moja rówieśnica. Staruszek zasypia tak nagle, jakby ruch pociągu wyszarpnął wtyczkę z gniazdka. Posapuje. Dziewczyna na szczękościsku: „A miałam artykuł skończyć”. Kobieta: „To niech pani kończy”. Młoda: „Szok, wiedziałam”. Kobieta wzrusza ramionami, wyciąga paczkę ciasteczek i chrupie w stuporze. Dziewczyna łapie za telefon: „Znowu trafiłam najgorsze bydło w wagonie”. Pauza. „Nie wytrzymam do Warszawy, nic nie napiszę”. Pauza. „Oni chrapią i chrupią, wszystkie moje fobie”. Pauza. „Normalnie. Stary śpi, babka chrupie, ale tak specjalnie, z przymlaskiem. Nie wierzę, że tak w domu je”. Pauza. „A druga, co przede mną siedzi, ma jakieś zaburzenie. Ja to na głos mówię, specjalnie, jakby co. Ona chyba próbuje ze mną nawiązać kontakt wzrokowy”. Pauza. „Spławiłam ją, czaisz, a ta się śmieje do siebie. Będziesz na peronie?”.

Pociąg do Krakowa, w sąsiedztwie babcia z wnuczkiem. „Zamierzałeś mieć prezentację o Wawelu bez zobaczenia go na oczy?!”. „Widziałem w necie”. „Tam trzeba być”. „Babcia, to tylko konkurs”. „To po co startujesz?”. „Za piątkę z polaka”. „No, ale chciałeś ze mną jechać”. „Żeby nie iść do szkoły”. „Pójdziemy najpierw na Wawel, potem na wystawę”. „Jaką?”. „Wawel Wyspiańskiego”. „A obiad?”. „Jak czasu starczy”. „To ja wolałem do szkoły”. „Już za późno, hehe”. Mały duma. „Babcia, ty jesteś sadystka”. „A nie, chcę, żebyś coś zobaczył”. „Ale ja nie chcę widzieć”. „Bo...?”. Pauza. „To samo zmęczenie”.

Tramwaj 11, dzień testowy, pierwsze przejazdy. Z Mokotowa na Wolę i z powrotem. Czekam sobie przy Spacerowej. Przy mnie dwie staruszki. „Skończyli coś jednak”. „Skończyli, Alinka, będzie ci łatwiej na cmentarz dojechać”. „A wiesz, że o tym nie pomyślałam”. „No to o czym?”. „Nie wiem, że może ciszej będzie”. „Ciszej?”. Milczą. „Tramwaj jest cichy, przemyka, zawsze to lubiłam w tramwajach”. „O, ja też, ja też”. „A pani lubi tramwaje?” – zwraca się do mnie. „U, bardzo, kiedyś sobie myślałam, że to najlepszy zawód prowadzić tramwaj od pętli do pętli”. „O! Ja też. I co panią odwiodło?”. „Niepokój”. „Ech, ja bym i tak tego nie mogła robić. Ale tak, chciałabym powtarzać trasę”. Pierwsza staruszka: „No co ty, Alinka”. „A tak. Dziś śniło mi się, że przez tę naszą trasę idzie pożar. Ktoś podpalił metal, buzuje, tramwaj cofa się i chowa do jamy gdzieś na końcu ulicy”. „Powariowałaś?” – pyta druga. Alinka: „Nie, tylko wiesz, wszystko, co dobre, spokojne, się wykurza”.

Autobus 503, jazda na Mokotów, dwóch w wieku późnostudenckim. „E, te, jaki tytuł literacki się kończy na »wysiaduje«? »Matka wysiaduje«?” „Nie, »Stara kobieta wysiaduje«”. „Ojeju, tak, dziękuję ci”. „Matka nie wysiaduje. Matka odchodzi, pamiętaj”.

Autobus 116, objazd weekendowy, łukiem przy Zachęcie. Wskakujemy z Rudą na siedzenia tuż przy kierowcy. Na sąsiednie gramoli się staruszek, dosiada się na czwartego kobieta z dwuletnim dzieckiem. Po dwóch przystankach dziecko zaczyna szamotać się, wariować, zjeżdża matce na podłogę. „Julu, przestań!”. Pomagam wciągnąć Jula na kolana. Ruda też łapie go za nogawkę, holuje. Windujemy Jula w ramiona mamy. Staruszek: „Co też ten młody człowiek wyrabia?!”. Mama: „Młody człowiek? No, Julo jest nadwrażliwy...”. Staruszek do małego: „Nadwrażliwy? Ej, co ty wyrabiasz?!”. Do mnie: „Pani też jest matką, niech pani reaguje!”. Ruda przejmuje akcję: „Pingwin nie jest matką tego dziecka”. Staruszek: „Pingwin?! Skąd pingwin? Matko jedyna!”. Ruda stoicko: „Pingwin to moja mama, nie tego Julka”. Do mnie: „Pingwin, prawda, że go nie upomnisz?”. „Owszem, nie upomnę”. Staruszek robi śmiesznego zeza i spuszcza powietrze. Ruda na ten widok śmieje się kompulsywnie. On też zresztą. I pyta: „Ej, młoda damo, z czego my się śmiejemy?”. Ruda, po głębszym hauście namysłu: „Ty jesteś komikiem, rozśmieszasz mnie”. I śmiejemy się jeszcze bardziej, w trasie jak w transie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

HISTORIA

MÓWI DO WAS ROBESPIERRE

W Arras powstaje muzeum Maksymiliana Robespierre'a, pierwsze w ogóle takie muzeum we Francji. 230 lat po śmierci przywódcy rewolucji francuskiej trwa spór, kim był: krwawym tyranem czy obrońcą ludu. A może jednym i drugim?

SZYMON ŁUCYK Z ARRAS

Z czym kojarzy się w Polsce francuskie Arras? Zapewne najpierw z arrasami, kunsztownymi gobelinami, które możemy oglądać np. na Wawelu. W epoce renesansu miasto to, wtedy należące do Niderlandów, słynęło w całej Europie z ich wyrobu (choć akurat te wawelskie Zygmunt August miał sprowadzić raczej z Brukseli).

Kto natomiast wie, że w tym mieście na północy Francji, 50 km od Lille, urodził się w 1758 r. i spędził większość życia Maksymilian Robespierre?

PROJEKT | Cicha wąska uliczka na uboczu gwarnego śródmieścia Arras. Stara kamienica z zielonymi drzwiami i framugami okien w tym kolorze. Tablica głosi, że mieszkał tu w latach 1787-89 (razem z rodzeństwem: bratem Augustynem i siostrą Charlotte). Wtedy był adwokatem, poza Arras mało znanym. Do Paryża wyjechał tuż przed wybuchem rewolucji, która obaliła monarchię. I został tam do śmierci.

Do 2026 r. niepozorna piętrowa kamienica ma zamienić się w nowoczesne muzeum Robespierre'a – pierwsze muzeum we Francji poświęcone „Nieprzekupnemu" (jak brzmiał przydomek późniejszego jakobina).

Rewolucja francuska jest nad Sekwaną główną krynicą zbiorowej mitologii. Począwszy od zdobycia przez paryski lud 14 lipca 1789 r. Bastylii, więzienia dla wrogów króla. Z tejże rewolucji wywodzą się symbole narodowe: flaga niebiesko-biało-czerwona, hymn „Marsylianka" i dewiza „Wolność, Równość, Braterstwo", wyryta na frontonach wszystkich szkół w kraju.

WIKIPEDIA.ORG

Autor anonimowy, Portret Maksymiliana Robespierre'a (1758-1794), Muzeum Carnavalet

Ale z obaleniem feudalnego świata i tworzeniem nowego wiązał się ogrom krwi i destrukcji. Stąd rewersem pionierskiej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z września 1789 r. jest Terror (też pisany dużą literą), który towarzyszył drugiej fazie rewolucji w latach 1793-94. I pracująca bez wytchnienia gilotyna, którą dziś potocznie ucieleśnia właśnie Robespierre.

Gdy cztery lata temu ogłoszono projekt muzeum, w kraju podniosły się głosy protestu: „Nie dla czczenia krwawego dyktatora!". Protestował też były wicemer Arras Matthieu Lamoril, cytowany przez „Liberation": „Czy możemy sobie wyobrazić wystawę pt. »Hitler, młody malarz z Wiednia«, której towarzyszyłoby tylko kilka plansz mówiących o nazizmie?".

HAPPENINGI | Niektórzy mieszkańcy pamiętają do dziś, że w czasach Terroru – ten ogarnął również prowincję – w Arras stała gilotyna: tuż obok przyszłego muzeum (dziś to plac przed teatrem). Zginęły na niej setki osób, uznanych (często arbitralnie) za „wrogów rewolucji". Działo to się, gdy Francją współrządził Robespierre.

Jeszcze w XX w. aktywiści niechętni rewolucji urządzali w tym miejscu happeningi: na bruk leciały ścinane kartonowe głowy, po trotuarze lała się czerwona farba. Do dziś, jak widać, rodzinne miasto nie przepada za swoim sławnym mieszkańcem.

– Jeszcze rok temu dostawaliśmy listy pełne oburzenia, że będziemy gloryfikować tyrana – w rozmowie z „Tygodnikiem" Laurent Wiart, koordynator muzeum z ramienia miasta, odpiera zarzuty i waży każde słowo.

UNIVERSAL IMAGES GROUP / EAST NEWS

Carl de Vinck, Zgilotynowanie Robespierre'a i jego towarzyszy, kolorowana litografia z epoki

– Nie, nie chcemy tworzyć miejsca ku chwale Robespierre'a. Zależy nam, by neutralnie przedstawić życie tego „syna Arras", wraz z jego czarną i białą legendą. Dlatego merytoryczną pracą nad muzeum kieruje powołana przez miasto rada naukowa z udziałem znanych historyków, którzy badają temat rewolucji 1789 r.

Paradoks: to burmistrz centroprawicy, licząc na zyski z turystyki, zgodził się na muzeum jakobina, współfinansowane z budżetu miejskiego. Ma ono kosztować około miliona euro. Cały projekt nie doszedłby zapewne do skutku bez lokalnego Stowarzyszenia Przyjaciół Robespierre'a (L'ARBR). To ono od ponad 30 lat dba o pamięć przywódcy jakobinów w Arras, organizuje konferencje i spacery jego śladami. W 2014 r. L'ARBR ogłosiło petycję o przekształcenie domu Robespierre'ów w muzeum. Podpisało ją blisko 5 tys. osób z Francji i zagranicy (m.in. Włoch, USA, Rosji). To skłoniło Ratusz do działania.

OBROŃCA | Dlaczego mimo upływu 230 lat postać Robespierre'a tak mocno polaryzuje i historyków, i ogół Francuzów?

Historyk idei i filozof Marcel Gauchet, autor książki „Robespierre. Człowiek, który nas tak mocno dzieli" z 2018 r., twierdzi, że słynny jakobin, „bohater dla jednych, a potwór dla innych, uosabia jednocześnie nadzieje niesione przez rewolucję, jak i jej krwawy ślepy zaułek".

W życiu Robespierre'a były trzy etapy. Pierwszy, do wiosny 1789 r., gdy był dość przeciętnym adwokatem w Arras. Drugi, do lipca 1793 r., gdy został deputowanym rewolucyjnej Konstytuanty i liderem klubu jakobinów. Trzeci od lipca 1793 r. do śmierci 28 lipca 1794 r., gdy sprawował władzę jako przywódca Komitetu Ocalenia Publicznego.

Brytyjska badaczka Marisa Linton twierdzi, że gdyby Robespierre zmarł np. w 1792 r., dziś byłby czczony jako bojownik o prawa człowieka. Dlaczego? Bo po zdobyciu Bastylii domagał się w parlamencie zniesienia kary śmierci (tak, ten sam Robespierre). Jako jeden z pierwszych sprzeciwił się handlowi niewolnikami (zanim w lutym 1794 r. rewolucyjny parlament zniósł niewolnictwo w koloniach). Walczył też o wolność prasy i powszechne prawo do głosowania (wbrew obowiązującemu cenzusowi majątkowemu). Co prawda tylko dla mężczyzn, ale o prawach kobiet wspominała wtedy garstka. Wreszcie, chciał wolności wyznania i sprzeciwiał się zamienianiu kościołów w tzw. świątynie rozumu (sam był deistą).

Dziś na ogół pamięta się tylko o ostatnim roku jego życia: o Terrorze.

PRZEMOC | Jak to się stało, że młody idealista i adwokat uciśnionych (tak sam się przedstawiał jako początkujący prawnik) stał się symbolem represji? I w jakim stopniu za nie odpowiada?

Historycy szacują, że rewolucyjny terror z lat 1793-94 pochłonął co najmniej ↦

↦ 40 tys. ofiar. Przy czym liczba ta nie uwzględnia największej hekatomby tej epoki we Francji: wojny domowej na zachodzie kraju, w Wandei, gdzie w latach 1793-96 zginęło (według rozbieżnych szacunków) od 200 tys. do 300 tys. ludzi. W zdecydowanej większości byli to wandejscy powstańcy i cywile, mordowani przez armię rewolucyjną.

Skąd tyle przemocy? Trzeba pamiętać, że tamta rewolucja była wstrząsem dla porządku w całej Europie. Od ogłoszenia republiki (jesienią 1792 r.) i stracenia króla Ludwika XVI (styczeń 1793 r.) europejscy monarchowie patrzyli na Francję i jej „misjonarską" ideologię wolności i równości jak na źródło „rewolucyjnej zarazy".

Stąd część historyków tłumaczy skalę Terroru sytuacją kraju w tamtym czasie: wojną z niemal całą Europą, jednoczesną wojną domową (prócz Wandei buntowały się też miasta, np. Lyon, Bordeaux, Tulon). Towarzyszył temu powszechny głód i drożyzna. Liderzy rewolucji – jak Robespierre, Danton i inni – widzieli w terrorze środek niezbędny, by ocalić zagrożoną – w ich oczach zewsząd – rewolucję.

Dyktatura jakobinów, którzy objęli władzę w latach 1793-94 (przewodził im właśnie Robespierre), działała pod presją tzw. sankiulotów, plebejskiego odłamu rewolucjonistów. Domagali się oni i chleba, i ukarania tych, których uważali za zdrajców. Jakobini długo przyzwalali na tę oddolną przemoc, niekiedy sami do niej wzywali. Z czasem, od końca 1793 r., próbowali nad nią zapanować, organizując trybunał rewolucyjny w Paryżu.

DEKRET | Robespierre nie był dyktatorem jak Stalin czy Hitler, decyzje podejmował wspólnie z pozostałymi dwunastoma członkami Komitetu Ocalenia Publicznego. Z biegiem czasu Komitet został zdominowany przez tzw. triumwirat: Robespierre (ten miał najmocniejszą pozycję), Georges Couthon i Saint-Just. Wszyscy trzej zginęli potem razem na gilotynie.

Rolę Komitetu ograniczał z kolei Konwent Narodowy, tj. rewolucyjny parlament, złożony z różnych sił politycznych. 1 sierpnia 1793 r. tenże Konwent zarządził „zrównanie z ziemią" zbuntowanej Wandei. Robespierre poparł tę uchwałę,

Z KOLEKCJI ALCIDE'A CARTONA / MATERIAŁY PRASOWE

Dom Robespierre'a w Arras, gdzie będzie się mieścić jego muzeum

jak większość deputowanych, ale to nie on najgłośniej wzywał do „eksterminacji buntowników". W tej kwestii można mówić o masowej paranoi.

Jedno jest pewne: to Robespierre był, razem z Couthonem, inicjatorem dekretu z 10 czerwca 1794 r., który zapoczątkował tzw. Wielki Terror. Miał on umożliwić błyskawiczną likwidację „wrogów ojczyzny" przez trybunał rewolucyjny. Zniesiono prawo do obrony i przesłuchanie świadków; były tylko dwa wyroki: śmierć lub uniewinnienie. Na tej podstawie trybunał rewolucyjny w Paryżu tylko przez sześć tygodni (czerwiec-lipiec 1794 r.) skazał na śmierć 1,4 tys. osób – więcej niż w ciągu poprzednich czternastu miesięcy.

Ten straszny w skutkach dekret przyczynił się do upadku Robespierre'a. Jego wrogowie w Konwencie, uprzedzając spodziewany atak „Nieprzekupnego" na nich samych, uderzyli pierwsi. 27 lipca 1794 r. aresztowali lidera jakobinów i jego towarzyszy, a następnego dnia zgilotynowali. Miał wtedy 36 lat.

POTWÓR | Tradycyjnie czarna legenda Robespierre'a obciążała go winą za cały Terror. Współcześnie francuscy historycy mają tendencję do relatywizowania tej oceny.

Jean-Clément Martin, jego biograf, mówi „Tygodnikowi": – Zaraz po śmierci Robespierre'a jego przeciwnicy, także z Komitetu Ocalenia Publicznego, zrobili z niego najpierw tyrana, a później prawdziwego potwora. W ten sposób chcieli uniknąć kary za własne czyny i wydobyć Francję z ogromnie trudnej sytuacji politycznej w lipcu 1794 r.

Robespierre byłby zatem kozłem ofiarnym, bo wielu z tych, którzy go obalili, sami byli wcześniej zwolennikami Terroru. Martin wymienia wśród tych spiskowców Josepha Fouché (później, za Napoleona, słynnego ministra policji). W 1793 r. Fouché, wysłannik jakobinów, utopił we krwi bunt w Lyonie, każąc rozstrzelać bez sądu setki „wrogów ludu".

Martin uważa, że historia obeszła się z „Nieprzekupnym" niesprawiedliwie: – Przestańmy uważać Robespierre'a za monstrum. Był jedną z wybitnych postaci rewolucji, jak Danton czy Mirabeau, którzy też mieli na swoim koncie bardzo wątpliwe czyny.

Danton (bohater filmu Andrzeja Wajdy z 1982 r.), zanim stał się rywalem Robespierre'a w walce o władzę, akceptował Terror. Potem, gdy próbował powstrzymać spiralę represji, „Nieprzekupny" aresztował go i wysłał na gilotynę. Dziś Danton ma w Paryżu pomnik i ulicę. Robespierre'a nie spotkał taki honor, władze stolicy traktują go nadal jak *persona non grata.*

CNOTA | Przeciw rehabilitacji „Nieprzekupnego" opowiedział się kilka lat temu na łamach „Le Figaro" inny znany badacz rewolucji, Patrice Gueniffey. Argumentował, że Robespierre „w wielkiej części odpowiada za Terror", i że doświadczenia tegoż Terroru – z trybunałami i parodią procesów – inspirowały potem Lenina i jego bolszewickich następców.

Oto, co sam Robespierre mówił w lutym 1794 r., w środku Terroru: „Podczas gdy w czasach pokoju rząd ludowy opiera się na cnocie, to w epoce rewolucji – jego podporą jest równocześnie cnota i terror. Cnota, bez której terror jest zgubny, terror, bez którego cnota jest bezsilna. Terror nie jest czymś innym jak sprawiedliwością – szybką, surową, nieugiętą; jest emanacją cnoty".

Wyjaśnijmy: pojęcie „cnoty" (franc. *vertu*), o którym tu mowa, oznacza „cnotę obywatelską", tj. bezinteresowne oddanie sprawie publicznej. Cytat ten jest esencją teorii rządu rewolucyjnego według Robespierre'a, który utrzymywał, że w ręku „cnotliwych" polityków (czytaj: takich jak on) Terror będzie uderzał tylko w występnych (tj. kontrrewo-

lucję), oszczędzając niewinnych. Praktyka (nie tylko we Francji) pokazała, że rewolucja obraca się nie tylko przeciw swoim wrogom, faktycznym czy imaginowanym, ale też – własnym protagonistom.

POPULISTA | Według biografów Robespierre, samotnik i zatwardziały kawaler, był niejako archetypem rewolucjonisty. Paweł Jasienica pisał o nim (w inspirującym eseju o Wandei „Rozważania o wojnie domowej" z 1969 r.), że stronił od kobiet, wina, kart, a „jedyną jego słabością życiową było zamiłowanie do wymuskanego stroju". Co prawda, biograf Hervé Lauwers pisze, że jako młody adwokat lubił śmiać się, śpiewać i zabawiać damy. Ale w rewolucyjnym Paryżu żarty się skończyły. Z rozrywek zostały spacery z psem nad Sekwaną.

Przydomek „Nieprzekupny" zyskał jako deputowany Konstytuanty z lat 1789-91. O jego uczciwości przekonani byli nawet jego wrogowie. Skromnym stylem życia zjednał sobie paryską biedotę. Już u szczytu władzy wciąż wynajmował pokój u stolarza.

Zafascynowany filozofią Rousseau, Robespierre przedstawiał się jako obrońca ludu rozumianego jako najuboższa lub uciśniona część narodu. „Lud jest dobry, cierpliwy, wspaniałomyślny" – powtarzał z mównicy. Z biegiem czasu utożsamił się z tą grupą. Głosił: „Nie jestem trybunem ani obrońcą ludu, ja jestem ludem". Towarzyszyły temu ataki na elity, zepsute i kosmopolityczne. W miarę nasilania się walki o władzę, kontrrewolucyjne spiski widział wszędzie, wręcz obsesyjnie (tak twierdzi historyk Timothy Tackett).

Czy nie brzmi to aktualnie? Z dzisiejszego punktu widzenia Robespierre'a (rzecz jasna, tego sprzed epoki Terroru) można by uznać za prekursora populizmu.

Filozof Gauchet uważa, że robespierrowski „mit ludu" i jego moralnej siły ożywa dziś na naszych oczach. Z jednej strony może to przyczynić się do uzdrowienia demokracji, ale z drugiej mit ten jest wykorzystywany przez współczesnych populistów jako narzędzie do podważania prawa i instytucji przedstawicielskiej demokracji w imię ludowego „suwerena". Już nie przez zbrojną rewolucję, ale w drodze wyborów.

RAMA / WIKIPEDIA.ORG

Claude-André Deseine, terakotowe popiersie Maksymiliana Robespierre'a, 1791 r.

Znamienne, że Jean-Luc Mélenchon, dziś główny lider francuskiej radykalnej lewicy, nie kryje fascynacji postacią Robespierre'a.

TO ON? | Wracając do Arras Anno Domini 2024, trudno znaleźć ślady rewolucjonisty. W biurze turystycznym nie ma kubków ani tiszertów z jego podobizną. Ratusz otrzymał niegdyś jego popiersie, ale umieścił je, jakby wstydliwie, w sali niedostępnej dla interesantów.

Jest za to w Arras liceum ogólnokształcąco-techniczne imienia Robespierre'a. W wiosenne popołudnie przed szkołą rozmawia grupka uczniów. Zagajam ich o patrona szkoły. – Robespierre? Nie wiem, o nim się u nas nie mówi – słyszę. Inni, gdy pytam o popiersie stojące na dziedzińcu szkoły, robią wielkie oczy: – O, naprawdę to on?

Na dziesiątkę zapytanych o niego licealistów może połowa ma jakieś skojarzenia. Zwykle, że „obciął bardzo dużo głów", „miał krew na rękach". I że urodził się w ich mieście.

Adrien (chce być inżynierem) i jego kolega Anatole (chce być lekarzem) mówią mi nieco więcej. Adrien: – Robespierre to interesująca postać, bo kontrowersyjna, uwielbiana przez jednych, a przez wielu znienawidzona. Dobrze, że będzie u nas jego muzeum. Ale uważam, że rewolucja francuska była zbyt krwawa, żebyśmy mieli się nią inspirować.

Anatole: – Nie musimy budować barykad, żeby być przeciw. Są inne sposoby. Na przykład głosować. Idziemy teraz po raz pierwszy na wybory europejskie.

Obaj chłopcy właśnie skończyli 18 lat.

HOLOGRAM | Dom Robespierre'a, na razie pusty (nie licząc tablic informacyjnych o przyszłej wystawie), zwiedzają już dziś goście z zagranicy, m.in. z Niemiec, Polski czy Czech. Władze miasta liczą, że po przekształceniu w muzeum miejsce to przyciągnie nie tylko turystów, ale też francuskie wycieczki szkolne.

Według planów będzie to placówka nowej generacji, zwana „centrum interpretacji zabytków". Czyli przestrzeń objaśniająca przeszłość przy użyciu multimediów, bez klasycznych obiektów muzealnych. Laurent Wiart tłumaczy: – Nie będzie tutaj pamiątek po Robespierze. Nie chcemy, by centrum przemieniło się w jakiś relikwiarz, otoczony kultem przez jego miłośników.

Miasto Arras zachowało pewne obiekty z nim związane, np. guziki od kamizelki, portrety jego i jego siostry Charlotte. Będzie je można zobaczyć w pobliskim miejskim Muzeum Sztuki. W dawnym domu będą natomiast eksponowane zdigitalizowane dokumenty, np. prywatne listy, kupione przez miasto. W podróży do przeszłości mają pomagać tablety udostępniane zwiedzającym.

Wiart: – Stawiamy na słowo. Robespierre miał talent oratorski, jego mów słucha się dość przyjemnie. Jeszcze nie wiemy, czy wyświetlimy we wnętrzu hologram 3D jego postaci. A może będzie nagranie jego mów czytanych przez lektora? Zobaczymy.

Tak czy inaczej, trybun z Arras znów przemówi w rodzinnym mieście. Czy lud („dobry, wspaniałomyślny") zechce go jeszcze słuchać?

Tymczasem naprzeciw przyszłego muzeum umościł się sklep z mocnymi alkoholami o kuszącej nazwie „Duch epikurejski". Wątpliwe, czy asceta Robespierre, gardzący trunkami i innymi ziemskimi uciechami, byłby zachwycony takim sąsiedztwem.

© SZYMON ŁUCYK

Prócz prac wspomnianych w tekście korzystałem m.in. z: Hervé Leuwers „Robespierre" (Fayard 2014), Timothy Tackett „The coming of the Terror in the French Revolution" (Harvard 2015), Jan Baszkiewicz „Maksymilian Robespierre" (Ossolineum 1976).

O ŚMIECHU NA POWAŻNIE

Poczucie humoru może być jedną z uniwersalnych i charakterystycznie ludzkich cech, choć niektóre jego psychologiczne komponenty dzielimy z innymi zwierzętami. Co wiemy o jego pochodzeniu i funkcji?

DIANA SAŁACKA

Śmiech u szympansów sygnalizuje, że ma miejsce zabawa, a nie rywalizacja. Jej uczestnicy mogą więc pozwolić sobie na więcej i liczyć na bezkarność.

FRANS LANTING / BE&W

Jest rok 2001. W Wielkiej Brytanii powstaje naukowy projekt LaughLab prowadzony przez psychologa Richarda Wisemana. Jego celem jest wyłonienie najzabawniejszego żartu świata. Do pomocy zgłaszają się internauci z około 70 krajów, a ich zadaniem jest ocenienie ponad 40 tysięcy kawałów i wybranie tego, który ich najbardziej rozbawi. Wynik?

Dwóch myśliwych wybrało się do lasu na polowanie. Nagle jeden zbladł, chwycił się za klatkę piersiową i upadł na ziemię. Drugi nie wiedział, co robić, wyciągnął komórkę i zadzwonił na pogotowie. Odebrała dyspozytorka: „Pogotowie ratunkowe, słucham". „Szybko, ratunku, tu, w lesie, mój kolega, leży, nie żyje! Ratunku!". Na to dyspozytorka: „Spokojnie, najpierw upewnijmy się, że pański kolega na pewno nie żyje". Po chwili wyraźnie słychać odgłos wystrzału. Chwilę później odzywa się myśliwy: „Okej, i co dalej?".

Powyższy żart raczej nie wywołuje spektakularnego efektu, ale sam eksperyment mówi sporo o nas, ludziach. Po pierwsze wiemy, że żarty to sprawa uniwersalna – występują w każdym zbadanym społeczeństwie, po drugie – towarzyszą nam od dawna. Humorystyczne anegdoty odnajdywane są w zapiskach ze starożytnego Egiptu (np. „Jak zabawić znudzonego faraona? Umieścić na Nilu łódź pełną młodych kobiet ubranych tylko w sieci rybackie i namówić faraona, żeby poszedł na ryby") czy kultur Mezopotamii, a najstarszy znany dowcip datowany jest na 1900 r. p.n.e. (to sumeryjskie powiedzonko o puszczaniu gazów przez młodą żonę). Po trzecie okazuje się, że to uniwersalne narzędzie, jakim jest poczucie humoru, odgrywa w naszym życiu bardzo poważną rolę.

Zapasy w dżungli

Tę wesołą opowieść warto zacząć od rozróżnienia śmiechu i poczucia humoru. Spontaniczny śmiech występuje nie tylko u ludzi, poczucie humoru natomiast zdaje się być mocno związane z mową i językiem, dlatego raczej nie mówi się o nim u innych zwierząt. Wiemy, że śmiejemy się od około trzeciego miesiąca życia, a reakcja ta występuje także u niemowląt niesłyszących i niewidomych – nie może więc być wyłącznie efektem uczenia się przez obserwację i naśladowanie.

Uniwersalnie najśmieszniejszym żartem dla bobasów jest gra w „a kuku", czyli zasłanianie i odsłanianie twarzy – wiemy o tym z badań Caspara Addymana, który analizował śmiech maluchów na podstawie ankiet z 62 krajów. Dzieci po drugim roku życia przestają się nabierać na tę zabawę. Dlaczego? Ich rozwijający się aparat poznawczy znacznie lepiej radzi sobie z tzw. ciągłością trwania obiektów. Dziecko wie, że zakrywana twarz nadal istnieje, mimo że zniknęła z pola widzenia, i taka naiwna sztuczka po prostu przestaje je bawić.

Sam śmiech jako zjawisko fizjologiczne stał się nawet konkurencją parasportową podczas mistrzostw świata w śmiechu, na których można zdobyć tytuł w zawodach polegających na udawaniu śmiechu konkretnej gwiazdy, najlepszym śmiechu diabolicznym albo zmaganiach w rozśmieszaniu się jeden na jeden.

Co ciekawe, śmiech znany jest szerzej w świecie przyrody, a konkretniej wśród naszych najbliższych kuzynów – szympansów. Z obserwacji badaczki Mariny Davili Ross wynika, że młode szympansy śmieją się podczas zabawy, gdy ćwiczą umiejętności walki. Badacze uważają, że szybkie sapanie i obnażanie zębów, które przypomina ludzki śmiech, pozwala małpom zaznaczyć, że wszystko jest tylko elementem gry, a wzajemne ganianie się i gryzienie nie stanowi prawdziwej walki, w której stawką byłby dostęp do zasobów czy status społeczny. O takiej „rozbrajającej" roli śmiechu mówi nam tzw. teoria zabawy, która sugeruje, jakoby śmiech wyewoluował jako narzędzie do sygnalizowania, iż osobniki nie mają złych zamiarów – mimo przyjmowania pozornie konfrontacyjnej postawy.

Mądry czy zabawny?

Funkcja „wzięcia w nawias" danego zdarzenia to jednak tylko jedno z wielu zastosowań śmiechu. Antropolog Robin Dunbar twierdzi, że śmiech umożliwia nam zaoszczędzenie jednego z kluczowych biologicznie zasobów – czasu. Choć często uważamy beztroskie rozbawienie raczej za jego stratę, śmiech u naszych przodków mógł przyczynić się do zaspokojenia tych samych potrzeb społecznych co iskanie – i to znacznie efektywniej.

Wraz z rozrostem grup społecznych to właśnie utrzymanie dobrych relacji między ich członkami zaczęło być priorytetową dla przetrwania umiejętnością – stado targane wewnętrznymi konfliktami i niezdolne do rozładowywania nieuniknionych napięć musiałoby się rozpaść. Iskanie, czyli wzajemna pielęgnacja osobników polegająca na przeczesywaniu futra w poszukiwaniu pasożytów, co przy okazji ma wyjątkowo kojący wpływ na stargane nerwy, może „obsłużyć" tylko dwójkę osobników naraz – a to zdecydowanie za mało, biorąc pod uwagę to, że nasi coraz bardziej ludzcy przodkowie musieli tworzyć coraz ↦

bardziej skomplikowane struktury społeczne, w których pojawiały się przyjaźnie, alianse i koalicje. Gdyby jakiś małpolud chciał wyiskać się ze wszystkimi towarzyszami, by zasygnalizować im swoje oddanie i chęć współpracy, to brakłoby mu czasu na inne aktywności.

Wspólny śmiech – a potem, według Dunbara, także opowiadanie historii przy ogniskach – nie wymagał tak dużo czasu, w dodatku jego beneficjentami mogło być kilka osobników naraz. Dzięki temu życie w dużych grupach – wspólnie broniących się przed drapieżnikami i polujących na coraz większe ofiary – na afrykańskiej sawannie, na którą z przerzedzającej się dżungli zepchnęły naszych przodków zmiany klimatyczne, stało się trochę łatwiejsze.

Czy dzisiaj funkcjonujemy podobnie? Łatwo znaleźć przykłady wyrzutków społecznych, którzy nie radzą sobie w życiu z racji wykluczenia, choć pewnie znajdą się także przykłady bardzo nielubianych milionerów. Ale hipoteza Dunbara, tłumacząca pojawienie się śmiechu i poczucia humoru koniecznością wynalezienia wydajnych mechanizmów podtrzymywania więzi społecznych, nie jest jedyną powstałą na gruncie nauk ewolucyjnych. Autorem innej koncepcji jest Geoffrey Miller, który w poczuciu humoru upatrywał czynnika wpływającego korzystnie na znalezienie partnera. Wedle tej koncepcji umiejętność wymyślania czy rozumienia żartów świadczy o kreatywności, inteligencji, bystrym umyśle i innych cechach, które były postrzegane jako atrakcyjne przez potencjalnego kochanka. Według Millera, autora takich książek jak „Umysł w zalotach", „Teoria szpanu" czy „Sygnalizacja cnoty", humor to zatem uczciwy sygnał ogólnej zaradności.

Powodzenie w randkowaniu i występowanie śmiechu zbadano całkiem na poważnie – eksperyment z lat 90. pokazał zależność między czasem śmiania się na randce a chęcią umówienia się na kolejne spotkanie. Problem jednak w tym, że partner z poczuciem humoru to za mało do sukcesu reprodukcyjnego, a żadne badania czy testy IQ nie powiązały dotąd humoru z rozwiniętym intelektem.

Baba u lekarza, filozof pod drzwiami

Śmiech może być związany z naszymi zdolnościami poznawczymi na innej płaszczyźnie – jak twierdzi trójka kognitywistów Matthew Hurley, Daniel Dennett i Reginald Adams, autorzy książki „Filozofia dowcipu". Według tej teorii humor pozwala nam na usuwanie błędów z naszych przekonań. Weźmy za przykład podawany przez autorów książki krótki kawał: „Jak się pozbyć filozofa sprzed drzwi? Wystarczy zapłacić za pizzę".

Mamy tutaj do czynienia z przekonaniem o tym, że filozof to mądry, szanowany jegomość z antycznej Grecji, oraz stereotypem na temat zawodowych losów dyplomowanych humanistów. Te dwa kontrastujące ze sobą przekonania stanowią istotę żartu. Jak podkreślają autorzy, wykryciu tej sprzeczności czy błędnych oczekiwań nie towarzyszą silne, negatywne emocje. A przecież łatwo wyobrazić sobie sytuację zaskoczenia wywołaną konfliktem poznawczym, która wcale nie jest zabawna. Według wspomnianych badaczy to, co uważamy za śmieszne, wynika ze sprzecznych przekonań, które zderzając się w żarcie, w bezpiecznych okolicznościach pokazują nam błędy naszego myślenia.

Teoria rozwiązywania niespójności nie jest zresztą nową propozycją. Postulował ją już Immanuel Kant, który w „Krytyce władzy sądzenia" napisał: „śmiech pochodzi z oczekiwania, które nagle obraca się wniwecz". Humor miałby wynikać z zaskoczenia i w konsekwencji powodować korektę oraz uspójnienie danych w naszym umyśle, a także ma nas uczyć ostrożnego przyjmowania rozmaitych założeń. Poważne zadanie, jak na – zdawałoby się – trywialny i błahy żart. Co jednak ważne, wyłapywanie błędnych założeń w naszym myśleniu i przewidywaniu zdarzeń jest jedną z kluczowych umiejętności potrzebnych nam do przetrwania. Wyobraźmy sobie sytuację, kiedy niesłusznie zakładamy, że zdążymy przebiec na czerwonym świetle albo wnioskujemy, że po krzyczeniu obraźliwych haseł do kibiców przegranej drużyny na pewno nic się nie stanie... Każdy z tych przykładów, choć można je mnożyć w nieskończoność, może w konsekwencji uprzykrzyć nam życie – to dlatego jesteśmy wyposażeni nie w jeden, a kilka mechanizmów pozwalających nam na przewidywanie zdarzeń i konsekwencji czynów. Jednym z nich – jak postulują autorzy „Filozofii dowcipu" – jest humor i tą właśnie funkcją poznawczą tłumaczą jego powszechne występowanie we wszystkich znanych nam kulturach.

Żarty wpływają nie tylko na to, jak myślimy o świecie. Są też nieźle przebadanym środkiem zapobiegawczym i wpisują się w popularne twierdzenie, że śmiech to zdrowie. W literaturze medycznej można znaleźć kilka ciekawych danych na ten temat, jak chociażby badania z 2016 r. na grupie ponad 20 tys. Japończyków, w których Kei Hayashi i współpracownicy powiązali występowanie śmiechu z mniejszym ryzykiem chorób sercowo-naczyniowych czy opublikowane w 2010 r. w „American Journal of Cardiology" badania Juna Sugawary i współpracowników, dotyczące związku śmiechu z poprawnym funkcjonowaniem śródbłonka. Choć w takich badaniach trudno udowodnić, co jest czego przyczyną – wyniki mogą brać się stąd, że osoby zdrowe po prostu częściej się śmieją.

Korzyści ze śmiania się są jednak dobrze udokumentowane. Badani, którzy mieli za zadanie obejrzeć zabawny film, wykazywali większą produkcję komórek NK odpowiedzialnych za odporność, większą tolerancję na ból, obniżony poziom kortyzolu oraz wzmożone uwalnianie beta-endorfin. Dodatkowo terapia śmiechem, czyli tzw. geloterapia, została pozytywnie zastosowana jako terapia wspierająca osoby z depresją czy stanami lękowymi. Według metaanalizy opublikowanej w 2019 r. przez Jinping Zhao i współpracowników, obejmującej 10 badań i grupę 800 pacjentów stosujących długotrwałą terapię śmiechem, badani deklarowali ogólne lepsze samopoczucie i poprawę jakości snu.

Komu nie jest do śmiechu

Trzeba jednak pamiętać o skutkach ubocznych śmiechu, jakie występują poza eksperymentalnymi salami i puszczanymi w nich filmikami wideo. Humor to narzędzie, które z jednej strony może nam posłużyć jako łagodny mechanizm do naginania granic, może jednak też te granice po prostu przekroczyć i stać się jedną ze skuteczniejszych metod poniżenia. Przed upokarzającymi żartami trudno się obronić – atakująca nimi strona zawsze może powiedzieć, że przecież nie miała niczego złego na myśli, a wszelkie raniące słowa nie są wypowiedziane na serio: „No przecież żartowałam...".

Humor ma w sobie coś z wyższości, pogardy, zniewagi – cechę tę zauważył już Arystoteles, który w „Poetyce" pisał, że śmiejemy się z ludzi, których postrzegamy jako gorszych od nas samych. Opierając się na tej hipotezie, zgodnie z którą poczucie humoru jest narzędziem do wytykania błędów i zaznaczania swojej wyższości, wyjaśnić możemy wiele żartów o stereotypowych blondynkach, bezwzględnych prawnikach czy poukładanych Niemcach. W tym przypadku obserwujemy przewagę nad bohaterami żartu – łatwo jest nam wyśmiać idiotyczny błąd czy absurdalną precyzję, która zazwyczaj jest puentą w tego rodzaju dowcipach.

Element pogardy zamaskowany humorem zdaje się jednak być wyjątkiem od dość powszechnej reguły – używamy humoru do nawiązywania pokojowych relacji i zacieśniania więzi społecznych. Żart jako towarzyskie spoiwo działa szczególnie mocno w przypadku tzw. żartów wewnętrznych, które powstają w wyniku wspólnych doświadczeń i sytuacji zrozumiałych tylko dla wybranych. Zabawny komentarz działa wtedy jak szyfr, figlarne puszczenie oczka do wtajemniczonych i izoluje wybranych członków grupy od reszty, której dany kawał trzeba by było tłumaczyć.

Co na to Stańczyk

To jednak nie wszystko. Humor od wieków służył nam do bezpiecznego naginania granic przyzwoitości, śmiania się z władców, autorytetów czy obowiązujących norm – od razu przychodzi tutaj na myśl postać błazna czy wesołka, kojarzona z trafnym punktowaniem szlachty i dworzan w prześmiewczy sposób. Średniowieczni dowcipnisie mimo dotkliwych drwin byli bezkarni – ich niepisany przywilej zakładał wolność słowa na rzecz komediowej rozrywki. Współcześni antropolodzy kulturowi zaobserwowali podobne role funkcjonujące w rdzennych społecznościach Afryki i Ameryki Północnej.

Rytualne klauny miały zachowywać się w przerysowany sposób, wykorzystywać magiczne moce do psikusów i kpiny, ale przede wszystkim – komentować ważne społecznie tematy za pomocą humoru. Śmiech może się także przydać w obliczu tragedii. Mówi o tym tzw. teoria uwalniania napięcia, która tłumaczy humor jako rezultat rozładowania nagromadzonego stresu i niepokoju. Wentyl dla emocji, jakim byłby tutaj śmiech, pomagałby oswoić trudne wydarzenia czy nieszczęścia. Zresztą, to dość powszechne zjawisko, że z czasem dodajemy do naszych drastycznych przeżyć element komediowy – choć powodów, dla których to robimy, może być wiele.

Główne teorie dotyczące humoru mają wiele wspólnych elementów; tłumaczą żarty jako metodę zaznaczenia, że dana sytuacja nie jest „na poważnie", jako psikus służą też do naśmiewania się z autorytetów i błędów innych, w końcu służą do zauważenia tych błędów, które występują w naszych przekonaniach. Trudno z tego zbioru koncepcji wyłonić tylko jedną, która najlepiej tłumaczy, dlaczego żartujemy. Ale może humor to na tyle złożona sprawa, że byłoby śmiesznie myśleć, że mógł powstać tylko w jednym celu.

© DIANA SAŁACKA

REKLAMA

Prestige 15 lat MJM
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA
TYGODNIK POWSZECHNY
VIVA!
proart
VIXON

MAM INACZEJ

ANDRZEJ STASIUK, PISARZ:

Do niczego nie czuję sentymentów. Jak tylko je poczuję, piszę o tym książkę i mi przechodzi.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Wciąż marzysz o podróżach na Wschód?

ANDRZEJ STASIUK: Marzyły mi się jakieś stepy odległe, Mongolia może, albo przełęcz ałtajska, szerokie i puste azjatyckie niebo, usiane gwiazdami. I ja sam w tej nieskończoności, namiot, trochę wina. Czego można chcieć więcej po 60 latach życia? No ale wtedy zamknęli granice.

Jak się z tym czułeś?

Tu, w Wołowcu, wydarzył się cud. Przez ponad pół roku nie było nikogo u nas w domu, tylko dzieci czasem wpadały. Odcięcie, ale też komfort, można było w spokoju pracować. Tylko wozy straży pożarnej, które czasem przejeżdżały drogą poniżej i z megafonów puszczały komunikat: „Prosimy nie wychodzić z domu".

Zupełnie surrealistyczne w tej głuszy. Wstawałem przed świtem i szedłem w góry patrzeć na wschód słońca, Apokalipsę św. Jana czytałem. Było dużo czasu na marzenia. I było to dobre. Rodzaj ulgi, że już nie trzeba pędzić tych tysięcy kilometrów w poszukiwaniu czegoś mało uchwytnego.

Ale po pandemii przyszła wojna i wszystko wskazuje na to, że ta część świata na długo pozostanie niedostępna. Kiedyś się tam jeździło, teraz nie – trzeba się przyzwyczaić.

Myślisz, że pojedziesz jeszcze do Rosji?

Na pewno nie szybko. Teraz szukam alternatywy, żeby jednak dostać się na ten Wschód. Może Azja Centralna. Przewieźć promem auto przez Morze Kaspijskie. Z Baku do Kazachstanu. Zobaczymy. Nie ma sensu wierzgać przeciwko czasom, trzeba próbować w nich żyć.

Rosja była dla mnie od zawsze tajemnicza i pociągająca – próbowałem na różne sposoby ją zrozumieć i opisać. To jest kraj apokaliptyczny. Zwłaszcza jeśli idzie o sa-

ADAM GOLEC / FORUM

ANDRZEJ STASIUK
(ur. 1960) – prozaik, poeta, dramturg, eseista, publicysta i wydawca. Laureat wielu nagród, w tym Nagrody Literackiej Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Autor 30 książek. Ostatnio ukazały się: „Osiołkiem" (2016), „Kroniki beskidzkie i światowe" (2018), „Przewóz" (2021) woraz „Rzeka dzieciństwa" (2024).

Na zdjęciu:
Andrzej Stasiuk. Wołowiec, kwiecień 2016 r.

mozagładę. Cywilizacja dość młoda przecież, a już w kompletnej ruinie. Ciekawa rzecz.

Nieskończoność i nicość?

Nie jest tak, że pociąga mnie nicość jako taka. Fascynuje mnie ta niewyobrażalnie olbrzymia przestrzeń, w której wszystko może się rozpuścić i zniknąć. Jeśli ciągnie mnie odrobinę ku nicości, to do takiej rozumianej po buddyjsku, a w tym nie ma nic złego.

Generalnie do niczego nie czuję sentymentów. Jak tylko je poczuję, to piszę o tym książkę i mi przechodzi. Owszem, tęskno mi za stepem, ale to są sprawy, z którymi można sobie poradzić.

Twoja najnowsza książka jest jednak osobista.

Jest w niej więcej historii z dzieciństwa, wspomnień albo tego, co wydaje mi się wspomnieniami. Pamiętaj, że to jednak zawsze jest literatura. Świat daje ci mroczne prezenty – pandemia, wojna – i coś z tym musisz zrobić, nadać temu jakieś napięcie, wpisać to w jakąś historię. Świat jest jednak zawsze ciekawszy niż to, co uda się o nim napisać.

Niemniej ufam rzeczywistości bardziej niż sobie. Dlatego jak piszę, nie mam żadnych wielkich planów, żadnych rozliczeń czy podsumowań nigdy z góry nie planuję. Niektórzy projektują swoje książki od początku do końca, zanim jeszcze zaczną pisać – dla mnie byłaby to straszna męka, z której na pewno nic ciekawego by nie wyszło.

Czyli po prostu zapisujesz to, czego doświadczasz?

Nie przesadzajmy w drugą stronę, nie będę pozował na literackiego prostaczka. Zagęszczam językowo to, co mi się w danej chwili myśli. Węszę za mięsem świata. Po prostu nie wkładam tego w żadne narzucone z góry ramy formalne. Teraz na przykład piszę coś zupełnie innego niż do tej pory.

Co takiego?

Powieść drogi – o dwóch starzejących się mężczyznach, jadących przez mongolski step.

Brzmi znajomo.

Dużo rozmawiają o literaturze. Na przykład jak hrabia Potocki wędrował z poselstwem rosyjskiego cara do Chin. Wygrzebują też jakieś inne zapomniane opowieści. No bo co można robić, jak się jedzie przez pustkę wiele dni... Trzeba rozmawiać – o starzeniu się, śmierci. O świętych miejscach, których sporo na stepie. Surowa, prosta opowieść.

Chyba już o tym opowiadałeś.

Od wielu lat piszę o tym Wschodzie, siłą rzeczy wracam do tych samych miejsc. Nie zawsze mam o nich do powiedzenia coś nowego. Tam się po prostu dobrze czuję – zarówno egzystencjalnie, jak i literacko. Mam tę rzekę, ten Bug, który jest jednocześnie w moim życiu niezwykle ważną metaforą, ale jest też bardzo konkretny, zarośnięty, mokry, bagnisty. To bardzo dobra rzeka – można nad nią pojechać i się nią zachwycać, a można też o niej pisać. Mam swoją rzekę i bardzo się z tego cieszę.

Czego jest metaforą?

Była zawsze ważną granicą. Najpierw wojna, potem Związek Radziecki, teraz znowu wojna. Nie da się o niej myśleć inaczej. Więcej – nic też nie trzeba wymyślać. Wystarczy tam jeździć i czekać, a rzeczywistość na pewno przyniesie coś nowego.

Zresztą cały czas kombinuję, jak by się tam wybrać znowu. Jak się zanurzam w te wody dzieciństwa, to czuję jakiś pozór sensu, że może jednak da się sklecić – pewnie pokraczną, ale jednak – opowieść o swoim życiu. Ale to chwilowe. Zazwyczaj po prostu siedzę i nasłuchuję, jak w nocy rzucają się ryby.

Dalej nie ciągnie Cię na Zachód?

Byłem niedawno w Austrii przez dwa dni, trzeciego już nie wytrzymałem. Pojechałem na festiwal, ale nie mogłem wysiedzieć, organizatorzy na szczęście to zrozumieli i mnie nie zatrzymywali. Bardzo piękny kraj, ale z ulgą wjechałem do Czech. No po prostu mam inaczej nastrojone sensory odbioru rzeczywistości, nie będę się szarpał. Jest wielu, co pisze o Zachodzie – i dobrze to robią. Ja to w sumie nie wiem nawet, gdzie ten Zachód się zaczyna. W Niemczech? W których? We Francji? Też nie mam pewności. A ze Wschodem wiadomo od razu. Instynktownie wiesz, co to jest Wschód.

Co to jest?

↦

↦ Jakbym wymyślił jakąś zgrabną definicję, tobym już dawno ją gdzieś zapisał. Tu chodzi o niezachwianą pewność. Instynkt. Po prostu wiesz. Czuję też, że potrafię o tym Wschodzie choć trochę opowiadać, nie powielając przy tym opowieści innych.

Twoja najnowsza książka jest także o wojnie.

Jak mógłbym o niej nie pisać, skoro wdarła się do mojego świata? Woziłem zaopatrzenie przez granicę, auta na front, w drugą stronę zabierałem kobiety z dziećmi. Żaden heroizm, po prostu miałem samochód, potrafię też długo prowadzić, nigdy nie bałem się jeździć w tamte strony.

To pierwsza wojna, jaką widziałeś?

Dawno temu widziałem ślady tej bałkańskiej, ale to zupełnie co innego. W Ukrainie strzelali.

Bałeś się?

Nie, byłem raczej ciekawy, miałem silne poczucie nierzeczywistości. Jestem z pokolenia, które jeszcze żyło wojną, przekazywali nam ją w rodzinnych opowieściach, edukacji, popkulturze. Jak byłem młodszy, to nawet czułem ukłucie żalu – że się nie załapałem na to wszystko. Gówniarskie myśli.

A teraz oto jest – prawdziwa wojna. Jechałem pod front z młodszymi chłopakami – ostatnio coraz częściej jestem najstarszy w towarzystwie – i ich mocno ciągnęło. Był z nami białoruski dziennikarz, który już chyba jest uzależniony, miesiącami siedzi w okopach, robi materiały. Ja bym już tak nie mógł.

Żołnierze pokazywali mi ruską rakietę, która spadła i nie wybuchła. Teraz wszyscy boją się jej dotykać, ale, z drugiej strony, co mają zrobić, przechodzą koło niej codziennie. Życie na froncie jest bardzo dziwne, trudno je zrozumieć, jeszcze trudniej opisać. Zresztą, gdybym próbował, czułbym się niezręcznie...

Dlaczego?

Bo nie musiałem tam zostawać. Trochę pociesza myśl, że coś jednak przywieźliśmy, chociaż trochę pomogliśmy. Nie że tylko przyjechaliśmy jak na safari.

Jakbyś miał przewidzieć przyszłość...

...nie, za wszelką cenę staram się tego nie robić. Z grupą znajomych mamy proste cele – kupić, załadować, zawieźć. Tylko takie działanie ma sens. A ten chór ekspertów, którzy się przekrzykują ze swoimi prognozami... Daj spokój, zupełnie bez sensu. Geopolityka, która będzie tu decydować, rozgrywa się wysoko ponad naszymi głowami, szkoda czasu na takie czcze gadanie.

Jak Ukraińcy przegrają, to Ruscy tu przyjdą. Zawsze przychodzili, więc czemu tym razem miałoby być inaczej? Tylko siłą można ich zmusić do odwrotu. Załapałem się na najdłuższy od wieków okres pokoju w tej części świata. Nie docenialiśmy tych trzydziestu paru lat. Chociaż jak teraz myślę o tym, to zawsze towarzyszył mi podskórny lęk. Nie chodzi o to, że coś przewidywałem. Wystarczyło się jednak chwilę wmyśleć w historię tej wielkiej euroazjatyckiej równiny – zawsze tędy ciągnęły jakieś wojska, w jedną albo drugą stronę.

Może dlatego też na ten Zachód się nie załapałem – bo tam wszystko wydawało mi się za łatwe, zbyt oczywiste. I że my mamy być tym Zachodem? Zawsze wydawało mi się to podejrzane i nierealne. Tyle razy próbowaliśmy i nigdy nie wychodziło – dlaczego miałoby tym razem? Rosja będzie wieczna, Europa tak samo, ale my zawsze pomiędzy.

To wróćmy do granicy na Bugu.

Dziwna rzeka. Jeszcze niedawno oddzielała prawdziwy komunizm od jego wersji *light*, teraz oddziela wojnę od pokoju. Kiedyś, jak się rozbijałem w jakimś zakolu, to po drugiej stronie słyszałem ukraińskie dyskoteki. A teraz syreny alarmowe. To wąska rzeka, wsie są blisko siebie.

Układa się to wszystko w mocną metaforę.

No układa... Chciałoby się, żeby w inną, ale co zrobisz, wyrzucisz ją do kosza? Ale tak się kończą wyprawy do źródeł dzieciństwa. Ryzykowna sprawa, trzeba uważać.

Wracasz na przykład do postaci dziadka.

Bo to wielowymiarowa postać, ciągle go potrzebuję, żeby opowiadać pewne historie.

Tym razem jednak jest nie tylko źródłem wdzięcznych anegdot – ma swój mroczny, przemocowy rys.

Ale żeby o tym opowiedzieć, musiałem wsadzić w to wszystko jeszcze kogoś innego – Pastusza, wiejskiego biedaka, który pasł wszystkie krowy we wsi w zamian za miskę jedzenia. Dla małego chłopca była to postać niezwykła, metafizyczna wręcz.

Teraz odwiedza Cię jako duch?

I opowiada o tym, czego wyobraźnia dziecka nie chciała albo nie potrafiła przetworzyć.

Czyli?

O wszechobecnej przemocy, która wynikała ze strasznej biedy, głodu wręcz, ciągłego lęku o los – czy zaraz nie przyjdzie znowu jakaś armia i nie spali tego wszystkiego, co z takim trudem udało się sklecić. Ci ludzie żyli w zupełnie innym świecie niż my, próbuję go jakoś opowiedzieć, dlatego zawsze potrzebuję dziadka i babki. Z wiekiem wydaje mi się, że to oni, a nie rodzice symbolicznie zajmują ważniejsze miejsce w mojej wyobraźni.

Dlaczego?

W tym najgłębszym dzieciństwie, gdy dopiero uczymy się oswajać rzeczywistość, dziadkowie są bardziej egzotyczni niż rodzice. Pochodzą z innego świata, zupełnie co innego ich ukształtowało. Dla dziecka jest to niezrozumiałe, ale może właśnie dlatego pociągające.

Teraz Ty jesteś dziadkiem.

No tak, może moje wnuki będą tak samo mówić o mnie? Że był taki dziadek Andrzej, co miał dziwne poczucie humoru, a czasem nic nie mówił, no i ciągle gdzieś jeździł, nie wiadomo po co. Moje wnuki są z miasta, więc przyjazd tu jest dla nich na pewno czymś egzotycznym. Czy może być z tego jakaś kolejna „Rzeka dzieciństwa"? Może... Jest cisza, zwierzęta, pusty krajobraz. To na pewno kształtuje wyobraźnię.

Wołowiec nie jest jednak typową wsią.

Oczywiście. Głównie dlatego, że został swego czasu brutalnie wysiedlony. Kiedyś było tu 130 domów, kilkaset ludzi, teraz została sama bajkowość. Mroczna, o ile się zna trochę historię, ale wciąż bajkowość. To poszerza dziecięcą wyobraźnię – a jak będą dorośli, niech robią sobie

z nią, co chcą. Zwłaszcza że taka wieś za chwilę zniknie.

Współczesna wieś już nie przypomina tych, które opisujesz.

Te moje wsie nadbużańskie zmieniają się inaczej – one bardziej zanikają, wymierają, niż zmieniają się w coś nowego. Ale ogólnie rzecz biorąc, to oczywiście masz rację. Ludzie chcą żyć inaczej i nikt nie ma prawa im tego zabraniać. Ten proces zmian, mimo że czasem kłuje mnie estetycznie, jest sam w sobie również bardzo interesujący, lubię mu się przyglądać. Mogę sobie prywatnie uważać, że przycinanie drzew i sadzenie tui to zbrodnia, ale czemu to by miało kogokolwiek obchodzić?

Każdy ma swoje fantazje na temat tego, czym jest ogłada, czym jest cywilizacja. To ciekawa opowieść o świecie. Już nie chłopi, nie mieszczanie – kto właściwie? Jakaś zupełnie nowa, nieopisana jeszcze tożsamość. Najbardziej żałuję, że zniknęły z krajobrazu zwierzęta. Już nie ma krów, koni... Pozamykane w obozach hodowlanych. Poczuć woń gnoju to teraz doświadczenie niemalże metafizyczne. Relikwie dzieciństwa.

Dużo jest gnoju w Twoich książkach.

Staram się odbierać świat wszystkimi zmysłami. Kiedyś mówili, że „Dukla" była traktatem o świetle – niektórzy specjaliści tak pisali. Ok, niech będzie. Ale w takim razie tu mamy też traktat o zwierzęcym gównie, o materii podstawowej, fundamencie życia. Równie ważnej dla mnie składowej rzeczywistości jak światło.

W „Rzece dzieciństwa" dużo miejsca poświęcasz temu, co wydarzyło się po II wojnie w okolicach Bełżca. To próba opowiedzenia jednej wojny przez pryzmat innej?

Częścią tego sielskiego Wschodu, „magicznego" Roztocza jest też historia o „poszukiwaczach złota", czyli tych, którzy na terenach byłych obozów śmierci przekopywali ludzkie szczątki w poszukiwaniu cennych kruszców. To część tego wschodniego piekła, o którym na różne sposoby próbuję opowiadać. Jest w tym wielowarstwowa tragedia, bo ciężko mi tak całkowicie i definitywnie potępić tamtych ludzi. Bieda była straszna po wojnie, a tam złoto... już niczyje... Tym ludziom zgotowano niewyobrażalne piekło, żyli w nim przez parę lat, oswoili się z tym, co z naszej perspektywy wydaje się niewyobrażalne. Jak to oceniać? Czy w ogóle trzeba?

Byłem kiedyś w Brzezince. Zbudowano tam repliki bydlęcych wagonów, którymi przywożono ludzi na śmierć. A dosłownie obok asfaltowa dróżka, domek, drzewka i trzy plastikowe krzesła. Jaka operacja umysłowa musi się dokonywać u ludzi, którzy tam żyją? Którzy codziennie patrzą na to wszystko? Ja bym zapytał też – kto wymyślił, żeby im te wagony postawić pod płotem? No bo co, mieli się wyprowadzić? To nie jest uczciwe.

A to przecież tylko namiastka tego, co działo się w latach 40. Przecież to tutaj, w Polsce, diabeł założył swój „warsztat", że sparafrazuję Jachyma Topola. I w tym sensie nasz kraj jest jakoś „przeklęty" i my sobie z tym przekleństwem wciąż nie radzimy. A w każdym razie słabo nam to idzie. Wdychałeś odór spalonych ciał, teraz patrzysz z plastikowego krzesełka na wagony, którymi zwożono ludzi, żeby ich spalić pod twoimi oknami. Po tym wszystkim to kopanie nie było chyba już takie przeraźliwe.

Nie dałem rady wejść do Auschwitz – gdy raz pojechałem i zobaczyłem tłum, od razu zawróciłem. Ale z Bełżcem rzeczywiście... Monument jest tak zaprojektowany, że gdy wchodzisz do środka tego wzgórza, w głąb ciemnej szczeliny, zaczynasz słyszeć każdy swój krok, oddech, szelest. Ta cisza w połączeniu z pustą przestrzenią i półmrokiem jest niezwykła.

Pojechałeś tam w Wielki Piątek.

Zrobiłem sobie takie prywatne rekolekcje. Widziałem, jak wiejskimi uliczkami, zaraz obok tego przerażającego miejsca śmierci, z którego ocalały w sumie dwie osoby, idzie procesja. Ze sto osób szło, na końcu, wiadomo, najmniej zaangażowani, co kombinowali, czy jeszcze sklep otwarty. Na tym Wschodzie metafory same się zjawiają. Wystarczy chwilę popatrzeć i coś wiedzieć o historii.

Wspomnienia stają się ciekawsze niż rzeczywistość.

Trochę tak, ale najlepiej, gdy rzeczywistość skleja się ze wspomnieniami, powstaje w ten sposób nowa, świeża opowieść. Musisz mieć coś w środku dożyte, żeby mierzyć się z teraźniejszością, inaczej świat przecieka przez palce.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Bug, rzeka Stasiuka

„W dzieciństwie i wczesnej młodości spędzałem tam każde wakacje. Byłem wprawdzie miejskim dzieckiem, ale czułem się u nich jak w domu. Jakbym się tam urodził. Stamtąd pochodził mój ojciec. Wieś leżała na wysokim brzegu. W dole płynął zielony, kapryśny Bug. Latem woda opadała i ukazywały się mielizny. Razem z wiejskimi chłopakami przechodziliśmy na drugą stronę albo rozbijaliśmy obozy na piaszczystych wyspach".

▪ **NIE MA EKSPRESÓW PRZY ŻÓŁTYCH DROGACH,** Wołowiec 2013

„No bo jak to jest? Że z czasem oddalamy się od miejsca własnych narodzin i to ma być ucieczka, zdrada, emigracja? I wszystko, co robimy, jest próbą powrotu? Że życie to wygnanie? Jak u jakichś bośniackich bogomiłów? I jak u Breakoutu, że »rzeka dzieciństwa«? Jak ten mój Bug, nad który muszę czasami powrócić, żeby choć na chwilę wymknąć się wygnaniu i przechytrzyć samotności?".

▪ **WSCHÓD**, Wołowiec 2014

„Wiedział, gdzie rzeka, głęboka na kilka metrów pod wysokim brzegiem, raptem płycieje i wchodzi w ląd porośniętymi trzciną zatoczkami. Rozpoznawał zapachy lewego i prawego brzegu. Lewy pachniał mułem i wikliną. Prawy był płaski, piaszczysty i bezdrzewny. Tam były pastwiska i ciągnęło od niego bydlęcą wonią, wyschniętym nawozem i piołunem".

▪ **PRZEWÓZ**, Wołowiec 2021

„Pomyślałem: zostaw Jenisej Jenisejowi, zostaw Tuwę Tuwińczykom, zostaw owce o nierozgarniętych pyskach im samym. Zajmij się własnym krajem. Jesteś Polakiem i obowiązki masz polskie. Jak już musisz na ten wschód, z którego nigdy nic dobrego nie przyszło, to jedź sobie nad Bug na przykład".

▪ **RZEKA DZIECIŃSTWA**, Wołowiec 2024

Weronika Dzierżyńska jako Lucy w spektaklu „Powiem wam, jak zginął", reż. Marek Bukowski

Scena centralna

DARIUSZ KOSIŃSKI

Aby Teatr Telewizji odzyskał swoje znaczenie, nie wystarczą transmisje i rejestracje nawet najwybitniejszych spektakli stworzonych na innych scenach. TVP musi nam zaoferować osobną, niespodziewaną przygodę.

Przejęcie kontroli nad najważniejszym medium państwowym nadal pozostaje najbardziej spektakularną akcją nowego rządu. Można odnieść wrażenie, że cała „polityka kulturalna" koalicji 15 października do przejęcia TVP się dotąd sprowadzała, nic więc dziwnego, że po jego dokonaniu minister i wiceministra wolą mandaty europejskie.

Przyjrzyjmy się jednak jaśniejszym stronom polskiego życia kulturalnego, do których należy zmiana kierownictwa Teatru TVP. W styczniu 2024 r. objęli je reżyser Michał Kotański (dyrektor) oraz dziennikarz i krytyk Wojciech Majcherek (zastępca). Kotański dowiódł swoich dyrektorskich zdolności, kierując Teatrem im. Stefana Żeromskiego w Kielcach i odbudowując jego główną siedzibę oraz znaczenie. Majcherek zaś świetnie zna i teatr, i telewizję, w której przez kilkanaście lat pracował. Obaj znakomicie orientują się w bieżącym życiu teatralnym i potencjale, jaki można dzięki środkom telewizji uruchomić.

Zmiana kierownictwa została powszechnie przyjęta jako nowe otwarcie Teatru Telewizji. Wkrótce pojawiły się konkretne zapowiedzi, potwierdzające zasadniczy zwrot w jego polityce i funkcjonowaniu. Wprawdzie na początek ma on być głównie narzędziem umożliwiającym jak najszerszemu gronu widzów zapoznanie się z ważnymi premierami minionych sezonów (na czele listy znalazło się głośne „1989" w reż. Katarzyny Szyngiery), ale mówi się też o dążeniu do odzyskania przez telewizyjne sceny znaczenia, jakie miały w przeszłości, przypominając, że Teatr TVP był fenomenem na skalę światową i tę jego fenomenalność obiecuje się odnowić.

To dobry moment, by wrócić do dawno zarzuconych dyskusji i zapytać: czy dziś, w zupełnie innym krajobrazie kulturowym i medialnym, Teatr Telewizji w dawnym stylu jest jeszcze możliwy.

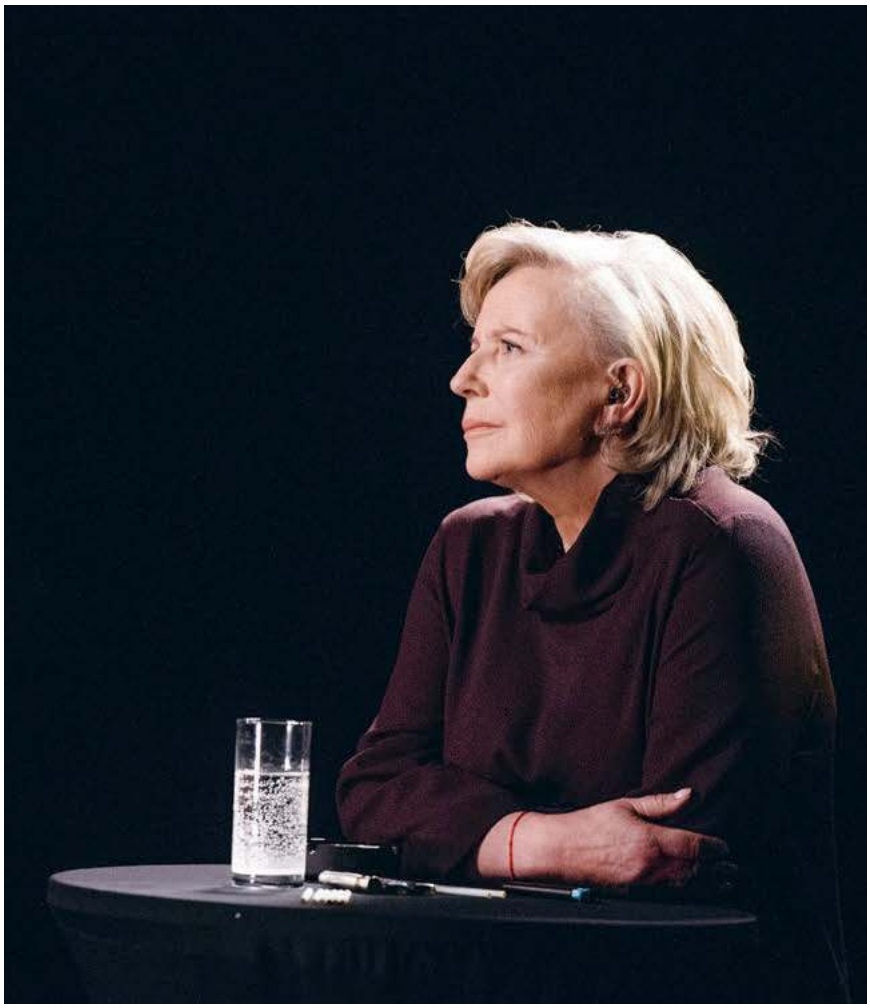

WALDEMAR KOMPAŁA / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU TVP X2

Krystyna Janda w spektaklu „Zapiski z wygnania", reż. Magda Umer

Teatr narodowy

W latach 90., przed oczekiwanym otwarciem Teatru Narodowego w Warszawie, trwały zażarte dyskusje na temat jego przyszłego kształtu, programu artystycznego, zasad organizacyjnych i dyrekcji. Jeden z najgorętszych momentów tej dyskusji wiązał się z Teatrem Telewizji. Stało się tak za sprawą Tadeusza Nyczka, który w „Gazecie Wyborczej" ogłosił manifest pod znamiennym tytułem „Nie wierzę w Teatr Narodowy". Postawił w nim tezę, że Teatr Narodowy jako reduta polskości jest w ogóle niepotrzebny, a najważniejsze funkcje kulturotwórcze z nim wiązane spełnia z powodzeniem Teatr Telewizji. Twierdzenie takie wywołało spore wzburzenie: uznano, że Nyczek zbyt lekko chce zwolnić instytucjonalny Teatr Narodowy z ciążących na nim obowiązków, zgłaszano też zastrzeżenia co do skuteczności telewizji jako medium i sceny wysokiej kultury.

Polemiści mieli sporo racji, ale właśnie dlatego po trzydziestu latach do tamtych propozycji Nyczka warto wrócić. Wszak oba najważniejsze teatry narodowe zwolniły się już dawno ze społecznych zobowiązań i nie tylko funkcjonują jak każda inna scena kierująca się kryteriami „artystycznymi", ale czynią to wręcz programowo. Teatr narodowy zaś jako idea pozostaje bezdomny. Dlatego właśnie telewizji jego przygarnięcie może być bardzo na rękę. Hasło „telewizyjny teatr narodowy" wydaje się skądinąd być o wiele mniej ekscentryczne niż przed laty.

Ważne zastrzeżenie: pisząc swój manifest Nyczek nie miał na myśli programu tworzenia tożsamości narodowej przez jakąś politykę teatralną. Chodziło mu raczej o koncepcję teatru narodowego jako centralnej sceny prezentującej to, co najlepsze w przeszłości i teraźniejszości sztuki dramatycznej. Najwybitniejsi aktorzy, najbardziej twórczy reżyserzy, najważniejsze teksty, najgłośniejsze realizacje. Oczywiście w miarę możliwości i bez dążenia do monopolu, ale z zachowaniem marki Teatru TVP jako swoistego znaku jakości. Skoro coś się w narodowym teatrze telewizji pojawia, to tym samym zdobywa specjalne znaczenie i szeroki zasięg oddziaływania.

Scena gromadząca

Jak się wydaje, programowi i repertuarowi ogłoszonym przez nowe kierownictwo Teatru Telewizji przyświeca bardzo podobny sposób myślenia. Plany na końcówkę obecnego i początek przyszłego sezonu składają się głównie z rejestracji i transmisji przedstawień, które już zdobyły rozgłos. Oczywiście ich wybór, jak zawsze, jest wypadkową wielu czynników i może być przedmiotem dyskusji. Ale teraz chodzi raczej o zasadę generalną. Ta zaś wydaje się brzmieć: wykorzystajmy masowy zasięg telewizji, by umożliwić osobom zainteresowanym, a mającym utrudniony dostęp do żywego teatru, zapoznanie się z głośnymi tytułami ostatnich lat.

Polski teatr repertuarowy nie działa i z wielu powodów nie ma szans działać według zasad komercyjnych, więc naprawdę mu nie zaszkodzi, jeśli przedstawienia, na które niemal nie sposób kupić biletów, pokaże się w telewizji. Ci, którzy zobaczą je (wcześniej lub później) na żywo i tak będą czuli się wyróżnieni, zaś transmisja umożliwi zapoznanie się z nimi osobom, które są ich ciekawe, ale z różnych powodów wyprawy do teatru nie podejmą.

Ten sposób działania wydaje się szczególnie ważny w kraju takim jak Polska, w którym duża część obywateli mieszka poza dużymi ośrodkami miejskimi i nie może do teatru po prostu pójść, bo wymaga to wyruszenia w podróż, czasem naprawdę daleką. Sam tak mam, więc wiem, o czym mówię. I wiem, dlaczego ludzie autentycznie zainteresowani teatrem, ciekawi go, a nawet obdarzający szacunkiem i autorytetem, odpuszczają i z żalem pozostają na jałowej ziemi celebryckich „talent shows" oraz chałtur nawiedzających z regularnością upiorów lokalne domy kultury.

Dla takich osób Teatr Telewizji jako scena gromadząca i wystawiająca to, co według opinii znaczącej części środowiska najciekawsze, a w każdym razie – warte obejrzenia, jest prawdziwym darem. Być może w skali telewizyjnej oglądalności nie jest to duża grupa, ale z pewnością cenna i wpływowa. ↦

MATERIAŁY PRASOWE TEATRU TVP

Próby do spektaklu „Cudzoziemka", reż. Katarzyna Minkowska

Teatr osobny

By Teatr Telewizji mógł mieć realne szanse na powrót do swoich złotych lat, nie wystarczą jednak transmisje i rejestracje nawet najwybitniejszych spektakli stworzonych na innych scenach. Wielkość Teatru TVP sprzed dekad budowana była, owszem, także na nich, ale jednak przede wszystkim na produkcjach własnych. Jego ranga wynikała nie z tego, że telewizja była środkiem przekazu dla teatru tworzonego gdzie indziej, ale że funkcjonowała jako scena, na której, i dzięki specyfice której, możliwe było realizowanie kreacji nigdzie indziej nieistniejących.

Dobrze też sobie uświadomić, że w najlepszych latach telewizyjnego teatru pracowali dla niego naprawdę najwybitniejsi reżyserzy swych czasów. Oczywiście nie wszyscy, bo nie wszyscy potrafili odnaleźć się w tym specyficznym medium, niemniej to względnie stała obecność takich twórców jak Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Wajda, Kazimierz Kutz, Olga Lipińska czy Jerzy Grzegorzewski nadawała Teatrowi TVP szczególne znaczenie.

Tworzyły go osoby o znacznym doświadczeniu i dorobku teatralnym, świadome szczególnych wymagań i możliwości, jakie stwarza telewizja. Ci wielcy i dziś legendarni nie tworzyli niskobudżetowych pseudofilmów ani nie przenosili do telewizji rozwiązań typowo scenicznych. Poszukiwali – często z wielkim powodzeniem – sposobów na stworzenie teatralno-telewizyjnej syntezy, proponując oryginalne i niepowtarzalne rozwiązania.

Oczywiście dziś sytuacja medialna jest zupełnie inna. Telewizja nie jest już najważniejszym, czy wręcz jedynym medium masowym. Na dodatek pandemia wymusiła powstanie wielu kanałów, które umożliwiają także dostęp do rejestracji przedstawień. Paradoksalnie ta wielość i nadprodukcja widowiskowych propozycji stanowi szansę dla „anachronicznego" Teatru Telewizji. Zamiast usiłować daremnie gonić za wciąż zmieniającym się medialnym multiwersum, powinien on rozwijać własną odmienność. Teatr Telewizji może zaproponować ożywcze i przez to przyciągające zderzenie z radykalnie inną dramaturgią, odmiennymi zasadami komponowania obrazu, prowadzenia fabuły, pogłębionego tworzenia postaci i operowania środkami wyrazu.

Może też właśnie w telewizji, zalewanej erystycznymi naparzankami (czymże innym są tzw. debaty polityczne?), przywrócić słowu ciężar i moc, ukazując jego związek z procesami myślenia i poznania, a nie tylko mówienia.

Teatr Telewizji powinien pozostać wierny własnej specyfice, starać się ją rozwijać oraz pogłębiać, stawiając opór pojawiającym się szkodliwym nawoływaniom, by szukać „nowoczesnego" języka, bez którego rzekomo nie da się przyciągnąć mitycznych „młodych". Zamiast na siłę się im przypochlebiać, lepiej spróbować pokazać, że coś tak „starego" jak telewizja może zaoferować prawdziwie niespodziewaną przygodę.

Laboratorium

Wyobraźmy więc sobie, że w odnowionym Teatrze Telewizji pracują Jan Klata, Maja Kleczewska, Michał Zadara, Marcin Liber, Ewelina Marciniak czy Jakub Skrzywanek – artyści mający i własny język teatralny, i świadomość medialną. Że ich praca nie polega na przenoszeniu stworzonych gdzie indziej spektakli, ale że dostają siły i środki, by mogli wraz z dobranymi przez siebie osobami (a są dziś wśród nich także wybitni artyści wideo) współtworzyć zupełnie nowe jakości wykorzystujące ich wiedzę i świeże spojrzenie na potencjał telewizji.

Z pewnością nie wszystko, co mogliby stworzyć, okazałoby się sukcesem. Na pewno byłyby potknięcia i pomyłki. Ale czyż nie byłyby one także ciekawe i wartościowe? Czy – innymi słowy – Teatr Telewizji nie mógłby służyć jako swoiste laboratorium nowych propozycji artystycznych, tworzonych rzecz jasna z całą świadomością kontekstu władzy performatywnej, Społeczeństwa Spektaklu czy jak tam jeszcze nazwać medialno-przedstawieniowy reżim, w którym wszyscy żyjemy?

A co, gdyby (puśćmy wodze fantazji) zaprosić do współpracy osoby, które – choć najczęściej pracują (z konieczności) w instytucjach teatralnych – wcale nie twierdzą, że tworzą teatr, a jeśli już tworzą, to na własnych, odmiennych zasadach? Jestem naprawdę ogromnie ciekaw, co zrobiłaby w telewizji Anna Karasińska. Co wymyśliłby i zaproponował w takim medium Wojtek Ziemilski. A Weronika Szczawińska, Michał Buszewicz albo Rob Wasiewicz? Pole możliwości jest olbrzymie. Można pomarzyć, że to właśnie telewizja dałaby nowy impuls poszukiwaniom teatralnym. Impuls nie tylko artystyczny, ale także finansowy. Bo przecież to wszystko wymagałoby sporych pieniędzy, których Teatr Telewizji dziś zapewne nie ma.

Na te pytania nowi dyrektorzy Teatru Telewizji oczywiście nie mogą odpowiedzieć. To, czy kierowana przez nich scena wykorzysta cały swój potencjał (także wizerunkowy), nie zależy od decyzji Kotańskiego i Majcherka, a chyba nawet nie do końca od osób kierujących Ministerstwem Kultury. Sytuacja wokół TVP pozostaje wszak politycznie, prawnie i finansowo bardzo skomplikowana. Może choćby dla samego efektu odróżnienia się od poprzedników jakiś decydent zechce zrobić coś realnego? Byłoby się czym pochwalić przy następnych wyborach.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika"
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

Kolorowe zeszyty

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Zombie pod Wrocławiem, dziwożony w Węsiorach, czarna wołga na trasie E81: gdy milicjanci rozkładają ręce, sprawę przejmują funkcjonariusze Wydziału 7.

W pilocie serialu „Z Archiwum X" Fox Mulder tłumaczy Danie Scully, że tam, gdzie zawodzi nauka, warto zwrócić się ku fantastyce. Przez jedenaście sezonów serialu i dwa filmy pełnometrażowe (a także niezliczone gry komputerowe i komiksy) para agentów FBI podejmowała się śledztw, w których kluczem do rozwiązania zagadek była zazwyczaj niekonwencjonalna wiedza.

Wiszący w gabinecie Muldera plakat z latającym spodkiem jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych artefaktów kultury popularnej. Zapisane na nim hasło „chcę wierzyć" można potraktować jako ontologiczny manifest albo wyraz niesłabnącej fascynacji nadnaturalnym, która z powodzeniem wnika w literaturę gatunkową.

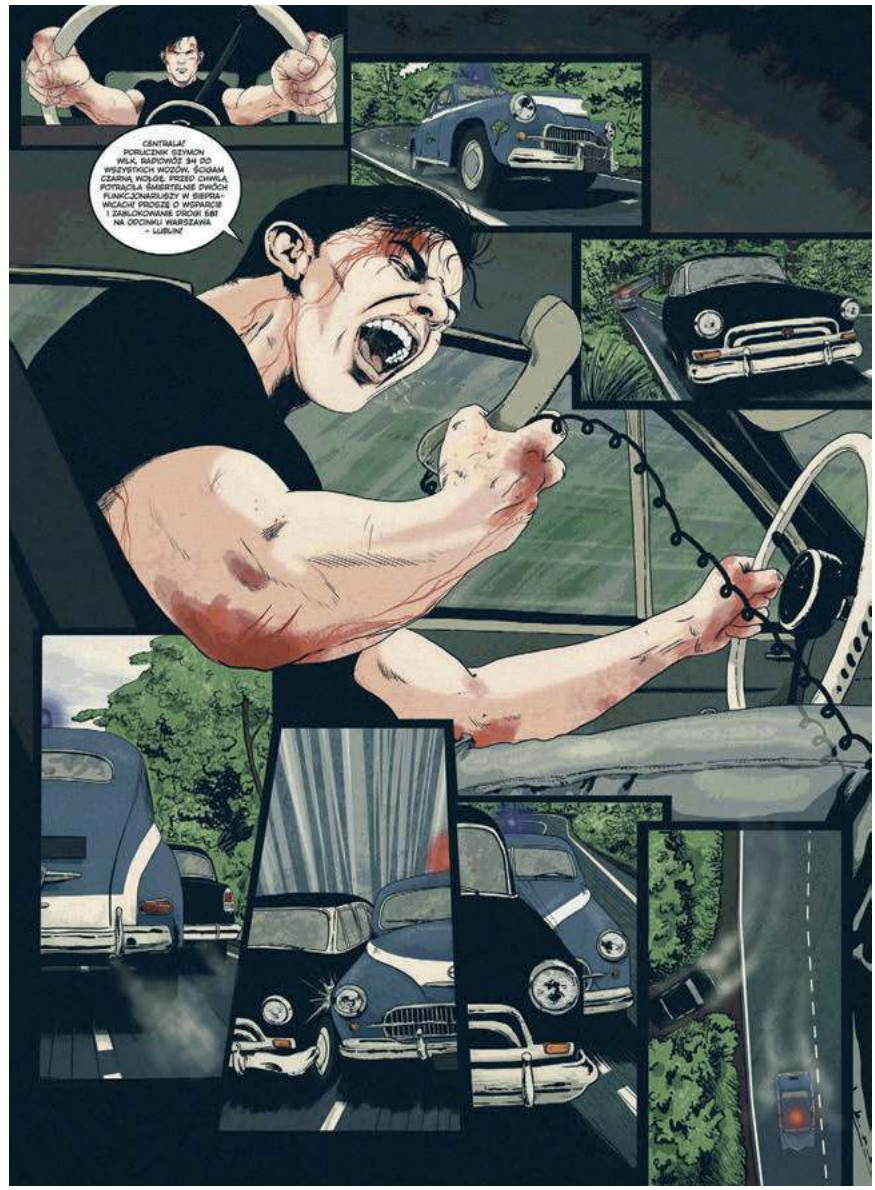

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI TOMASZA KONTNEGO

Wydział 7 #7 „Pościg na E81", rys. Grzegorz Kaczmarczyk, 2021 r.

Kogel-mogel z pulp fiction

To zainteresowanie nadnaturalnym stoi u podstaw „Wydziału 7" – serii komiksowej dotyczącej pracy funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, specjalizujących się w zjawiskach paranormalnych. Za sterami projektu stoją Tomasz Kontny oraz Marek Turek. Pierwszy z nich to jeden z najbardziej wziętych rodzimych scenarzystów, znany z publikacji w zinach i antologiach, takich jak „Karton", „Maszin" czy „Warchlaki". Wraz z ekipą miłośników komiksowej makabry tworzy „Rzeźzin", zawierający krwawe, groteskowe i nieprzewidywalne horrory.

Marek Turek zasłynął tetralogią „Fastnachtspiel" – ekspresjonistyczną pocztówką z miasta na krańcu czasu, w którym koszmarny żywot wiodą osobliwe postaci: wywrotowy Tobiasz Przeklęty, Zadziwiający Pan Burmistrz oraz strzegący porządku golem Zygmunt.

Specjalizujący się w takich dziwach duet od pięciu lat tworzy także sensacyjne historie o zamieszkanej przez licha, upiory i wiedźmy Polsce Ludowej. Ich „Wydział 7" powstał dla żartu. Jego korzenie sięgają humorystycznych shortów Marka Turka publikowanych w undergroundowych wydawnictwach przełomu mileniów. Niezobowiązujące historyjki zrodziły pomysł, który latami dojrzewał w wyobraźni autora. W końcu, z pomocą Kontnego, fabularny zalążek udało się przekuć w serial komiksowy, żeniący historię Polski Ludowej z niezobowiązującą reinterpretacją lokalnych podań i legend.

Wzorem „07 zgłoś się" każdy z odcinków poświęcony został osobnej sprawie kryminalnej. Tajemnicze przypadki morderstw, zaginięć i kradzieży łączy ich nadnaturalny charakter. Tam, gdzie milicjanci rozkładają ręce, to właśnie funkcjonariusze W7 przychodzą z pomocą. A zagrożeń, którym stawić czoło mogą wyłącznie eksperci od spraw niecodziennych, jest bez liku.

Już w pierwszym numerze muszą się uporać z plagą duchów nawiedzających Kortowo. Draka z olsztyńskimi zjawami to zaledwie żagiew burzliwych perypetii specjalnej komórki SB. Rusałki mordujące irańskich delegatów, zombie atakujące podwrocławskie wsie, dziwożony porywające dzieci w Węsiorach czy też czarna wołga siejąca postrach na drodze ↦

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI TOMASZA KONTNEGO

Wydział 7 #12 „Upiór”, rys. Krzysztof Owedyk, 2024 r.

Poniżej: Wydział 7 zeszyt specjalny „Sztorm”, okładka standardowa, rys. Łukasz Godlewski, 2023 r.

Wydział 7 #12 „Upiór”, okładka alternatywna, rys. Karol KRL Kalinowski, 2024 r.

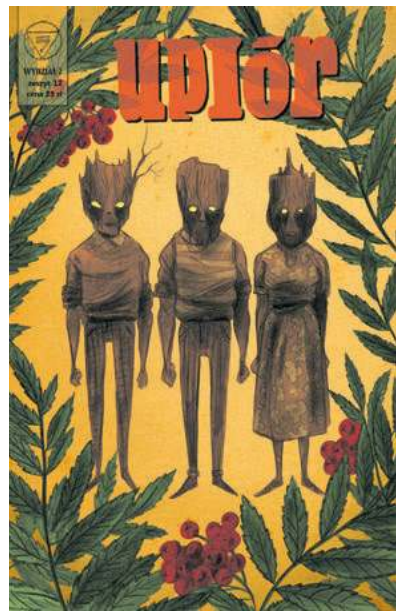

↦ międzynarodowej E81 – pracownicy W7 mają pełne ręce roboty.

Różnorodność wymienionych zagrożeń odnajduje odzwierciedlenie w konstrukcji poszczególnych zeszytów. Każdy odcinek prezentuje osobne podejście do konwencji gatunkowych i najróżniejsze oblicza horroru. „Wydział 7” jest jak pulpowy kogel-mogel ukręcony z literatury gotyckiej, *weird fiction* oraz b-klasowych akcyjniaków. Można wyczuć w nim nuty klasycznego „Zamczyska w Otranto”, jak i „Resident Evil”.

Mimo zmieniających się konwencji „Wydział 7” nie sprawia jednak wrażenia niespójnego. Przeciwnie: komiksiarzom udaje się utrzymać fabułę w ryzach, a gdy intryga zaczyna się komplikować, pojedyncze epizody okazują się zaledwie elementami wielowątkowej układanki.

Czarna ospa to przykrywka

Najważniejszym bohaterem serii jest chorąży Szymon Wilk, który od siły argumentów woli... argument siły. Przeszłość absolwenta szczytnickiej szkoły oficerskiej owiana jest tajemnicą. Jego akta zostały ocenzurowane, tymczasem on sam cierpi z powodu mglistych wspomnień. Jedno jest pewne – elfy, strzygi i upiory z jakiegoś powodu do niego lgną, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie spuszcza zeń oka.

Młodym członkiem Wydziału 7 opiekuje się major Filip Dobrowolski, weteran II wojny światowej, który w swojej karierze walczył zarówno z wiedźmami z Syberii, jak i wilkołakami z Werwolfu. Przewodnikiem funkcjonariuszy po domenie niesamowitości jest z kolei dominikanin Jakub Lange. Zwolennik synkretyzmu religijnego przemierzył świat od Nowego Orleanu, przez Kalkutę, po Nepal, szukając remedium na dręczący go kryzys wiary. Przeciwwagą dla duchownego jest lekarka medycyny sądowej Bogna Fiszer (trudno nie dostrzec w niej odpowiedniczki Dany Scully).

O sile „Wydziału 7” przesądzają właśnie jego niejednorodni bohaterowie, których osobistym dramatom Kontny i Turek poświęcają nie mniej uwagi niż pościgom i awanturom. Ale porównywanie „Wydziału 7” do „Z Archiwum X” jest tyleż trafne, co powierzchowne. Nagradzaną serię komiksową oraz przebojowy serial łączą jedynie podobne założenia – punkt dojścia jest tu zgoła różny. Kontny i Turek nie bez przyczyny osadzają akcję w gomułkowskiej Polsce. Postaci wyglądają jak wyjęte ze stron „Ty i Ja”, z kolei wnętrza, po których się poruszają, pełne są symboli designu lat 60. – meblościanek oraz foteli 366.

PRL w „Wydziale 7” objawia się jednak nie tylko w sztafażu oraz popalanych tu i ówdzie klubowych. Chłopaki od horrorów korzystają z historii powojennej Polski, czyniąc z niej kanwę swoich opowieści. Dla przykładu: epidemia czarnej ospy we Wrocławiu służy w ich komiksie odwróceniu uwagi od siejących spustoszenie pod miastem żywych trupów; katastrofa łodzi na jeziorze Gardno oraz tragedia w Kazimierzu Dolnym okazują się sprawką słowiańskich demonów, a wystrzelone z kosmodromu Bajkonur psy Wietrzyk i Węgielek wracają na Ziemię, lecz umierają wskutek zakażenia krwiożerczym grzybem rodem z filmu „Coś” Johna Carpentera.

Remiksowanie historii stwarza Kontnemu i Turkowi okazję do fabularnych eksperymentów oraz okołopolitycznych konstatacji. Przecież peerelowska rzeczywistość, zdeterminowana agresywną działalnością aparatu propagandowego oraz bezpieki, jest horrorem nie mniejszym niż podania o upiorach. Zestawienie dziejów Polski Ludowej z fantastyką ma potencjał zarówno metaforyczny, jak i ludyczny. Paranormalne zjawiska osadzone w realiach materializmu dialektycznego i laicyzacji tworzą atrakcyjny kontrast, napędzający fabułę „Wydziału 7". Dylematy ontologiczne oraz konflikty aksjologiczne, choć obecne, nie są priorytetem.

Najważniejsza jest zabawa towarzysząca pomysłowej reinterpretacji lokalnych przekazów. Mistyczną Polskę Kontnego i Turka zamieszkują w końcu wilkołaki, wąpierze, zombie, wiedźmy, rusałki, a także cały zastęp leśnych demonów: dziwożony, płanetnicy oraz ich herszt – Leszy. Haitańskie voodoo spotyka się z nadwiślańskimi miejskimi legendami, a wierzenia indyjskie z rodzimowierstwem.

Katalog ilustratorów

„Wydział 7" jest projektem wyjątkowym nie tylko ze względu na tematyczny zakres. Seria Kontnego i Turka może posłużyć za katalog polskich ilustratorów. Twórcy do każdego numeru zapraszają bowiem innego rysownika. Jest to decyzja tyleż artystyczna, co pragmatyczna – tym sposobem udaje im się utrzymać zadowalające tempo publikacji.

Na łamach komiksowego nieregularnika gościli już m.in. Grzegorz Pawlak, Krzysztof Budziejewski, Robert Adler, Arkadiusz Klimek, Krzysztof Owedyk, Rafał Szłapa i Łukasz Godlewski. Scenarzyści starannie dobierają współpracowników, kierując się nie tyle drobiazgową analizą, ile zwyczajną zajawką. Kryterium jest jasne: rysownik ma się dobrze czuć ze scenariuszem oraz czerpać frajdę z jego ilustrowania. Dlatego to Adlerowi przypadło rysowanie wypełnionej po brzegi akcją „Martwej wody", a Owedyk wziął się za bary z fantastycznymi leśnymi stworzeniami w „Letnikach".

O ile Kontny i Turek starają się nie ograniczać swoich współpracowników, o tyle oni sami podporządkowują się quasirealistycznej konwencji serii. Mimo to rysunków „Wydziału 7" nie sposób nazwać przewidywalnymi. W zeszycie „Pościg na E81", w którym Grzegorz Kaczmarczyk zilustrował pojedynek na szosie chorążego Wilka i diabelskiej wołgi, za pomocą pomysłowego rozmieszczenia kadrów udało się w statycznym medium odwzorować dynamiczność i rozmach hollywoodzkich blockbusterów.

Wojciech Stefaniec stroni zwykle od scen akcji, a narysowany przez niego „Azyl" ujmuje przede wszystkim paranoiczną atmosferą. Korzystając z feerii barw oraz impresjonistycznej kreski, tworzy niepokojący obraz psychodelicznego zwidu. Efektowne odstępstwo od reguły przyniósł też epizod Piotra Nowackiego w „Dobranocce". Kreskówkowy styl rysownika, sytuujący się na antypodach estetyki „Wydziału 7", posłużył scenarzystom do zobrazowania zadziwiającej bajki opowiadanej przez majora Dobrowolskiego. Zabieg ten doskonale odzwierciedla ambicje Kontnego i Turka, którzy numer w numer dostarczają zaskoczeń.

Moda na zeszytówki

Na rynku premiującym dziś obfite albumy twórcy „Wydziału 7" proponują powrót do tradycji kolorowych zeszytów. Zamiast twardej oprawy i barwionych brzegów – skromne wydanie w przystępnej cenie. Wydawanie serii w odcinkach wyszło z mody w połowie lat zerowych, lecz za sprawą uporu Kontnego, Turka oraz Leszka Kaczanowskiego z Wydawnictwa Ongrys zdaje się wracać do łask.

Bardzo ważną rolę odegrało tu wznowienie „Kapitana Żbika", które pokazało, że w polskim „komiksowie" nie brakuje czytelników, którzy wciąż wyglądają tzw. zeszytówek. Pozornie niedzisiejsza forma „Wydziału 7" doskonale koresponduje też z jego ustawicznie nawiązującą do przeszłości treścią.

I na koniec: mimo retro otoczki przygody nietypowych funkcjonariuszy SB nie są hermetyczne. Stanowią też alternatywę dla nieco zmurszałych „Żbików" i „Pilotów śmigłowca" – opowiedzianą ze szwungiem, wykorzystującą lokalny koloryt, ale daleką od cepelii, bawiącą się gatunkami i przenicowującą utarte schematy opowieścią o PRL-u na miarę naszych czasów. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

Zapraszamy na spotkanie

„Historie ludowe — stan krytyczny"

Historie ludowe zajmują dziś nie tylko historiografię, ale wybrzmiewają także w rozmaitych opowieściach literackich. Ich popularność tyleż otwiera, co problematyzuje dominujące sposoby upamiętniania przeszłości. Jakie są konsekwencje tej rosnącej tendencji? Czyje głosy ją tworzą, a kto wciąż pozostaje niesłyszalny w rewizjach chłopskiej tożsamości?

Pracownia Pytań Krytycznych Wydziału Polonistyki UJ zaprasza na spotkanie, którego punktem wyjścia będą przykłady zainteresowania ludowymi historiami i ich rewizjami. W dyskusji o ludowości w polskiej humanistyce i literaturze udział wezmą: **Jerzy Franczak, Barbara Klich-Kluczewska, Dorota Kozicka i Michał Okoński**. Rozmowę poprowadzą **Bartosz Piech i Katarzyna Trzeciak**.

3 czerwca, godzina 18.30

Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, ul. Gołębia 16, sala 42

ORGANIZATORZY:

PRACOWNIA PYTAŃ KRYTYCZNYCH

TYGODNIK POWSZECHNY

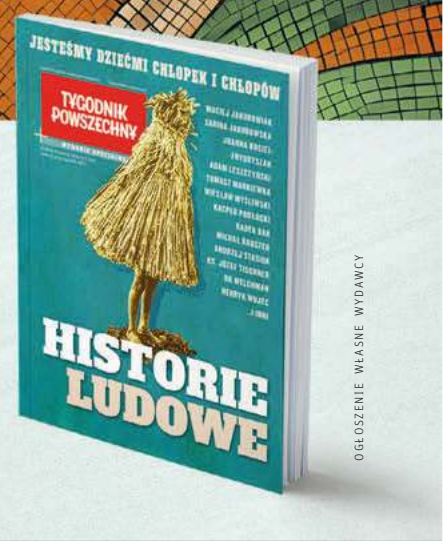

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Życie jak w kinie

ANITA PIOTROWSKA

Tłumy kobiet znalazły na ekranie coś więcej niż pocieszenie. Oto jeden z najpopularniejszych włoskich filmów wszech czasów.

Istnieją filmy, których gigantyczny sukces przechodzi najśmielsze oczekiwania czy kalkulacje. One powinny być rozpatrywane bardziej jako fenomen społeczny niż artystyczny. Trudniej byłoby zainteresować polskiego widza staroświecką (choćby na pozór) komedią o zahukanej gospodyni domowej z lat czterdziestych, gdyby nie fakt, że we włoskich kinach niedawno obejrzało ten film ponad pięć milionów widzów.

Pierwszy tytuł w reżyserskim dorobku Paoli Cortellesi przebił w kasach biletowych samą „Barbie", co ma tym większe znaczenie, że po jednej stronie mamy krzykliwie różową amerykańską superprodukcję, po drugiej niedrogi czarno-biały film europejski. Równocześnie wiele je łączy, jakkolwiek prokobiece przesłanie jest artykułowane w obu przypadkach zupełnie inaczej.

„Jutro będzie nasze" na pierwszy rzut oka dzieje się w odległym wczoraj, czyli zaraz po wojnie, kiedy Wieczne Miasto znajdowało się pod alianckim nadzorem, a tamtejsze kobiety jeszcze nie posiadały praw wyborczych. Ówczesna rzymska wilczyca ma zmęczoną twarz Delli (w tej roli sama Cortellesi), zaharowanej żony, matki, synowej, mieszkającej w ubogiej dzielnicy, oczywiście w suterenie. Już na dzień dobry dostaje od swego małżonka „z liścia" – i ów frywolny kolokwializm ma tutaj swoją rację bytu. Za chwilę pojawi się wiele znaków, ażeby nie podchodzić do filmu niczym do dosłownego obrazu z epoki, co wcale nie oznacza, iż mamy go traktować niepoważnie.

Innym sygnałem, że jesteśmy w świecie umownym, staje się towarzysząca czołówce ścieżka dźwiękowa, gdzie sentymentalne włoskie piosenki przeplatają się z brzmieniem rockowym czy hiphopowym. Także wyraźna stylizacja na włoski neorealizm filmowy ma chwilami posmak rozmyślnej sztuczności. Wszystkie te malownicze podwórka, gwarne stragany, sznury z suszącą się bielizną mają wyglądać autentycznie, zresztą zdjęcia plenerowe kręcono w rzymskim Testaccio, a aktorzy mówią z tamtejszym akcentem. Wnętrza jednak wykreowano w studiach Cinecittà nie po to, żeby było realistycznie – ma być właśnie tak, „jak w kinie".

To sprytny zabieg, bowiem natychmiast ustawia konwencję. Dlatego kiedy damski bokser Ivano (w tej roli Valerio Mastandrea) zaczyna rytualne maltretowanie żony, sceny płynnie przechodzą w... taneczną choreografię. Coś się wówczas w środku buntuje, bo czyżby chodziło tu o znormalizowanie, obłaskawienie, skonwencjonalizowanie czy zamaskowanie domowej przemocy? Wręcz przeciwnie. Cortellesi prowokuje tą umownością, podobnie jak zwodniczą prostotą fabuły i muzycznymi anachronizmami, żeby zwrócić uwagę nie na samo brutalne „mięso", lecz na ukryty kod, który niezależnie od obyczajowych i politycznych przemian nadal się reprodukuje. A już na pewno na Półwyspie Apenińskim, choć przecież nie tylko tam.

To dlatego w swojej ojczyźnie (w tym przypadku należałoby mówić raczej o matczyźnie) film znalazł podatny grunt. Mimo że coraz trudniej napotkać wąsatych mężczyzn w białych podkoszulkach żonobijkach czy kobiety traktowane niczym „służące do wszystkiego" i obowiązuje konwencja stambulska, stare problemy pozostały.

Jesienią ubiegłego roku, kiedy film „Jutro będzie nasze" zdążył wejść na włoskie ekrany, znaleziono w regionie Friuli-Wenecji Julijskiej zmasakrowane ciało studentki Giulii Cecchettin, zamordowanej przez byłego partnera, co wywołało uliczne protesty i burzliwe komentarze. Włoskie statystyki dotyczące kobietobójstw, popełnianych głównie przez mężczyzn z bliskiego otoczenia, są miażdżące (w zeszłym roku ofiarami padło przynajmniej sto dziewięć kobiet). Nic więc dziwnego, że historia napisana przez Cortellesi wespół z Furio Andreottim i Giulią Calendą, przenosząc nas w czasie o prawie osiemdziesiąt lat, jednocześnie tak mocno rezonuje z nastrojami trzeciej dekady XXI w.

Film ma być przede wszystkim przypomnieniem, że w temacie praw kobiet nic nie zostało dane raz na zawsze. Pokazuje, jak codzienna kobieca partyzantka (mikrodywersje, sprytne uniki i drobne fortele) może być kroplą drążącą skałę, ale bez systemowych rozwiązań oraz ich

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

JUTRO BĘDZIE NASZE
(„C'è ancora domani") – reż. Paola Cortellesi. Prod. Włochy 2023. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 24 maja.

Paola Cortellesi dotychczas znana była z ról filmowych, teatralnych i telewizyjnych, w których zabłysnęła talentem komediowym. W wieku 50 lat zadebiutowała jako reżyserka filmem „Jutro będzie nasze", który stał się jednym z największych przebojów w historii włoskiego kina, nagrodzonym 6 nagrodami Davida di Donatello, w tym za reżyserię, scenariusz i role kobiece.

Na zdjęciu: Kadr z filmu „Jutro będzie nasze", reż. Paola Cortellesi, 2023 r.

zdecydowanej egzekucji trudno wyobrazić sobie prawdziwą zmianę.

Stąd zaskakujący finał jednych irytuje, innych zaś wprawia w istną euforię. Nie zdradzając szczegółów, powiem tylko, że tajemniczy list, otrzymany przez Delię na początku filmu, i ukryte przed mężem zaskórniaki z dorywczych prac nie wywołają aż takiej rewolucji, jakiej ktoś by się spodziewał. Tym bardziej też złośliwe kojarzenia tytułu „Jutro będzie nasze" z niesławną piosenką z „Kabaretu" Boba Fosse'a, sugerujące rzekomy „feminazizm", okazują się kompletnie chybione.

Rzec nawet można, że poniekąd wywrotowa komedia ma w rzeczywistości bardzo zachowawczy potencjał i wyważa drzwi dawno otwarte. Lecz znowu: te ciągnące na seanse tłumy, głównie zresztą kobiece, najwyraźniej znalazły na ekranie coś więcej niż pocieszenie, że kiedyś było gorzej. Czerpiąc nie tylko z mistrzów neorealizmu, ale i z plebejskiego kina powojennego spod znaku commedia all'italiana albo z ról Sophii Loren czy Anny Magnani, niekoniecznie tych „ciężkich", Cortellesi przypomina o powojennym losie swojej babki, a zarazem, w obliczu długiego trwania patriarchalnych tradycji, dedykuje film dziesięcioletniej córce.

Wielu życzyłoby głównej bohaterce takiego życiorysu, jaki na przykład był udziałem Letizii Battaglii, nieustraszonej fotograficzki z Palermo, która wraz z dziećmi uciekła od przemocowego męża do Mediolanu i zrobiła karierę, dokumentując mafijne zbrodnie. Ambicje Cortellesi co do losów Delii są dużo mniej spektakularne, ocierają się wręcz o trywializację.

„Nie możesz jej ciągle lać, bo się przyzwyczai" – radzi swemu synowi równie odrażający teść. Jeden z najpopularniejszych włoskich filmów wszech czasów powstał w dużej mierze po to, by się nie przyzwyczajać, także do tych złudnych okresów spokoju. I zapewne właśnie dzięki temu, że film wiele upraszcza, momentami wyolbrzymia, to znów wycisza, również w dosłownym tego znaczeniu, nie stał się wyłącznie przedmiotem studiów feministycznych czy efemeryczną pozycją w repertuarze kin studyjnych.

Można kręcić nosem na tę wymuszoną lekkość, zaprogramowaną naiwność i proste emocje, chociaż tym razem mają one swój głębszy sens. Dzięki nim ów sens trafił pod strzechy i powrócił do debaty publicznej. ©

Lektor:
Rabczański przekładaniec

▪ *Beata Chomątowska*
MIASTO DZIECI ŚWIATA
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2024, ss. 472

Miasto dzieci świata? Brzmi bajkowo, ale okładka z rzędem leżanek ustawionych pod sznurek budzi raczej skojarzenia z regulaminem wojskowym. Określenie zresztą zastosowano wobec Rabki stosunkowo niedawno, kiedy miasto-sanatorium zaczęło już przeżywać kryzys. „Historia Rabki-Zdroju jest baśnią, nie bajką, jakie tworzono na użytek propagandowy czy reklamowy – mówiła autorka w wywiadzie dla „Vogue'a". – A w baśni, jak w rzeczywistości, jasność przenika ciemność, a szlachetne przeplata się z okrutnym".

Beata Chomątowska nie ogranicza się do wątku uzdrowiska. Owszem, kwestia wpływu na psychikę dzieci szpitalno-wojskowego rygoru, zilustrowana wspomnieniami byłych pacjentów, jest tematem ważnym, ale nie jedynym. To wielowarstwowa historia z mnóstwem bohaterów, po trosze też studium antropologiczne o miejscu, w którym lepiej lub gorzej współżyły różne grupy społeczne.

Po pierwsze więc – górale skupieni głównie w okolicznych przysiółkach. Po drugie – rodzina Kadenów, właściciele uzdrowiska. Wieczorkowski i jego gimnazjum męskie, otwarte i nowocześnie prowadzone, oraz siostry Szczuka i gimnazjum żeńskie, mocno naznaczone rysem religijnym. Kuracjusze dziecięcy i dorośli – ci ostatni chcieliby widzieć w Rabce ośrodek wypoczynkowo-rozrywkowy podobny do Juraty. Wśród nich Żydzi – ci miejscowi, mieszkający blisko Rynku, i przyjezdni, których jest w latach 30. coraz więcej. Autorka cytuje felieton Magdaleny Samozwaniec z „Kuriera Poznańskiego", tak wściekle antysemicki, że czyta się go z zażenowaniem.

A potem przychodzi wojna. Żydzi zostają wymordowani, w sanatoriach leczą się (i szkolą) dzieci niemieckie. Po wojnie nauczycielka Lena Küchler tworzy sierocińce dla ocalonych z Zagłady, musi je jednak przenieść do Zakopanego, bo zaatakowali je chłopcy z antykomunistycznej partyzantki. Ta opowieść, podobnie jak pamięć o masowych wojennych grobach w lesie za sanatorium Tereska, wróciła niedawno – Chomątowska idzie śladem badań Karoliny Panz i Magdaleny Smoczyńskiej. Patroni partyzantów czczeni są do dzisiaj.

Lata ostatnie to stopniowy schyłek uzdrowiska, związany także z rosnącym zatruciem powietrza. Na marginesie głównej narracji przewijają się postacie świetnych lekarzy, jak prof. Jan Rudnik, a także osoby nieoczekiwane, jak mieszkający przez lata w artystycznej kolonii na Majorce Tadeusz Fuss-Kaden, nieślubny syn Kazimierza Kadena, albo ks. Mieczysław Maliński, rabczański wikary. Bardzo różnorodny jest to przekładaniec! ©℗

OLGA

Drenda:
Portal do portek

Nie ma chyba takiego pomysłu – niezależnie jak wysokobudżetowy by był i wysiłki jak wielu osób angażował – który nie poległby w konfrontacji z jednym durnym żartem. W chwili, gdy kreślę te słowa, w internecie trwa grillowanie nowego logo i strategii promocyjnej dla Poznania. Tego rodzaju przedsięwzięcia często spotykają się z prześmiewczymi reakcjami (jak wszystko, wobec czego można zastosować pytanie: „na to idą nasze pieniądze?") i projektanci zapewne się z tym liczą, ale przyznaję, że tak licznych przeróbek nie widziałam już od dawna – myślałam, że ludzie, którzy przy takich okazjach są często nazywani „internautami", stracili już zapał do takich zabaw.

Zostawmy więc Poznań, bo zawsze przykro, gdy wydarza się siła złego na jednego, i lepiej się do takiej czeredy nie przyłączać. Sprawdźmy, jak to robią na Zachodzie, gdzie w grę wchodzą wielkie pieniądze, wielkie doświadczenie, powiew technologicznego szpanu, a na miejskich kampaniach zjedzono zęby... No właśnie.

Nawet setki zjedzonych zębów najwyraźniej nie chronią przed aktualnością prawa Murphy'ego, które – przypomnijmy – skrótowo głosi, że jeśli coś może pójść źle, to pójdzie. Człowiek widocznie jest jednak z natury optymistą, bo wciąż powstają takie realizacje jak ostatni pechowy „portal łączący dwa miasta", Dublin i Nowy Jork. Podobne rozwiązanie pojawiło się kiedyś w Lublinie i Wilnie i działało bez zarzutu, więc dlaczego nie spróbować z większym rozmachem? Efektowna instalacja – okrągły ekran wyświetlający na bieżąco relację wideo z obu miast, tak aby dowolny przechodzień mógł zobaczyć, co właśnie dzieje się na innym kontynencie – została wkrótce po uruchomieniu zawieszona „z powodów technicznych". To, jak łatwo się domyślić, eufemizm, bo szybko znaleźli się żartownisie, którzy zechcieli urozmaicić zwyczajną relację z ulicy. Ktoś pokazał do kamery „kino bambino", ktoś machał telefonem z nagimi zdjęciami, ktoś w ramach relacji z Nowego Jorku przypomniał nagrania z 11 września. Coś musi być w takich instalacjach, że na niektórych działają odmładzająco, budząc instynkty typowe dla dwunastolatków.

Rozejrzyj się, może i w swojej okolicy znajdziesz portal

OLGA DRENDA

Oczywiste, prawda? Jeśli w miejscu publicznym jest wystawiona kamera z opcją transmisji wysokiej jakości, to raczej prawdopodobne będzie, że ktoś zechce zademonstrować w wysokiej jakości zawartość swoich spodni. Jest to żart tyle dziecinny, co najoczywistszy, pewnie niejeden wręcz uważa, że po to właśnie ta kamera jest. Być może to złota zasada do przyswojenia sobie celem nauki na błędach: jeśli coś (aplikacja, logo, nazwa) może skojarzyć się komuś świńsko lub klozetowo, albo jeszcze w dodatku makabrycznie, to niechybnie zaraz tłum podąży dokładnie za tym wątkiem i dla własnego dobra lepiej wtedy wymyślić coś innego.

A jednak najwyraźniej nikt o tym nie pomyślał, choć w realizację nieszczęsnego portalu zaangażowano zapewne niemałą grupę specjalistów. A może pomyślał, ale dał się porwać własnemu poczuciu misji? Przecież portal czasoprzestrzenny to wynalazek przyszłości, a w przyszłości nikt nie może ściągać portek. Pracownikom branży nowych technologii zaś nie godzi się mieć takich głupich skojarzeń. Albo ktoś był tak zapatrzony w urodę własnego pomysłu, że wierzył, iż każdy będzie postrzegał go dokładnie tak samo? Być może nawet na zebraniu ktoś zgłosił cichutką wątpliwość, ale zwyciężyło przekonanie, że przecież to prawie podróże w czasie i przestrzeni, i że niesamowitość tej realizacji rzuci wszystkich na kolana. W przypadku podobnych kiksów twórcy czasem robią dobrą minę do złej gry, powtarzając zaklęcie, że „przynajmniej wszyscy o nas mówią i wywołujemy emocje", zapominając, że do palety emocji należy również zażenowanie.

Ten przypadek z portalem do głupawego (choć, co tu kryć, faktycznie w swojej bezczelności zabawnego) humorku wskazuje na jeszcze jedną, być może najważniejszą kwestię. Otóż niezależnie od tego, za jak rewolucyjny, innowacyjny czy wywrotowy uważamy jakiś wynalazek, lepiej nie zakładać, że przewidziało się wszystkie jego zastosowania. Pasjonujemy się dziś wróżeniem przyszłości, snujemy często ponure scenariusze, bywa, że graniczymy w tym z pewnością proroków. Czy jednak bierzemy pod uwagę skórkę od banana, na której – choć leży pod samym nosem – i tak można się znienacka pośliznąć? ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo:
W obronie obiadu

Przez pięćdziesiąt kilka lat żyłem niepewny swej wielkości. Jako makaroniarz, owszem – połowiczny, byłem przekonany, że to słowo, służące umniejszeniu, powinno się pisać raczej małą literą. Ale w takim razie dlaczego Ruska widywałem w druku wyróżnionego wielkim jak kremlowska wieża R? Aż dopiero Rada Języka Polskiego (pisana literami wielkimi jak Giewont) orzekła już urzędowo i z pieczęcią, że można będzie tak lub siak. Aż się w głowie kręci od tej swobody, szkoda, że w innych, o wiele ważniejszych dziedzinach (np. „nie" z imiesłowami) nie dano nam ani trochę luzu.

Nie wiem, jak wymienione razem z nami szkopy, żabojady i kitajce (to martwe słowo paniom i panom radnym podsunął chyba, w ramach okrutnego żartu, duch Doroszewskiego). Ale my, makaroniarze, jesteśmy dumni z naszej kluszej tożsamości i nie mamy problemu z tym, że się nas kojarzy z zaiste genialnym wynalazkiem. Nawet jeśli nie jest wcale nasz, bośmy tak naprawdę z dziada pradziada polenciarze, *polentoni*. Jeszcze sto lat temu północ włoskiego buta żarła wyłącznie kukurydzianą mamałygę, a nie pszenne kluski. Ale fakt ten uległ szybko zapomnieniu w miarę przemian obyczaju i powojennego triumfu makaronu w neapolitańskiej postaci, bo z polentą wiąże się pamięć biedy, upokorzeń i ciał zeszpeconych pelagrą. Dotkliwa ta choroba, powszechna na wsiach niziny padańskiej – coś jak skrzyżowanie trądu z biegunką i demencją – jest skutkiem diety złożonej wyłącznie z kukurydzy i po polsku zwaliśmy ją nieprzypadkowo rumieniem lombardzkim.

Chleba musiało chyba brakować żołnierzom armii austriackiej, którzy stacjonowali nieproszeni w Mediolanie, Weronie i Wenecji za czasów istniejącego ledwie pół stulecia Królestwa Lombardzko-Weneckiego, czyli ichniejszej Kongresówki, tyle że podległej Wiedniowi, a nie Moskwie. Kiedy powiało tam Wiosną Ludów, rządzący twardą ręką w imieniu Najj. Pana marszałek Josef Radetzky straszył mediolańskie elity, że podburzy przeciw nim chłopstwo – to od polenty – i urządzi jaśniepanom patriotom taką samą rzeź, jaka dwa lata wcześniej wycięła w pień polskie dwory w Galicji. Część podległej mu armii stanowili rekruci chorwaccy, którzy szukając chleba, wołali nań po swojemu: „*kruh!*". Tak się to wbiło w uszy miejscowych, że podjęli to słowiańskie słowo, by przezwać germańskiego okupanta. Tam gdzie my mówimy: szkop, Włosi mówią: *crucco*. Ewentualnie *krauto*, od niemieckiego słowa na duszoną kiszoną kapustę. Czyli bigosiarze.

Może nie powinienem być tak ortograficznie zuchwały, bo mam do Rady interes. Coś, co może podnieść nie najlepsze o niej mniemanie. Bardzo was proszę, zdelegalizujcie słowo „lunch". Wiem, że różni uznani poloniści z poradni językowej PWN zdjęli już z tego słowa kursywę, czyli znamię obcości, poddając bez walki kolejny szaniec polszczyzny. Wiem, że wielu bliźnich, którzy mówią na ogół ładnie i nie ulegają cudzoziemskim snobizmom, hołduje wyglądającej na spójną teorii, że to są całkiem inne rzeczy: obiad to taki z rosołem, drugim, surówką i kompotem u babci, zaś lunch to z kolegą w przerwie w pracy, w biegu, nieformalnie, na ogół jednodaniowo i lekko, sałatka, makaron, tarta.

Bzdura. W słowie „obiad", gdy się choćby z grubsza pogrzebie w słownikach i własnej pamięci językowej, nie ma nic uroczystego, formalnego, ciężkiego, co by przeszkadzało traktować go jako okoliczność powszednią, lekkostrawną, nieformalną. Słowniki etymologiczne wskazują, że tkwi w nim rdzeń **ěd* obecny w tuzinach słów związanych z j-*ed*-zeniem w tuzinach języków, ale są też badacze, którzy sądzą, że konkretne słowo bliższe jest „ob-chodzeniu" i wskazuje na wspólnotowy aspekt posiłku. I bardzo mi szkoda tej wspólnotowości. Tak łatwo ją odpuszczamy na rzecz jakiegoś lunchu, któremu anglosascy etymolodzy dorabiają rodowód ze starego słowa oznaczającego połeć mięsa. Sami wybierajcie, co dla was ważniejsze.

Wiem, że obiadu nie wybronię, ale skorośmy tacy otwarci, to niech polszczyzna przyswoi sobie powszechnie inne ważne dla mnie słowo – „aperitif". Nie zawsze los pozwala mi na ten rytuał, ale kiedy mogę, czuję się lepszym człowiekiem. Ten kieliszek białego wina lub czegoś gorzkiego i drobny, przyjemny kąsek, choćby grzaneczka, w południe, kiedy definitywnie wychodzimy z prywatnej strefy poranka i pieleszy na szeroki świat. Słowo pochodzi od łacińskiego *aperire* – otwierać, i jest w tym głęboki sens. Oto otwieramy szeroko okiennice naszej osoby na sprawy i działania, z widokiem na rychły obiad i tak aby do wieczerzy. ©℗

OLGA / ADOBE STOCK

Austriacy zostawili też po sobie co nieco dobrego, np. kluchy z chleba zwane canederli, w którym to słowie każdy i każda z nas usłyszy po prostu knedle. Np. na zielono. Kroimy w drobną kostkę 150 g czerstwego chleba, moczymy chwilę w mleku, odciskamy. Dodajemy po kolei 250 g szpinaku, podduszonego i drobno posiekanego, cebulę posiekaną i zeszkloną na maśle, 30 g mąki, 2 jajka, garść parmezanu, sól i pieprz, mieszamy aż do uzyskania ciasta, które musi z godzinę odpocząć w lodówce . Potem lepimy z niego nieduże kulki, które gotujemy ok. 10 min we wrzącym bulionie warzywnym. Na wydaniu dobrze jest polać masłem z szałwią.

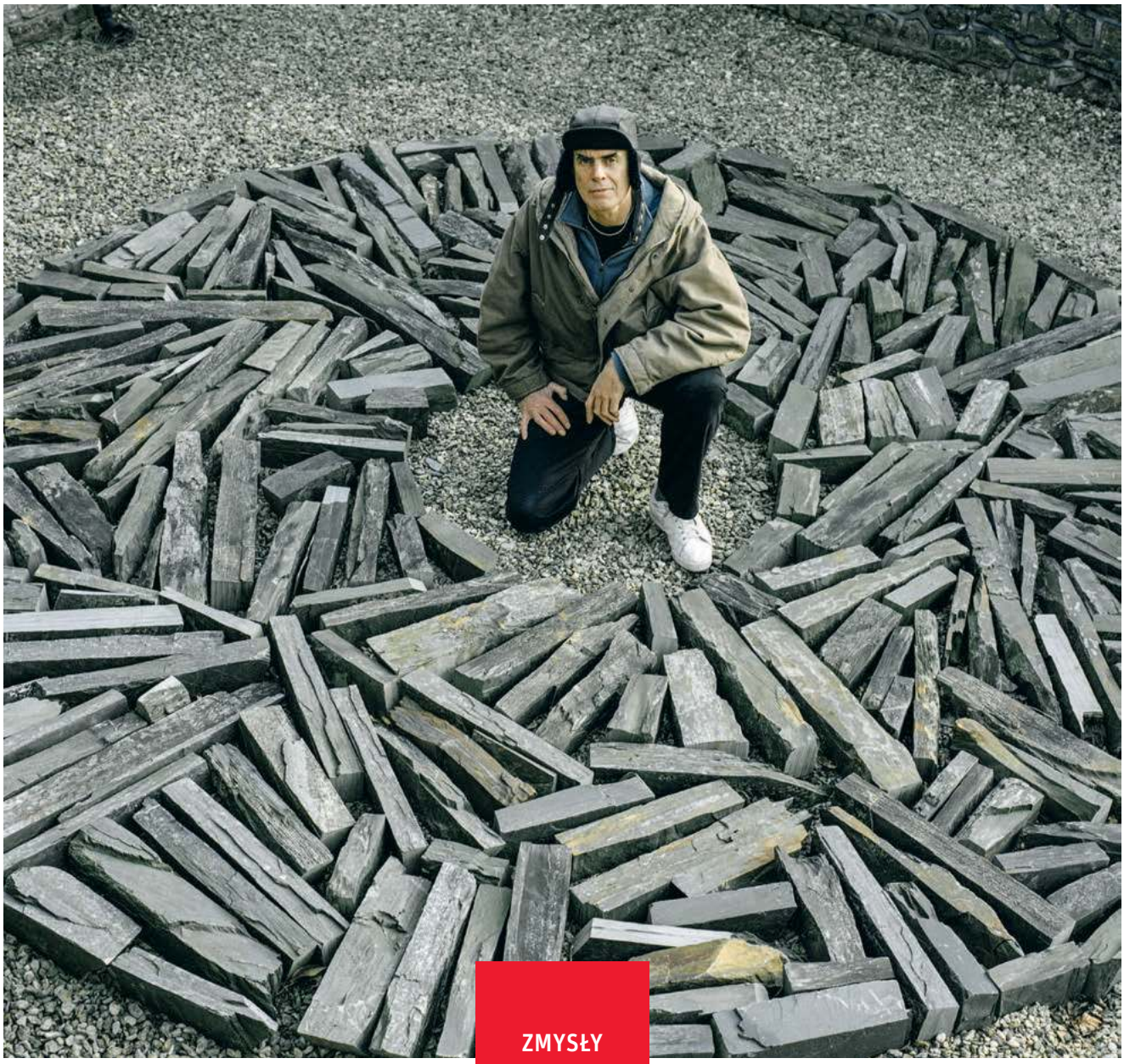

EAMONN MCCABE / POPPERFOTO / GETTY IMAGES

Sir Richard Long z pracą „South Bank Circle", 1991 r., wystawianą dziś w Tate Gallery w Liverpool

ZMYSŁY

SZTUKA DEPTANIA TRAWNIKA

Paul Klee mówił, że dobry rysunek jest jak zabranie kreski na spacer. Richard Long potraktował to całkiem dosłownie.

ALEKSANDER HUDZIK

Spacer z centrum Bristolu, gdzie urodził się Richard Long, do centrum Londynu, a konkretnie Saint Martin's School of Art, trwałby około 43 godzin, tak wskazuje wirtualna mapa. Po drodze mija się miejscowości Reading, Marlborough, ale przede wszystkim pola, rzeki i lasy, a to one najbardziej interesują artystę.

W 1967 r. dwudziestodwuletni Richard Long wysiada więc przy stacji Waterloo i rusza w drogę. Następnie znajduje łąkę, na której wydeptuje kilkumetrowy ślad. Kilkaset kroków utrwalonych w ugiętych źdźbłach trawy – oto sztuka, którą on sam określi czymś pomiędzy stawianiem pomników a zostawianiem po sobie jedynie odcisku.

Skoro jesteśmy w roku 1967, przypomnijmy, że Beatlesi wydają właśnie „Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band", a na gali Oscarów króluje brytyjski tytuł „Oto jest głowa zdrajcy" Freda Zinnemanna. Nowy Jork wciąż nie odebrał Europie tytułu centrum sztuki, to Brytyjczycy rządzą kulturą. Na uczelniach zaczyna się rewolucja, która odmieni drugą połowę XX w., w polu sztuki coraz głośniej mówi się o jej nowych nurtach, takich jak konceptualizm, land-art czy performans, do których wkrótce będzie się wpisywać Richarda Longa. Tymczasem on, no właśnie, depcze trawę.

Long, rocznik 1945, jest dzieckiem Bristolu, miasta znanego choćby z tego, że jego mieszkańcy codziennie mogą patrzeć na największe w Europie odpływy. Woda znika za horyzontem, by kilka godzin później wrócić i rzeźbić w skałach nowe tunele. Artysta w jednej z rozmów przyzna, że to w Bristolu zrozumiał, iż woda i kamienie będą dla niego podstawowymi materiałami plastycznymi. W przyszłości doda do nich jeszcze błoto z dna rzeki Severn płynącej przez miasto.

Ale żeby zostać artystą, nie wystarczą kamienie i dobre chęci, trzeba jeszcze dobrze się urodzić. Wspominając swoje dzieciństwo Long przypomina, że rodzice, para zamożnych Brytyjczyków, pozwalali mu bazgrać po ścianach. Już jako czterolatek zyskał status przedszkolnego artysty, jako jedyny mógł zamiast poobiedniej drzemki zasiąść spokojnie przy sztaludze i tworzyć.

To, co daje świat

Prawdziwa droga do sztuki była jednak znacznie trudniejsza. Na zajęcia w koledżu artystycznym przynosi kilka zdjęć. To zapis jednego z działań w terenie: ulepił kulę ze śniegu, a następnie toczył ją po zboczu tak, że spod cienkiej warstwy śniegu przebiła się brązowa smuga błota. Dokumentacja fotograficzna przydała się nie jako dowód na talent i kreatywność, a raczej jako podkładka pod interwencję nauczycieli, którzy oświadczyli rodzicom Longa, że z ich synem najwyraźniej dzieje się coś niedobrego.

Całe szczęście najlepsza szkoła artystyczna w Wielkiej Brytanii – Saint Martin's School of Art, gdzie już rok później dostał się Long – przyjmuje wszystkie eksperymenty młodego artysty za dobrą monetę. A Long korzysta z dobrodziejstwa uczelni, na której może spotkać tych największych. Na wykładzie Buckminstera Fullera, amerykańskiego architekta i wizjonera, usłyszy zdanie, które brzmi mniej więcej tak: „Nie interesuje mnie to, jak projektować lepsze łazienki, interesuje mnie odpowiedź na pytanie o to, jak można lepiej się myć".

Long, najwyraźniej podzielający zamiłowanie do tego, co nazywamy brytyjskim poczuciem humoru, lubi cytować takie absurdy wyłącznie po to, by kondensować w nich ważny dla siebie przekaz. Sztuka jest po to, żeby odpowiadać na najprostsze pytania. Na przykład: jak żyć lepiej, uważniej, bliżej tego, co nas otacza.

Wprowadzając taką myśl w życie trzeba być radykalnym. Long twierdzi, że praca w studio niemal zupełnie go nie interesuje. Interesuje go to, co daje mu świat. Dlatego, począwszy od wspomnianego „Lane Made by Walking" (1967), będzie starał się szukać takich miejsc w przyrodzie, w których z wydeptanej trawy, kamieni czy piasku będzie mógł stworzyć podstawowe abstrakcyjne kształty – kreskę, kwadrat, okrąg.

Kilimandżaro w prezencie

Kilkadziesiąt lat przed Longiem wybitny szwajcarski malarz i jeden z ojców założycieli malarstwa abstrakcyjnego, Paul Klee mówił, że dobry rysunek jest jak zabranie kreski na spacer. Long potraktuje to całkiem dosłownie. W 1975 r. ustawi kilkaset kamieni w prostej linii u podnóża jednego z ośmiotysięczników w Himalajach, cztery lata później wybierze się do Japonii, gdzie na górze Fuji ustawi okrągłą rzeźbę ze znalezionych tam kamieni. W 1969 r. podczas wyprawy do Afryki wejdzie na szczyt Kilimandżaro. Na wierzchołku jednego z głazów położy taśmy, w ten sposób, by kamień przypominał spakowany prezent. Po latach artysta będzie żartował, że to najwyżej umiejscowione dzieło w historii sztuki. Żartował, bo w rzeczywistości Brytyjczykowi nie chodzi o to, by sztuką zdominować naturę, stworzyć coś spektakularnie wielkiego, nie ma zamiaru konkurować z przyrodą o to, kto potrafi stworzyć ciekawszy punkt widokowy.

Dlatego zżyma się na słowo „Land Art", traktując je jako wymysł określający sztukę tworzoną przez artystów tej samej generacji, głównie amerykańskich, których motywowała jednak zupełnie inna filozofia. Kupowali ziemie i, wykorzystując maszyny, ingerowali w naturę tak, żeby z jej pomocą powstał monumentalny pomnik na cześć człowieka – mówi Long w jednej z rozmów na YouTubie. Wysoki, opalony jak sportowiec spędzający czas na słońcu, mówi prosto do kamery: ja jestem „po prostu" artystą.

Bez efekciarstwa

Początek kariery artystycznej Longa zbiega się jednak w czasie z rozkwitem popularności samego land artu. W 1968 r. w nowojorskiej Dwan Gallery zaprezentowana została wystawa „Earthworks", na której amerykańscy artyści pokazali plastykę ziemi. Wśród najgłośniejszych nazwisk znalazł się Robert Smithson, którego „Spiral Jetty", czyli spiralna grobla usypana z setek ton ziemi, wkręca się jak wir w taflę Wielkiego Jeziora Słonego w Utah.

To przykład wszystkiego tego, czego Long nie chce: dominacji i efekciarstwa. Jego prace są bliższe temu, co w latach 70. w Polsce tworzy Teresa Murak. Murak także stawiała na bliskość natury i spacerowanie – wystarczy wspomnieć o jej „Procesji" z 1974 r., gdy krążyła po centrum Warszawy w kitlu obsianym rzeżuchą, o czym przypomniała niedawna wystawa w stołecznej galerii Import-Export. Murak i Longa łączy pokoleniowo nie tylko zamiłowanie do kontaktu z naturą, ale też zaangażowanie własnego ciała do tworzenia sztuki. Łatwo o tym zapomnieć, pakując Brytyjczyka do szufladki „Land Artu". ↦

Marina Abramović swoją dwunastoletnią podróż z partnerem Ulajem zakończyła spacerem po Wielkim Murze Chińskim. Vito Acconci w 1969 r. przez miesiąc podążał za przechodniami w Nowym Jorku, do momentu, gdy ci znikali w prywatnych budynkach. Long także spacerował, a jego spacery nabierały rozmachu. Największym życiowym projektem, jeśli można tak mówić w przypadku człowieka, którego twórczość bardziej przypomina dorobek maratończyka niż artysty, jest cykl spacerów, w których pokonywał 100 mil.

Koncepcja miała być prosta: iść przez 100 mil (w naszej skali: 160 kilometrów) trasą, która jest najbardziej zbliżona do linii prostej. Spaceruje tak przez Boliwię, Australię, Irlandię, Egipt, Szwajcarię. Czasem wydłuża dystans, by przejść z najbardziej wysuniętego na południe skrawka Wielkiej Brytanii do jej północnych rubieży. Brytyjska prasa żartobliwie komentowała to wydarzenie, korzystając z pasującego tu jak ulał nazwiska artysty: „Long walk".

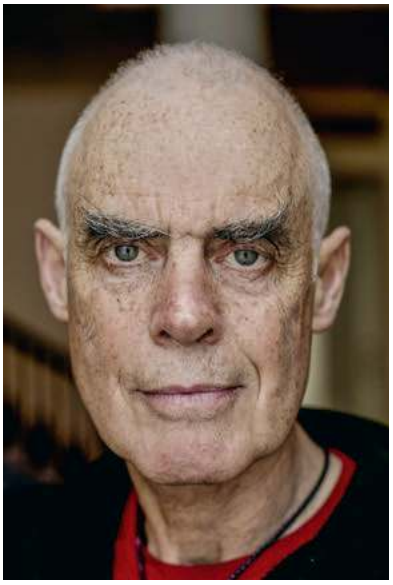

SARAH LEE / EYEVINE / EAST NEWS

Richard Long, 2012 r. Po prawej: Richard Long, „Delabole Slate Circle" na wystawie rzeźby w Leeds Art Gallery, 2018 r.

Na dole: Praca Richarda Longa „A Line in Norfolk" w rezydencji Houghton Hall w Norfolk, Anglia, 2017 r.

Krąg łupków

Sztuka Longa to jednak coś więcej niż spacery. Artysta przyznaje, że gdyby ograniczał się jedynie do natrętnego łażenia, byłby co najwyżej uciekinierem od rzeczywistości, tymczasem on chciałby z rzeczywistością rozmawiać. Dlatego po drodze dokonuje działań, które z pozoru opowiadają o mało znaczącym, a jednak pięknym miejscu człowieka w przyrodzie: zbiera kamienie i usypuje z nich kopce, do menażki nabiera wody z jednej rzeki, by wylać ją do koryta innej.

Czasem, choć zdarza się to niezwykle rzadko, wchodzi w interakcje z odbiorcami, jak w przypadku performansu rowerowego: „Rozpocząłem od wyjścia z mojej szkoły w Londynie z rowerem, do którego przywiązałem komponenty rzeźby. Rozpocząłem trwającą mniej więcej dwie doby przejażdżkę po hrabstwach na północ od Londynu, kończąc w moim mieszkaniu na East Endzie. W przypadkowych miejscach i w różnym czasie trwania mojej drogi zostawiałem kawałki pracy. Każdy składał się z wetkniętego w ziemię kawałka drewna. Były one zostawione w ogrodach, na poboczach, w zieleni wiejskiej, na polach itd. Obok każdego znajdowała się notatka informująca, że jest to jedna z piętnastu podobnych części rzeźby okalającej teren o powierzchni około 2400 mil kwadratowych. Zostawiłem też swoje dane i adres do przesyłania komentarzy. Otrzymałem dwie odpowiedzi".

STUART FRANKLIN / MAGNUM PHOTOS / FORUM

DANNY LAWSON / PA / EAST NEWS

Tytuły spacerów Longa przypominają zadania, a może intencje, z którymi wyrusza w podróż. Na przykład: „Sześciodniowy spacer po wszystkich drogach, pasach i podwójnych torach w okręgu o szerokości sześciu mil, którego środkiem jest Gigant z Cerne Abbas" (1975), „82 mile w 24 godziny, 24 mile w 82 godziny" (1996). Te tytuły, jak haiku, pojawiają się także na wystawach Longa. Wypisane na ścianach stanowią często jedyny zapis dokonań artysty. Innym dowodem są fotografie, co dziś wydaje się oczywistym elementem praktyki artystycznej, ale jeszcze w latach 70. zakrawało na eksperyment w sztuce niemal tak kontrowersyjny, jak wstawienie do galerii kilku cegieł i nazwanie tego sztuką.A jeśli jesteśmy już przy cegłach w galerii: w 1976 r. Wielka Brytania żyje skandalem. Carl Andre, jeden z najważniejszych reprezentantów amerykańskiej sztuki minimalistycznej, ustawia w Tate Britain kilkadziesiąt cegieł. Koszt realizacji pracy to 12 tys. funtów (dziś to ekwiwalent niemal 50 tys. funtów) wyciągniętych z kieszeni brytyjskiego podatnika. Dziennikarze są oburzeni. Tymczasem kiedy trzydziestojednoletni Richard Long reprezentuje Wielką Brytanię na Biennale w Wenecji, gdzie w pawilonie ustawia kilka linii z kamieni zwiezionych z okolicznych wysp, Brytyjczycy są zachwyceni.

Chociaż działalność Longa jest efemeryczna, eksperymentalna, a przez to, jak się wydaje, kompletnie nie rynkowa, to jednak podróże opłaca ze sprzedaży dzieł sztuki. W 1989 r. sprzedaje stworzoną w 1981 r. rzeźbę – krąg łupków, „Whitechapel Slate Circle", za 200 tys. funtów. Wtedy było to najdroższe dzieło żyjącego brytyjskiego artysty.

Richard Long? Kocham!

Finanse idą w parze z uznaniem. W 1989 r. Long otrzymuje najważniejsze brytyjskie wyróżnienie artystyczne, Nagrodę Turnera. Jest też jedynym w historii twórcą, który był nominowany do tej nagrody aż cztery razy. Jego prace wielokrotnie prezentowano w najważniejszych galeriach świata, od San Francisco MOMA, Documenta w Kassel, po Tate, gdzie ostatnią wielką retrospektywę zorganizowano mu w 2009 r.

Jego sztuka bywa efemeryczna, jak wtedy, gdy zamiast obrazów zostawia w galeriach odciśnięte na ścianach ślady umorusanych w błocie dłoni lub kamieni, bywa też absurdalna jak skecze Monty Pythona, a mimo to stanowi paliwo dla innych twórców. Rebecca Solnit w „Zewie włóczęgi" pisze, że „pod pewnymi względami prace Longa przypominają pisarstwo podróżnicze, ale zamiast mówić nam, co czuł, co jadł i inne tego typu szczegóły, jego krótkie teksty i niezamieszkane obrazy pozostawiają większość podróży wyobraźni widza". Long jest brytyjskim dobrem narodowym, jak megality Stonehenge czy zespół Rolling Stones. W 2012 r., gdy królestwo organizowało w Londynie Igrzyska Olimpijskie, Longa zaproszono do współpracy, a ten namalował stumetrowy mural na asfalcie wzdłuż trasy kolarskiej. W 2018 r. z rąk królowej Elżbiety odebrał tytuł szlachecki.

W maju 2024 r. Long otrzyma doktorat honoris causa katowickiej ASP. Związek artysty z Polską jest raczej niewielki, bo Long nie spacerował nigdy po Bieszczadach, nie zbierał piasku nad Bałtykiem, a jego sztukę można było oglądać w ostatnich latach tylko raz, na wystawie „Wiek półcienia" w Warszawie. I była to wystawa niefortunnie otwarta wiosną 2020 r., kiedy nie można było spacerować, nawet w lasach. Teraz w Katowicach będzie można zobaczyć kilka prac artysty i spotkać go osobiście, ale obecność Longa jest w polskiej sztuce niezbywalna.

W 2022 r. dwójka artystów – Tymon Nogalski i Tymek Bryndal – wyruszają z Galerii Czwartek w Warszawie, by w kilka dni dotrzeć do geometrycznego środka Polski – miasteczka Piątek. W 2016 r. Michał Smandek, na co dzień związany z katowicką ASP, wyjeżdża do Boliwii, gdzie na pustyni ustawia szkielet namiotu, który – jak delikatna metalowa rzeźba – wtapia się w pejzaż. Dokumentuje to zdjęciem. Gdy pytam ich o związki ze sztuką Brytyjczyka, odpowiadają krótko: „Richard Long? kocham!".

© ALEKSANDER HUDZIK

Autor jest redaktorem naczelnym „Mint Magazine"

STANISŁAW

Mancewicz: *Wóz hybrydowy*

Od dziesiątek lat nasze elity, jakże nielubiane przez nieelity, rozgryzają pakiet najważniejszych dla tutejszej zbiorowości zagadnień o charakterze ogólnym. Dywagują o sprawach najwyższej wagi, próbując wyjaśnić taką dla przykładu zagadkę: skąd się wzięliśmy, my Polacy, tu, na planecie Ziemia. Ale padają też pytania pozornie błahe. Zajmiemy się dziś zaledwie dwoma z wielkich pytań, choć są one pozornie niepozorne.

Oto – popatrzmy – elity wciąż pytają, dlaczego tutejsi mężczyźni, z marnymi wyjątkami, grają bardzo słabo w piłkę nożną. To ciekawe też dlatego, że wszyscy w Europie grają w piłkę dobrze. A Polak – w pocie czoła, choć kopie nogą. Jedna z hipotez powiada, że przyczyna leży w tutejszym menu. Rzekomo nadmiar grubo panierowanej, smażonej wieprzowiny i gotowanych ziemniaków posypanych koprem, często gęsto w towarzystwie kapustki, spożywanych zwłaszcza w okresie juwenalnym, odciska się zarówno na gibkości fizycznej, jak i umysłowej. Ponoć każdy schabowy morduje jednego synapsa w mózgu odpowiedzialnego akurat za celowanie nogą, oraz drugiego – odpowiedzialnego za celowanie głową. Skoro tak, to – zapytać wypada – dlaczego Niemiec bądź Czech, choć od świniny nie stronią, to biegają od naszych raźniej, w trakcie biegu sporo myślą, a jakby tego było mało – nogą celują znakomicie? Inna teoria głosi, że Polacy za dużo piją wódki, a wbrew pozorom, wódka kiwaniu nie służy.

Jeżeli ktoś ma już dość naskórkowych rozważań o fizycznych możliwościach polskich mężczyzn, skierujemy jego myśli ku potencjałowi intelektualnemu. Potrzebne tu będzie krótkie wprowadzenie. Jedno z wielkich pytań brzmi, dlaczego w kraju tak ogromnym jak nasz, z tak liczną ludnością o zaiste sporej wyobraźni, z bogatą tradycją snucia wszelakich wizji, od spiskowych po mesjanistyczne, dlaczego nie powstało tu nigdy żadne nowoczesne urządzenie o masowym i globalnym zasięgu. Owszem, mieliśmy turbinkę Kowalskiego, mieliśmy uchwyt utrzymujący klapę silnika fiata 126p w pozycji umożliwiającej chłodzenie motoru pędem powietrza, ale bądźmy szczerzy – motoryzacji to nie zrewolucjonizowało. Gdy próbujemy sobie przypomnieć, czy aby na pewno nic nam nie umknęło, czy aby nie popadamy w samobiczowanie, dochodzimy do wniosku, że jednak przesadziliśmy. Że na wielkie pytanie o polską myśl technologiczną istnieje odpowiedź dobra, choć nie jest ona łatwa.

A więc tutejszy potencjał inżynierski zużywany jest na koncepcje wintydżowe – najlepiej nam idzie rozwijanie urządzeń retro. Ale to wcale nie znaczy, że należy ten kierunek wyśmiać czy skreślić. Możliwe, że coś, będąc retro, ma jednak przyszłość. Ktoś – jak zwykle – poprosi nas o przykład. Mamy taki, w najznakomitszy sposób ilustrujący sytuację na rynku polskiej zaawansowanej myśli technologicznej. Oto przy okazji tradycyjnego, bo kolejnego upadku konia ciągnącego wóz z turystami ku Morskiemu Oku, dowiedzieliśmy się, że od lat wielu trwają prace nad wozem ciągnionym przez konie wspomagane silnikami elektrycznymi. Prasa i wynalazcy używają określenia „wóz hybrydowy". Wydano na ten pomysł sporo grosza, sporo czasu trwały próby, głównie nieudane, bowiem prawa fizyki, niestety, nie ulegają polskim marzeniom o połączeniu tradycji z nowoczesnością. Stromizna plus ciężar równa się problem. Na pytanie, po co to wszystko, słychać tyle, że trzeba by ulżyć maltretowanym zwierzętom, ale myśli, że można by ich w ogóle nie maltretować, jakoś nikomu nie przychodzą do głowy.

Jesteśmy bodaj jedynym krajem w świecie, w którym rzuca się solidne siły, zatrudnia pracownie politechniczne, snuje wizje, daje wielkie pieniądze, robi wieloletnie doświadczenia tylko po to, by wyprodukować elektryczną furmankę ciągnioną jednakowoż przez zmęczone konie. Miałby to być pojazd, który co prawda na Marsa nie poleci, ale jest klasycznym pomysłem zaiste księżycowym. Ktoś, komu zwierzyliśmy się z naszego zakłopotania, podsunął myśl, by polscy inżynierowie, zootechnicy i górale pomyśleli nad stworzeniem hybrydy konia z akumulatorem. Będzie to przy okazji awans do innej ligi. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Pomagam.pl

Sytuacja mnie do tego zmusza, **choć tak bardzo mi wstyd...**

Głupio mi i wstyd prosić o pomoc, ale jestem pod ścianą...

Tak mi wstyd prosić o pomoc, ale to nasza ostatnia deska ratunku...

Jutro to mogę być ja i poproszę o pomoc bez wstydu.

Nie oceniam. Pomagam.

Proszenie o pomoc bywa trudne. Jeśli się wahasz, przypomnij sobie to uczucie szczęścia, gdy pomagasz innym.

Wejdź na Pomagam.pl i stwórz darmową zbiórkę pieniędzy na to, co ważne: dla siebie, bliskich i na inicjatywy bliskie Twojemu sercu.

REKLAMA

Poznajcie miasto, w którym rozpoczęła się historia Polski!

Koziołki trykające się w południe na ratuszowej wieży i wspaniałe stroje Bamberek. Przejażdżka kolejką wąskotorową Maltanka... historie, legendy oraz wspaniały, kuszący aromat poznańskiego smakołyku...
Pięknie ilustrowana książka zaprasza do Poznania.

Autorskie przepisy kuchni polskiej i ukraińskiej Katarzyny BOSACKIEJ i Anieli REDELBACH
Dania w obiektywie Juliána Redondo Bueno

Książki dostępne na sklep.wmposnania.pl

WYDAWNICTWO MIEJSKIE POSNANIA

POZnań